

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Mark Twain

Królewicz i żebrak

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

SŁOWO WSTĘPNE

Chcę spisać opowieść posłyszana od kogoś, kto znał ją od swojego ojca, ten zaś od swojego ojca, któremu opowiadał ją jego ojciec, i tak dalej, i tak dalej: przez trzysta lat lub dłużej ojcowie przekazywali ją synom i w ten sposób opowieść przetrwała. Może jest to fakt historyczny, może tylko legenda, podanie. Przypadek ten zdarzył się albo nie zdarzył, lecz bez wątpienia mógł się zdarzyć. Może w dawnych latach opowieści tej wiarę dawali mądrzy i uczeni, a może tylko prości i nieoświeceni kochali ją i uważali za prawdę.

ROZDZIAŁ I

NARODZINY KRÓLEWICZA I ŻEBRAKA

W odwiecznym mieście Londynie pewnego jesiennego dnia w drugiej ćwierci szesnastego stulecia w ubogiej rodzinie nazwiskiem Canty przyszedł na świat chłopiec, którego rodzina ta wcale nie pragnęła. Tego samego dnia w bogatej rodzinie Tudorów przyszło na świat inne angielskie dziecko, gorąco upragnione przez tę rodzinę. Pragnęła go również cała Anglia i tak doń tęskniła, tak go oczekiwała, tak korne zasyłała oń modły do Boga, że gdy narodziło się wreszcie, ludzie bliscy byli radosnego szaleństwa. Zwyczajni znajomi ściskali się, całowali i płakali ze szczęścia. Wszyscy zaczęli świętować i dziwnie jakoś złagodnieli, wysoko i nisko urodzeni, bogaci i biedni ucztowali, tańczyli, śpiewali, a trwało to przez wiele dni i wiele nocy. Za dnia Londyn nie lada przedstawiał widok, bo wesołe chorągwie trzepotały na balkonach lub szczytach wszystkich domostw i wspaniałe korowody ciągnęły ulicami. Nocą widok był nie mniej okazały, bo na rogu każdej ulicy płonęły ogniska, wokół zaś nich weseliły się rozbawione tłumy. Jak Anglia długa i szeroka, mówiono jedynie o nowo narodzonym dziecieniu, Edwardzie Tudorze, księciu Walii, który leżał spowity w jedwabie i atłasy i nic nie wiedział o wywołanym przez się zamieszaniu ani o tym, że niańczą go i doglądają dostojni panowie i damy – na czym zresztą wcale mu nie zależało. Ale o drugim niemowlęciu, Tomie Canty, spowitym w nędzne szmaty, nie wiedział nikt z wyjątkiem najbliższej rodziny biedaków, której niedawne jego przyjście na świat sprawiało wiele kłopotu.

ROZDZIAŁ II

DZIECIĘCE LATA TOMA

Mijały lata. Londyn istniał już wtedy od piętnastu wieków i jak na owe czasy był ogromnym miastem. Liczył sto tysięcy mieszkańców, a zdaniem innych nawet dwa razy więcej. Ulice jego były bardzo wąskie, kręte i brudne, zwłaszcza w dzielnicy, w której mieszkał Tom Cauty, to jest w niedalekim sąsiedztwie London Bridge. Domy były drewniane; pierwsze piętra rozprzestrzeniały się szerzej niż partery, drugie zaś wysuwały łokcie nad pierwszymi. Im wyżej tedy wyrastały domy, tym stawały się szersze. Mocne, na krzyż łączone belki tworzyły ich szkielety, a przestrzeń między belkami wypełniał tynkowany kamień lub cegła. Drewno barwiono zależnie od upodobania właściciela: niebiesko, czerwono lub czarno, dzięki czemu domy wyglądały nader malowniczo. Małe okna z drobnymi, w ołów oprawnymi szybami osadzone były na zawiasach i niby drzwi otwierały się na zewnątrz. Dom, w którym mieszkał ojciec Toma, stał w głębi cuchnącego zaułka Offal Court, przy bocznej uliczce zwanej Pudding Lane. Był to budynek mały, chwiejący się, zmurszały, mimo to gęsto zaludniali go nędzarze. Rodzina Cauty'ego zajmowała izbę na drugim piętrze. Matka i ojciec mieli jakieś takie łóżko ustawione w jednym kącie, lecz żadne ograniczenia nie krępowały Toma, jego babki i sióstr – Bet i Nan – gdyż należała do nich cała podłoga i mogli sypiać, gdzie im się spodobało. W izbie znajdowały się wprawdzie strzępy jednej czy dwu der i kilka snopków starej, brudnej słomy, lecz nie godziło się nazywać tego posłaniami; były to ruchomości niezorganizowane, które rano skopywano w jeden stos, wieczorem zaś rozdzielano do użytku członków rodziny.

Bliźniaczki – Bet i Nan – miały po piętnaście lat. Były to pocziwe dziewczęta, umorusane, odziane w łachmany i bezgranicznie ciemne. Matka nie różniła się od córek, za to ojciec i babka stanowili szatańską parę. Upijali się przy każdej okazji, potem zaś bili się pomiędzy sobą albo z każdym, kto wszedł im w drogę; zawsze – trzeźwi czy pijani – kłócili się i kłęli; John Cauty był złodziejem, matka jego żebraczką. Z dzieci zrobili żebraków, lecz nie udało się im uczynić z nich złodziei.

Pośród nędznego motłochu zamieszkującego ową ruderę żył (lecz nie należał do niego) dobry stary kapłan, którego król pozbawił domu i wygnał w świat z pensyjką kilku ćwierćpensów; kapłan ten zwykł gromadzić wokół siebie dziatwę i potajemnie nauczał ją prawdy i rzeczy pięknych. Ksiądz Andrzej zapoznał również Toma z odrobiną łaciny oraz ze sztuką czytania i pisania. Tego samego mógłby nauczyć i dziewczęta, te jednak obawiały się drwin przyjaciółek, które nie darowałyby im nigdy tak osobliwej edukacji.

Cały Offal Court był takim samym mrowiskiem jak dom Johna Cauty. Pijatyki, kłótnie, bójki zdarzały się tam często, bo odbywały się co noc i trwały całe niemal noce. Rozbite łby były tu zjawiskiem nie mniej pospolitym niż głód.

Mały Tom nie czuł się jednak nieszczęśliwy. Cierpiał oczywiście biedę, lecz nie zdawał sobie z tego sprawy. Podobny żywot wiedli wszyscy chłopcy z Offal Court, Tom sądził więc, że to żywot dostatni i godziwy. Dobrze wiedział, że gdy wieczorem wróci do domu z pustymi rękoma, najpierw ojciec zwymyśla go i zbije, kiedy zaś ojciec skończy, groźna babka rozpocznie rzecz od nowa i z jeszcze lepszym skutkiem. Wiedział, że późną nocą zagłodzona matka zbliży się doń ukradkiem i przyniesie jakąś nędzną resztkę jadła albo skórkę chleba,

zachowaną dla syna kosztem próżnego żołądka, chociaż mąż ją często chwycił na tej nikczemnej zdradzie i nagradzał tęgim laniem.

Tak! Tomkowi żyło się nie najgorzej – szczególnie latem. Żebrał tyle tylko, by obronić własną skórę, bo prawa przeciw żebraniu były srogie, a kary dotkliwe. Wiele więc czasu mógł poświęcać słuchaniu przepięknych starych baśni i legend dobrego księdza Andrzeja, który mówił o wielkoludach i wrózkach, karłach i geniuszach, zaklętych zamkach, wspaniałych monarchach i królewiczach. Chłopiec nabijał sobie głowę tymi cudownościami i często, gdy w mrokach nocy leżał na skąpym barłogu z kłującej słomy zmęczony, głodny, obolały od razów – puszczał wodze fantazji i rychło zapominał o cierpieniu i dolegliwościach, z rozkoszą malując przed oczyma wyobraźni czarowny żywot rozpieszczonego małego księcia w królewskim pałacu. Ale we dnie i w nocy nawiedzało go wciąż jedno pragnienie – chęć ujżenia na własne oczy prawdziwego królewicza. Raz wspominał o tym kamratom z Offal Court, lecz ci wyśmieli go i wydrwili tak niemiłosiernie, że od tej pory wolał zachowywać marzenia dla siebie.

Tom czytywał często stare księgi kapłana i prosił go o szczegółowe wyjaśnienia oraz tłumaczenie rzeczy niejasnych. Powoli, stopniowo chłopiec zmieniał się pod wpływem tej lektury i marzeń. Ludzie z jego snów byli tacy piękni, że mały żebrak zaczął się wstydić swych łachmanów i niechlujstwa, że zapragnął być czystszy i lepiej odziany. Oczywiście swawolił nadal w błocie – i to swawolił z przyjemnością – lecz zamiast pluskać się w Tamizie jedynie dla rozrywki, pojmował już, że zabawa ta ma również sens ze względu na możliwość kąpieli i prania.

Tom potrafił znaleźć zawsze coś ciekawego w pobliżu Maika na Cheapside albo na jarmarkach. Od czasu do czasu wraz z resztą mieszkańców stolicy miał sposobność podziwiać paradę wojskową, gdy jakiegoś nieszczęsnego sławnego więźnia odstawiano łądem lub wodą do Tower. Pewnego letniego dnia oglądał na Smithfield, jak palono na stosie biedną Annę Askew i trzech mężczyzn; słyszał również kazanie wygłoszone do skazańców przez jakiegoś byłego biskupa, to jednak nie zainteresowało Toma. Tak! Życie małego żebraka było ma ogół dość urozmaicone i zabawne.

Z czasem czytanie i rozmyślanie o życiu królewiczów sprawiły tak przemożny skutek, że Tom zaczął bezwiednie grać rolę królewicza. Ku podziwowi i uciesze rówieśników nabierał dziwnie dwornych manier i wysławiał się kwiecistie. Zarazem jednak z dnia na dzień wzrastało jego znaczenie pośród chłopców, którzy traktowali go z pełną podziwu obawą, niby istotą wyższą. Zdawało się im, że Tom wie bardzo wiele, że robi i mówi rzeczy szczególnie osobliwe. A ponadto taki był mądry i przenikliwy! O słowach i czynach towarzysza zabaw malcy opowiadali starszym, ci zaś rozprawiali również o Tomie Cauty i wnet zaczęli go uważać za niepospolitą, wysoce utalentowaną osobę. Ludzie zupełnie dorośli przychodzili nieraz do Toma z prośbą o pomoc w kłopotach i często dziwili się bystrości i rozsądkowi jego rad. Prawdę mówiąc, chłopiec ten został wnet bohaterem dla wszystkich znajomych, z wyjątkiem własnej rodziny, która nie dostrzegła w nim nic osobliwego.

Niebawem Tom utworzył w tajemnicy królewski dwór. Sam został królewiczem, a najbliższych swych przyjaciół mianował gwardzistami, szambelanami, panami i damami dworu oraz członkami monarszej rodziny. Codziennie witano fałszywego królewicza według zasad skomplikowanej etykiety, zapożyczonej przez Toma z romantycznej lektury. Codziennie rada królewska roztrząsała ważne sprawy iluzorycznego państwa, a iluzoryczny władca codziennie wydawał dekrety przeznaczone dla urojonej armii, floty i namiestnictw.

Później Tom w swych łachmanach szedł na żebranie, zbierał kilka ćwierćpensówek, posilał się nędzną skórką chleba, odbierał zwykłe obelgi i kuksańce, aby wreszcie wyciągnąć się na garstce stęchłej słomy i we śnie marzyć znowu o swych godnościach.

Wciąż jednak, z dnia na dzień i z tygodnia na tydzień, wzbierało w Tomie pragnienie ujżenia choćby raz jeden prawdziwego królewicza – królewicza z krwi i kości, aż wreszcie pochłonęło ono wszystkie inne marzenia i stało się jedyną pasją w życiu małego nędzarza.

Pewnego dnia styczniowego Tom, bosy i zziębnięty, odbywał zwykłą żebraczą wędrowkę i przez wiele godzin wałęsał się beznadziejnie pomiędzy Mincing Lane a Little East Cheap. Zaglądał do okien pasztetników i pożerał wzrokiem wystawione tam ohydne zapiekanki z wieprzowiną i inne szatańskie wymysły, które były dlań smakołykami godnymi aniołów; oceniał je wszakże tylko po zapachu, bo nigdy nie miał okazji spożyć żadnego z tych przysmaków. Siekł drobny, zimny deszczyk, dzień był szary i posępny. Wieczorem Tom wrócił do domu tak przemokły, zmęczony i głodny, że nawet ojciec i babka musieli wzruszyć się jego żalonym wyglądem; toteż wzruszyli się na swój sposób, bo obdarowawszy chłopca tylko kilkoma pospieszonymi kuksańcami, wysłali go zaraz spać. Przez długi czas ból i głód oraz klątwy i odgłosy bójek odbywających się w całym domostwie nie pozwalały chłopcu zmrzyć oka; ma koniec jednak myśli małego nędzarza pomknęły ku odległym, romantycznym krainom i biedak usnął w towarzystwie obsypanych złotem i klejnotami królewiąt, które mieszkają w ogromnych pałacach i mają do dyspozycji służbę bijącą korne pokłony albo błyskawicznie spełniającą rozkazy. Potem śniło mu się, jak zwykle, że on również jest królewskim dzieckiem. Jak noc długa, lśniła nad nim gloria monarszego majestatu; chłopiec przechadzał się w potokach światła pośród wytwornych dam i lordów, oddychał upojnymi woniami, uchem łowił tony precudownych melodii, tutaj uśmiechem, tam skinieniem księżęcej głowy odpowiadał na dworskie ukłony ciżby, która rozstępowała się, aby zrobić mu drogę.

Kiedy zaś otworzył oczy z rana i spojrzął na panoszącą się wokół nędzę, sny owe wywołały ten sam co zazwyczaj skutek – tysiącrotnie zwiększyły ohydę prawdziwego otoczenia. Potem przyszły żałość i rozpacz, i łzy.

ROZDZIAŁ III

SPOTKANIE TOMA Z KRÓLEWICZEM

Tom wstał głodny i głodny wymknął się z domu, lecz głowę miał pełną myśli o mglistych wspaniałościach sennego marzenia. Błąkał się po mieście tu i ówdzie, nie bardzo wiedząc, dokąd idzie ani co się dzieje wokół. Ludzie potrącali go, niektórzy nawet besztali złym słowem, wszystko to jednak nie docierało do zadumanego chłopca. Po jakimś czasie znalazł się w pobliżu Tempie Bar; tak daleko nigdy jeszcze nie dotarł w swoich wędrówkach. Przystanął, zastanowił się przez chwilę, potem zaś poddał znowu władzy fantazji i wyszedł poza mury Londynu. Strand przestał już wówczas być gościńcem i uważał się za ulicę, lecz bez większego uzasadnienia, bo ulicę tę po jednej tylko stronie wytyczał stosunkowo ciągły szereg domostw, z drugiej zaś stały z rzadka okazałe gmachy – magnackie pałace otoczone rozległymi, uroczymi ogrodami ciągnącymi się aż do rzeki; tereny te są teraz ciasno zabudowane posepnymi akrami cegły i kamienia.

Tom odkrył niebawem wioskę Charing i przysiadł na chwilę pod pięknym krzyżem zbudowanym tam dawnymi laty przez owdowiałego króla. Następnie niedbałym krokiem ruszył spokojną, piękną aleją, minął wspaniały pałac potężnego kardynała i zbliżył się do jeszcze wspanialszego i bardziej majestatycznego gmachu – do Westminsteru. Z radosnym podziwem przyglądał się ogromnej budowli, jej szeroko rozpostartym skrzydłom, groźnym bastionom i basztom, olbrzymiej kamiennej bramie zdobnej złożonymi prętami, wspaniałym szeregiem wielkich granitowych lwów oraz innymi godłami i symbolami angielskiego domu panującego. Czy zaspokojone ma być wreszcie pragnienie jego duszy? Przecież to pałac królewski! Tutaj, za wolą niebios, Tom może zobaczyć zaraz prawdziwego królewicza – i królewicza z krwi i kości!

Po obydwu stronach złożonych wrót stały żywe posągi – wyprostowani, uroczyści i nieruchomi gwardziści, od stóp do głów okuci w lśniące stalowe zbroje. W przyzwoitej odległości wieśniacy i mieszczanie czekali cierpliwie okazji, aby rzucić okiem na jakąś osobę krwi królewskiej. Wspaniałe karety ze wspaniałymi osobami wewnątrz i wspaniałą służbą na zewnątrz wjeżdżały i wyjeżdżały przez kilka innych wspaniałych bram, które dawały wstęp na królewski dziedziniec.

Biedny mały Tom zbliżył się w swych łachmanach i z wolna, trwożliwie mijał wartowników, a serce biło mu i wzbierało nadzieją; nagle ujrzał przez złożone pręty widok, na który omal nie zakrzyknął radośnie. Na podwórku stał nadobny chłopiec, opalony na brąz od częstych ćwiczeń i zabaw na świeżym powietrzu, odziany w szaty z prześlicznych jedwabi i atłasów, usiane połyskującymi klejnotami. U boku miał mały sadzony drogimi kamieniami mieczyk i puginał, na nogach zgrabne buty z bawolej skóry zdobne czerwonymi obcasami, na głowie wykwinny purpurowy kapelusik z opadającymi w dół piórami przypiętymi wielką, lśniącą agrafą.

W pobliżu tego chłopca znajdowało się kilku okazałych panów – niewątpliwie jego sług. Ach! To przecież królewicz! Królewicz! Prawdziwy i żywy! Nie ma co do tego cienia wątpliwości! Płynące z głębi serca modły małego nędzarza zostały na koniec wysłuchane!

Z wielkiego wrażenia Tom zaczął oddychać szybko, nerwowo, a oczy rozszerzył mu podziw i zachwyt. W myślach chłopca wszystko ustąpiło jednemu pragnieniu, aby znaleźć się bliżej królewicza i dobrze przypatrzeć mu się łakomym wzrokiem. Nim więc zdążył się poła-

pać, co robi, przywarł twarzą do prętów bramy. W tej chwili jeden z żołdaków gwałtownie odrzucił go na bok i popchnął silnie między ciekawy tłum wiejskich gapiów i londyńskich próżniaków.

– Bacz, jak się zachowujesz, ty mały żebraku – złajał go gwardzista.

Tłum odpowiedział szyderczym wrzaskiem i śmiechem, lecz młody książę podskoczył do bramy; twarz mu gorzała, w oczach błyskał gniew.

– Jak śmiałeś tak potraktować biednego chłopca? – zawołał. – Jak śmiesz tak krzywdzić najędźniejszego choćby z poddanych króla, mojego ojca? Otwórz bramę i wpuść go!

Warto było widzieć, jak zmienny tłum zerwał w tej chwili nakrycia głowy. Warto było słyszeć, jak zakrzyknął radośnie: – Niech żyje książę Walii!

Gwardziści sprezentowali halabardy, otworzyli bramę i raz jeszcze sprezentowali broń, gdy mały Książę Ubóstwa w postrzępionych łachmanach wchodził na dziedziniec, ażeby podać rękę Księciu Nieprzebranego Bogactwa.

Edward Tudor powiedział:

– Widać, że jesteś zmęczony i głodny; źle cię tutaj przyjęto. Chodź ze mną.

Kilku dworzan zbliżyło się spiesznie, aby... aby, jak sądzę, zaprotestować. Ale królewicz (owstrzymał ich władcym, iście monarszym gestem, zastygli więc na miejscu niby posągi.

Edward zabrał Toma do pięknej pałacowej komnaty, którą nazwał swoim gabinetem. Na jego rozkaz przyniesiono posiłek taki, jakiego mały nędzarz nie widział dotąd nigdzie i nigdzie – chyba czytał w książkach. Królewicz z wielkopańską delikatnością i dobrym wychowaniem odesłał służbę, aby jej krytyczne spojrzenia nie krępowały tak skromnego gościa; potem usiadł w pobliżu i zadawał pytania, podczas gdy Tom się posilał.

– Jak cię zowią, chłopcze?

– Tom Canty, proszę łaski Waszej Królewskiej Wysokości.

– To dziwne miano. Gdzie mieszkasz?

– W mieście Londynie, proszę łaski Waszej Królewskiej Wysokości. Na Offal Court, przy Pudding Lane.

– Offal Court! Zaiste, drugie dziwne miano! Masz rodziców?

– Rodziców mam, proszę łaski Waszej Królewskiej Wysokości, a także babkę, ale ona wcale mnie nie obchodzi, a niech mi Bóg wybaczy, jeśli powiedziałem coś złego. Mam też dwie siostry, bliźniaczki, Nan i Bet.

– Ze słów twych wnoszę, że babka nie jest dla ciebie zbyt dobra.

– Tak jak dla wszystkich, proszę łaski Waszej Królewskiej Wysokości. Ma złe serce i czyniła zło przez całe życie.

– Krzywdzi cię?

– Czasami ręka jej odpoczywa, kiedy śpi albo jest bardzo pijana, ale jak oprzytomnieje, zaczyna znowu swoje, i tęgie dostają mi się cięgi.

Iskry gniewu błysnęły w oczach małego królewicza.

– Co! Bije cię? – zawołał.

– A pewnie, proszę łaski Waszej Królewskiej Wysokości.

– Bije cię! Taki jesteś przecie słaby i mały. Słuchaj, nim noc zapadnie, znajdzie się ona w Tower. Król, mój ojciec...

– Wasza Królewska Wysokość zapomnieć raczył, że moja babka pochodzi z niskiego stanu. Tower jest tylko dla wielkich ludzi.

– Tak, tak, prawda. Nie pomyślałem o tym. Zastanowię się jeszcze nad karą dla niej. A ojciec dobry jest dla ciebie?

– Nie lepszy niż babcia Canty, Wasza Królewska Wysokość.

– Może wszyscy ojcowie są podobni. Mój też nie ma anielskiego usposobienia i ciężką ręką karze; mnie jednak oszczędza chociaż czasami, wstyd powiedzieć, nie skąpi przykrych słów. Jakże traktuje cię matka?

– Jest dobra, panie, i nie sprawia mi żadnych przykrości ani bólu, Nan i Bet są do niej podobne.

– Ile lat mają?

– Piętnaście, proszę łaski Waszej Królewskiej Wysokości.

– Lady Elżbieta, moja siostra, ma czternaście lat, a lady Jane Grey, moja kuzynka, jest w równym ze mną wieku. Lady Jane Grey jest urodziwa i miła. Ale moja siostra, lady Maria, z tą swoją posepną miną i... Słuchaj, czy twoje siostry zabraniają służebnym uśmiechać się i twierdzą, że uśmiech grozi zbawieniu duszy?

– Moje siostry? Ach, czy Wasza Królewska Wysokość myśli, że moje siostry mają służebne?

Mały królewicz przez chwilę przyglądał się poważnie małemu żebrakowi, a później rzekł:

– Za pozwoleniem, a czemu mieć by ich nie miały? Któż pomaga im rozbierać się na noc? Któż odziewa je, gdy wstają z rana?

– Nikt. Czy chcielibyście, panie, aby zwłóczyły szatę i spały gołe jak zwierzęta?

– Szatę? Czy każda z nich nosi tylko jedną szatę?

– Cóż, proszę łaski Waszej Królewskiej Wysokości, robić by mogły z większą ich ilością? Każda z mych sióstr ma przecież jedno tylko ciało.

– To dziwaczny, osobliwy pomysł! Wybacz mi, nie chciałem się śmiać. Twoje dobre siostry, Nan i Bet, rychło będą już miały stroje i służbę; zajmie się tym mój podskarbi. Nie, nie dziękuj! To drobiazg. Mówisz rozumnie, z przyrodzoną gracją. Jesteś uczony?

– Tego nie wiem, Wasza Królewska Wysokość. Dobry kapłan, którego zwiemy księdzem Andrzejem, z litości uczył mnie po trosze ze swych ksiąg.

– Czy znasz łacinę?

– Tylko niewiele, Wasza Królewska Wysokość.

– Ucz się jej, chłopcze, to rzecz trudna tylko na początku. Grecki jest trudniejszy, ale ani te języki, ani inne nie są, jak mi się zdaje, trudne dla lady Elżbiety albo mej kuzynki. Winienesz posłuchać, jak posługują się nimi te młode damy! Ale opowiadaj lepiej o swoim Offal Court. Czy żyje ci się tam przyjemnie?

– Prawdę rzekłszy, proszę łaski Waszej Królewskiej Wysokości, tak – chyba że człowiek jest głodny. Odwiedza nas wędrowny teatr marionetek, a także małpki... Och, takie ucieszne stworzenia i tak zabawnie poubierane! Czasami bywają przedstawienia, w których ci, co grają, krzyczą i walczą, dopóki się wszyscy nie wymordują. Miło na to popatrzeć, a kosztuje tylko ćwierć pensa... Chociaż czasami trudno bywa o ćwierć pensa, proszę łaski Waszej Królewskiej Wysokości.

– Opowiedz mi coś więcej.

– My, chłopcy z Offal Court, walczymy między sobą na pałki, tak jak to mają we zwyczaju terminatorzy.

Oczy królewicza zapłonęły.

– Ach, to by mi się podobało! – zawołał. – Mów dalej.

– Urządzamy też wyścigi, aby przekonać się, kto z nas najszybciej biega.

– I to by mi się podobało. Mów dalej.

– Latem brodzimy i pływamy po kanałach i rzece, a każdy topi na niby sąsiada, opryskuje go wodą i nurkuje, i krzyczy, i fika kozły, i...

– Ach, raz się tak zabawić! Warte to królestwa mojego ojca! Proszę cię, mów dalej,

– Tańczymy i śpiewamy dokoła Maika na Cheapside. Bawimy się w piasku i każdy zasypuje najbliższego sąsiada. Robimy także kołaczki z błota, z takiego wspaniałego błota! Na całym świecie nie ma chyba lepszego niż u nas. Po prostu nurzamy się w błocie, za przeproszeniem Waszej Królewskiej Wysokości.

– Ach, to mi zabawa! Nie mów nic więcej, proszę. Ach, gdybym mógł przywdziać strój podobny twemu i rozzuć się, i raz pohulać w błocie, raz jeden tylko! I żeby nikt mnie nie łajał, nie wzbraniał tego lub owego! Na Boga! Snadnie zrzekłbym się korony!

– A gdybym ja mógł ubrać się raz tylko, piękny panie, tak, jak wyście ubrani, raz jeden...

– Chciałbyś naprawdę? Niech więc tak będzie. Ściągaj łachmany, chłopcze, i bierz te wspaniałości. Radość nie będzie długa, lecz nie straci przez to uroku. Korzystajmy z niej, pókad można. Później znowu zamienimy szaty, nim nadejdzie ktoś i zacznie mnie nudzić.

Po niewielu minutach mały książe Walii przebrał się w dziurawe szmaty Toma, a mały Książe Ubóstwa przyodziął świetne monarsze szaty. Obaj zbliżyli się do wielkiego zwierciadła, stanęli ramię w ramię i... o dziwo. Zdawać się mogło, że nie nastąpiła żadna odmiana! Chłopcy spojrzeli na siebie, potem w lustrza na taflę, potem znowu jeden na drugiego. Wreszcie zdumiony królewicz zapytał:

– I cóż ty na to?

– Ach, proszę łaski Waszej Królewskiej Wysokości, niechże wolno mi będzie nie odpowiadać. Nie godzi się, aby człek mojego stanu mówił o takiej sprawie.

– No, to ja powiem! Masz takie same jak ja włosy, takie same oczy, taki sam głos i ruchy, taki sam wzrost i postawę, takie same rysy i wyraz twarzy jak ja! Gdybyśmy stanęli nadzy, nikt nie zdołałby orzec, który z nas jest tobą, który zaś księciem Walii. A teraz, gdy odziałem się tak, jak ty byłeś odziany, zdaje mi się, że mógłbym odczuć to wszystko, co ty czuleś, kiedy ten grubianin, ten żołdak... Słuchaj, masz chyba siniaka na rękę?

– Tak, ale to drobiazg, a Wasza Królewska Wysokość wie przecież, że biedny żołnierz...

– Milcz! Postąpił haniebnie i okrutnie! – zawołał mały książe i tupnął bosą nogą. – Jeżeli król... Nie ruszaj się stąd krokiem, póki nie wrócę! Tak rozkazuję!

W jednej chwili porwał i ukrył gdzieś przedmiot o znaczeniu państwowym, który leżał dotychczas na stole, skoczył na dziedziniec i przez pałacowy ogród biegł w powiewających łachmanach. Twarz płonęła mu gniewem, oczy gorzały. Gdy znalazł się przy głównej bramie, chwycił za pręty i próbował wstrząsnąć wrzeczadze.

– Otwierać! Odryglować bramę – krzyczał.

Gwardzista, który tak okrutnie potraktował Toma, usłuchał bez wahania, kiedy zaś królewicz – pełen srogiego, iście monarszego gniewu – wybiegł za bramę, żołdak ów tego wytargał go za ucho i pchnął, aż Edward zataczając się wypadł na gościniec.

– Masz, podły żebraku, za to, co przez ciebie dostało mi się od Jego Królewskiej Wysokości! – zawołał gwardzista.

Tłum ryknął śmiechem. Królewicz podniósł się z błota i pałając gniewem, zwrócił się do wartownika:

– Jam książe Walii – krzyknął. – Osoba moja święta. Będziesz wisiał za to, żeś poważył się tknąć mnie ręką.

Gwardzista sprezentował halabardę i powiedział drwiąco:

– Pokłon Waszej Królewskiej Wysokości. – Potem zaś dorzucił gniewnie: – Zmykaj, zwarowany śmieciarzu!

W tej chwili wrzaskliwy tłum otoczył nieszczęśliwego małego królewicza i pognął go drogą, hukając nań i krzycząc:

– Miejsce dla Jego Królewskiej Wysokości! Miejsce dla księcia Walii!

ROZDZIAŁ IV

POCZĄTEK NIEDOLI KRÓLEWICZA

Po kilku godzinach zacieklego pościgu i dręczenia motłoch porzucił wreszcie małego królewicza i zostawił go własnemu losowi. Dopóki chłopiec był w stanie gniewać się na tłum, gromić go po królewsku i po królewsku rzucać rozkazy, był zabawny i dobry stanowił powód do śmiechu. Kiedy jednak utrudzenie zmusiło go do milczenia, przestał interesować prześladowców, którzy gdzie indziej poszli szukać rozrywki.

Królewicz rozejrzał się dokoła, lecz nie potrafił rozpoznać miejsca. Wiedział tyle tylko, że znajduje się w obrębie murów Londynu. Bez celu ruszył przed siebie. Rychło szeregi domów zrzedniały i coraz mniej trafiało się przechodniów. Edward opłukał pokrwawione stopy w strudze, która płynęła wówczas tam, gdzie dziś znajduje się Farringdon Street. Odpoczął chwilę, później zaś ruszył znów przed siebie i niebawem, wyszedł na rozległy plac, przy którym stało tylko kilka pojedynczych domów i nader okazały kościół. Królewicz poznał tę świątynię, otoczoną ze wszech stron rusztowaniami; wokół roili się tłumnie robotnicy, ponieważ budowlę przerabiano gruntownie. Królewicz nabrał wnet otuchy, gdyż poczuł, że zbliża się koniec jego utrapień. Powiedział sam do siebie:

„To stary klasztor franciszkanów. Król, mój ojciec, odebrał go mnichom, nazwał Przytułkiem Chrystusa i na wieczne czasy oddał na dom dla biednych, opuszczonych dzieci. Chętnie przysłużą się tu synowi tego, który obdarował ich tak hojnie, tym bardziej że syn ów jest teraz tak biedny i opuszczony jak wszyscy, którzy chronią się tu dzisiaj albo chronić będą w przyszłości”.

Królewicz znalazł się wnet pośród hordy chłopców, którzy biegali, skakali, grali w piłkę lub barani skok albo z wielką wrzawą uprawiali inne rozrywki. Wszyscy odziani byli jednako w strój używany w owe czasy przez służbę i terminatorów. Każdy nosił na czubku głowy płaską czarną czapeczkę, mniej więcej wielkości spodka, która ze względu na mały rozmiar nie była przydatna jako nakrycie głowy ani też nie mogła uchodzić za ozdobę. Spod czapeczki spływała do połowy czoła prosto przycięta grzywka, a włosy na reszcie głowy były krótko ostrzyżone. Chłopcy mieli ponadto kołnierze jak osoby duchownego stanu, obcisłe, sięgające poniżej kolan, niebieskie oponcze z długimi, obszernymi rękawami, szerokie, czerwone pasy, jasnożółte pończochy za kolana i płytkie trzewiki z dużymi metalowymi sprzączkami. Strój ten był zatem wystarczająco brzydki.

Chłopcy przerwali zabawę i niby trzoda owiec skupili się wokół królewicza, ten zaś przemówił z wrodzoną godnością.

– Dobrzy chłopcy, rzeknijcie swemu panu, że Edward, książę Walii pragnie z nim pomóc.

Odpowiedzią był wielki krzyk, a jakiś krzepki wyrostek zawołał:

– A może ty, żebraku, jesteś wysłannikiem Jego Królewskiej Wysokości?

Twarz Edwarda zapłonęła gniewem; skora dłoń sięgnęła do biodra, lecz niczego tam nie znalazła. Wybuchnął huragan śmiechu, jeden zaś z chłopców powiedział:

– Widzieliście? Myśli, że ma miecz. Może to sam książę Walii?

Żart ów wywołał nowy śmiech. Nieszczęsny Edward wyprostował się dumnie i rzekł:

– Ja jestem księciem, a wam, którzy żyjecie z łaski króla, mojego ojca, nie przystoi chyba szydzić, tak ze mnie.

Słowa te wywołały wiele wesołości, o czym świadczyć mógł gromki śmiech. Wyrostek, który odezwał się pierwszy, zawołał teraz do swoich towarzyszy:

– Hej, hołoto, niewolnicy, dziady żyjące z łaski ojca Jego Królewskiej Wysokości, jak się zachowujecie? Na klęczki wszyscy! Oddajcie pokłon monarszej godności i monarszym łachmanom!

Wśród okrzyków uciechy wszyscy jak jeden padli na kolana i złożyli szyderczy hołd swej ofierze. Królewicz trącił nogą najbliższego chłopca i powiedział gniewnie:

– Masz! To na razie, poczekaj wszakże jutra, a zbudować każę szubienicę dla ciebie.

Ach, to nie był figiel: to przekraczało granice zabawy. Śmiech umilkł w jednej chwili, a miejsce jego zajęła wściekłość. Tuzin głosów wrzasnął:

– Łapaj go! Do sadzawki, do sadzawki! Gdzie psy? Pójdź tu, Lew, Kiel, tutaj!

Potem dokonano czynu, jakiego dotychczas nie widziała Anglia: święta osoba następcy tronu została grubiańsko znieważona przez plebejskie ręce, obalona, poszarpana przez psy.

Późnym wieczorem królewicz znalazł się w głębi gęsto zabudowanej dzielnicy miasta. Miał wiele sińców, ręce mu krwawiły, a łachmany splamione były błotem. Szedł dalej i dalej, coraz bardziej znękany, zdrożony i tak słaby, że z trudnością włókł nogę za nogą. Przestał zadawać ludziom pytania, bo przynosiły mu tylko zniewagi miast odpowiedzi. Zaczął szeptać sam do siebie:

– Offal Court... tak to się nazywało. Jeżeli znajdę ten zaułek, nim całkowicie opadnę z sił i legnę, będę ocalony. Jego rodzina odprowadzi mnie do pałacu i łatwo dowiedzie, że nie należę do niej, lecz prawdziwym jestem królewiczem. Wówczas odzyskam swe prawa.

Od czasu do czasu wracał myślami do przyjęcia zgotowanego mu przez grubiańskich chłopców z Przytułku Chrystusa.

„Kiedy zostanę królem – myślał – muszę dać im nie tylko chleb i schronienie, lecz również naukę książki, bo pełny brzuch niewiele znaczy, gdy umysł i serce umierają z głodu. Na zawsze postaram się zapamiętać tę dzisiejszą lekcję, aby nie poszła na marne i lud mój nie cierpiał z tego powodu. Nauka zmiękcza bowiem serca i uczy uprzejmości oraz miłosierdzia”.

Światła przygasły, deszcz zaczął padać, zerwał się wiatr. Przyszła chłodna ponura noc. Bezdomny królewicz, zbłąkany dziedzic angielskiego tronu, szedł wciąż przed siebie i coraz głębiej zapuszczał się w gęstwą niechlujnych uliczek, w labirynt rojnych uli ubóstwa i nędzy.

Nagle jakiś pijany drab chwycił go za kołnierz i warknął:

– Mam cię! Znowu włóczyz się po nocy, a do domu nie przyniosłeś ani ćwierć pensa! Jeżeli nie połamię wszystkich gnatów w tym twoim chudym ciele, nie nazywam się John Canty, ale całkiem inaczej.

Królewicz wyrwał się, bezwiednie oczyścił zbezczeszczony rękaw i powiedział żywo:

– Tyś jego ojciec? Oby tak było za wolą miłosiernych niebios! Możesz więc jego zabrać, a mnie odprowadzić do pałacu.

– Jego ojciec? Nie rozumiem, o co ci chodzi, ale wiem, że twoim jestem ojcem, i zaraz przekonasz się o...

– Ach, nie żartuj, nie mów tak wiele, nie trać czasu! Jestem zmęczony, obolały, nie wytrzymam już długo. Zaprowadź mnie do króla, mojego ojca, a on da ci bogactwa, o jakich nie marzyłeś w najśmielszych snach. Uwierz mi, człowieku, uwierz! Nie kłamię. Mówię najszczerzą prawdę! Podaj pomocną dłoń! Ratuj mnie! Naprawdę jestem księciem Walii!

Zdumiony drab spojrzął z góry na chłopca, później zaś pokręcił głową i mruknął:

– Oszalał na dobre, niby taki ze szpitala wariatów. – Potem chwycił znów królewicza za kołnierz, wybuchnął ochryplym śmiechem, zaklął i zawołał: – Wariat z ciebie czy nie wariat, ale jakem prawdziwy mężczyzna, ja i babcia Canty dobierzemy ci się zaraz do słabizny.

Powiedziawszy to powlókł rozsierzonego, szamoczącego się królewicza i zniknął w głębi podwórka, a za nim podążył gwar ubawionego tym zdarzeniem ludzkiego mrowia.

ROZDZIAŁ V

TOM W ROLI PATRYCJUSZA

Tom Cauty pozostał sam w gabinecie królewicza, korzystał więc z okazji. We wszystkie strony obracał się przed wielkim zwierciadłem i podziwiał swe piękne szaty. Potem oddalił się nieco i naśladując godne ruchy królewicza, wciąż oglądał swe odbicie w lustrzanej tafli. Następnie dobył z pochwy piękny mieczyk, skłonił się nisko, ucałował klingę i płazem przyłożył ją do piersi, widział był bowiem przed pięcioma czy sześcioma tygodniami, że czynił tak jakiś szlachetny rycerz, gdy pozdrawiał gubernatora Tower oddając w jego ręce dostojnych lordów Norfolka i Surreya. Mały żebrak bawił się wiszącym mu u pasa wysadzonym drogimi kamieniami puginałem, podziwiał kosztowne i piękne dekoracje komnaty, próbował po kolei wszystkich wspaniałych foteli i myślał o tym, jakby się pysznił, gdyby towarzysze z Offal Court mogli zajrzeć tu i na własne oczy zobaczyć jego wielkość. Zastanawiał się również, czy towarzysze ci uwierzą w dziwną baśń, kiedy on wróci do domu i opowie im wszystko, czy też będą potrząsać głowami mówiąc, że zbyt bujna wyobraźnia pomieszała mu zmysły.

Minęło pół godziny. Tom uświadomił sobie nagle, że królewicz wyszedł już dawno, poczuł się więc nieswojo, zaczął bacznie nasłuchiwać, rozglądać się wokół i przestał interesować się różnymi cackami. Ogarnęło go zmieszanie, potem niepokój, wreszcie strach. Gdyby tak ktoś wszedł i zastał go w książęcych szatach, królewicza zaś nie byłoby na miejscu, aby udzielić wyjaśnień? Czy nie mogliby zaraz powiesić Toma, a później dopiero dokładniej wejrzeć w sprawę? Słyszał przecie, że ludzie wielcy pochopnie załatwiają rzeczy drobne. Obawy jego rosły i rosły. Cały drżący, ostrożnie uchylił drzwi do przedsionka, postanowił bowiem wymknąć się i odszukać królewicza, a wraz z nim znaleźć opiekę i wolność. Sześciu strojnych dworzan i dwaj barwni niby motyle młodzi paziowie wysokiego rodu porwali się miejsce i skłonili nisko. Tom cofnął się szybko: zamknął drzwi.

– O, drwią ze mnie! – westchnął. – Pójdą teraz i rozpovedzą wszystko. Ach, czemuż tu przyszedłem, czemu naraziłem życie?

Pełen nieokreślonych obaw przechadzał się tam i z powrotem po komnacie, nasłuchiwał i wzdrygał się przy każdym najśłabszym bodaj dźwięku. Niebawem drzwi otwarły się szeroko, a strojny w jedwabie paż oznajmił:

– Lady Jane Grey.

Drzwi zamknęły się znowu. Śliczna, bogato odziana dziewczeczka podbiegła do Toma, lecz zatrzymała się nagle i zapytała trwożnym głosem:

– Ach, czemuś zatroskany, panie mój?

Tom niemal przestał oddychać, zdołał jednak wyjąkać z trudem:

– Ach, ulituj się, pani. Doprawdy, ja nie żaden twój pan, tylko biedny Tom Cauty z Offal Court w mieście. Błagam, zaprowadź mnie do królewicza! On na pewno będzie dobry, zwróci mi moje łachmany i pozwoli odejść bezkarnie. Ach, ulituj się, pani, ratuj mnie!

W trakcie tej przemowy biedak padł na kolana, wznosił złożone jak do modlitwy ręce i błagał nie tylko głosem, lecz również pokornym wzrokiem. Dzieweczka była przerażona.

– O panie mój – zawołała – ty na klęczkach? Przede mną!

Z tymi słowy uciekła w popłochu, a zrozpaczony Tom padł na podłogę szepcząc:

– Znikąd pomocy, znikąd nadziei. Teraz przyjdą i wezmą mnie na pewno.

Kiedy leżał tak, skamieniały ze zgrozy, okropna wieść szybko rozniosła się po pałacu. Szepty (bo o zdarzeniu tym mówiono tylko szeptem) płynęły od sługi do sługi, od lorda do damy, wzdłuż długich korytarzy, z piętra na piętro, z sali do sali: „Królewicz oszalał, królewicz oszalał!” Wkrótce we wszystkich salonach, we wszystkich marmurowych przedsionkach widać było grupki strojnych dam i lordów, inne zaś świetne grupki (osób pośledniejszego rodu) z zafrasowaniem rozprawiwały szeptem na uboczu. Wszystkie twarze pełne były troski. Niebawem wspaniale odziany herold dostojnym krokiem zaczął przechadzać się obok owych grupek i obwieszczał uroczyście:

„W imieniu króla!

Niechaj nikt nie słucha fałszywych a niedorzecznych wieści ani, pod karą śmierci, nie rozpowszechnia ich, ani nie wynosi z pałacu.

W imieniu króla!”

Szepty umilkły, jak gdyby szepczący zaniemówili nagle. Wnet jednak wzdłuż korytarza rozległ się szmer: – Królewicz! Oto królewicz nadchodzi!

Biedny Tom mijał powoli nisko kłaniające się grupy, próbował odpowiadać ukłonami i żalosnym, zdziwionym wzrokiem spoglądał trwożnie na osobliwe otoczenie. Po obydwu jego stronach szli dostojni panowie, którzy wspierali Toma ramionami i w ten sposób pomagali mu stapać pewnym krokiem. Za nim podążali królewscy medycy i kilku dworzan.

Mały żebrak znalazł się wnet we wspaniałej komnacie i posłyszał, że drzwi za nim się zamknęły. Otaczali go ci, którzy przyszli z nim tutaj.

Przed Tomem, w niewielkiej odległości, spoczywał na łożu bardzo okazały i bardzo otyły mężczyzna z pełną, nalaną twarzą i oczyma o surowym wejrzeniu. Wielka jego głowa była zupełnie siwa, podobnie jak faworyty, które niby ramka okalały lice. Miał na sobie szaty z kosztownych materii, lecz stare i wytarte nieco na szwach. Spuchniętą nogę spowitą bandażami wspierał na poduszce. Wokół panowała cisza, a wszystkie głowy z wyjątkiem głowy owego mężczyzny chyliły się w pełnym szacunku pokłonie. Ten chory o surowym wyrazie twarzy był to groźny Henryk VIII. Król odezwał się, a gdy mówił, twarz łagodniała mu stopniowo:

– I cóż, Edwardzie, mój królewiczu? Czy ponurym żartem chcesz ranić tego, który cię kocha i zawsze jest dla ciebie łaskawy – mnie, dobrego króla, twojego ojca?

Początku tej przemowy biedny Tom słuchał tak uważnie, jak pozwalały jego zmęczone myśli, kiedy jednak padły słowa: „mnie, dobrego króla”, twarz mu zbieleła i runął na kolana niby człowiek trafiony strzałą.

– Wy królem, panie! A więc biada mi, biada – zawołał podnosząc rękę.

Słowa te zdumiały widać Henryka, bo bezradnie przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą, wreszcie spojrział smutno na klęczącego przed nim chłopca.

– Niestety – rzekł powoli tonem głębokiego żalu – sądziłem, że pogłoski wyprzedzają prawdę, lecz obawiam się teraz, iż popełniłem omyłkę. – Potem westchnął głęboko i podjął znacznie łagodniejszym tonem: – Zbliź się do ojca, dziecię, nie jesteś zdrowy.

Tomowi pomogli wstać. Pokorny i drżący chłopiec podszedł do władcy Anglii. Król ujął w dłonie jego przestraszoną twarz i badawczym, rozmiłowanym wzrokiem wpatrzył się w nią, jak gdyby szukał upragnionych objawów wracającej świadomości. Później przytulił do piersi kędzierzawą głowę i gładził ją czule.

– Poznajesz przecież swego ojca, dziecię? – zapytał. – Nie rań starego serca; powiedz, że mnie poznajesz. Przecież poznajesz mnie, prawda?

– Tak. Jesteście, o panie, moim potężnym władcą i królem, którego oby Bóg zachował wiecznie!

– To prawda, prawda... Masz rację... Uspokój się, nie drzyj tak mocno. Nikt nie zrobi ci tutaj krzywdy. Wszyscy się kochają. Czujesz się już lepiej. Niedobry sen mija, prawda? I sie-

bie już poznajesz. Powiedz, że poznajesz. Nie będziesz nosił już cudzego imienia, którym, jak powiadają, nazwałeś się niedawno?

– Błagam, miłosierny panie, abyście zechcieli mi wierzyć! Mówiłem tylko szczerą prawdę. Jestem najędźniejszym pośród waszych poddanych, nędzarzem z urodzenia. Tutaj znalazłem się nieszczęsnym przypadkiem, chociaż bez własnej winy. Jestem za młody, aby umierać, a wy, miłosierny panie, możecie mnie ocalić jednym słówkiem. Ach, wymówcie je, miłosierny panie!

– Aby umierać? Nie mów tak, miły królewiczu. Uspokój, uspokój swe zbolełe serce. Na pewno nie umrzesz!

Z radosnym okrzykiem Tom padł znów na kolana.

– Oby Bóg nagroził wasze miłosierdzie, królu mój, i zachował was długo na chwałę waszego kraju!

Potem wstał, z rozjaśnionym obliczem zwrócił się do dwóch towarzyszących mu lordów i zawołał:

– Słyszeliście? Nie umrę! Król tak rzekł!

Słowa te nie wywarły większego wrażenia. Wszyscy skłonili się z głęboką czcią, lecz nikt się nie odezwał.

Tom zawahał się i stropił nieco, potem zaś pokornie zapytał króla:

– Czy wolno mi już odejść, miłosierny panie?

– Odejść? Oczywiście, jeżeli taka twoja wola. Czemu jednak nie miałbyś zostać jeszcze trochę? Dokąd to chciałbyś odejść?

Tom spuścił wzrok i odrzekł nieśmiało:

– Pomyliłem się widać, sądziłem bowiem, że wolny jest, i wrócić chciałbym do rudery, gdzie urodziłem się i chowałem w nędzy. Tam jest schronienie mojej matki i siostr, tam jest mój dom. Ten zaś przepych i zaszczyty, do których nie przywykłem... Ach, błagam, miłosierny panie, pozwólcie mi odejść!

Król milczał, popadł w zadumę. Twarz jego zdradzała coraz większy niepokój i troskę. Wreszcie przemówił, a w głosie jego zabrzmiała nuta nadziei:

– Być może oszalał pod tym jedynie względem, w innych zaś kwestiach zmysły ma nie pomieszczone. Boże, spraw, ażeby tak było! Uczynimy próbę.

Po łacinie zadał Tomowi jakieś pytanie, na które chłopiec odpowiedział z trudem w tym samym języku. Król był uszczęśliwiony i nie krył radości. Panowie i medycy nie szczędzili również objawów zadowolenia. Henryk powiedział:

– Odpowiedź nie była godna wiedzy i zdolności mego syna, dowodzi wszakże, iż umysł jego jest tylko chory, nie do cna porażon. A cóż wy na to?

Zapytany medyk skłonił się nisko i odparł:

– Zgadza się to z głębokim moim przekonaniem, że słusznieście odgadli, miłosierny panie.

Król uradował się, kiedy dodał mu otuchy znakomity autorytet, ciągnął więc pogodniej:

– Uważajcie teraz wszyscy, bo czynić będziemy dalsze próby.

Powiedziawszy to, zadał Tomowi pytanie po francusku. Chłopiec stał przez chwilę niemy i zawstydzony zwróconymi nań spojrzzeniami tyłu oczów, potem zaś odrzekł skromnie:

– Nie znam tego języka, miłosierny panie.

Król opadł na łożo. Pokojowcy skoczyli mu na pomoc, ale on odprawił ich i powiedział:

– Nie naprzykrzajcie się; to tylko chwilowa słabość. Podnieście mnie! Tak, już wystarczy. Chodź tutaj, dziecię. Tak, złóż biedną, skołataną główkę na mym ojcowskim sercu i uspokój się. Rychło już ozdrowiejesz. To przemijająca złuda. Nie obawiaj się. Rychło ozdrowiejesz.

Potem zwrócił się do zebranych dworzan. Zmieniło się jego łagodne obejście, z oczu strzeliły groźne błyskawice.

– Słuchajcie wszyscy! – przemówił. – Ten oto syn mój jest szalony, ale to niemoc chwilowa. Zaszkodziło mu zbyt wiele nauki i to, że za długo w dusznych przebywa komnatach.

Precz teraz księgi i nauczyciele! Baczcie wszyscy, aby się tak stało. Zabawiajcie go igraszkami i ćwiczeniami na świeżym powietrzu, a wnet przywrócić mu zdrowie.

Król podniósł się jeszcze wyżej i ciągnął stanowczym tonem:

– On jest szalony, nie przestał jednak być moim synem oraz dziedzicem tronu Anglii, a szalony czy zdrowy, będzie panował! Słuchajcie dalej i wszem to rozgłoście: każdy, kto mówi o tej jego przypadłości, działa przeciw pokojowi i porządkowi w naszych królestwach i pokarany będzie szubienicą!... Dajcie mi pić!... Cały płonę... Troska sił mnie zbawia... Weźcie, weźcie już ten puchar!... Wesprzyjcie mnie! O, tak... Teraz dobrze. Co, szaleniec? Gdyby był nim nawet po tysiąckroć, jest i zostanie księciem Walii, a ja, król, to potwierdzę. Niechaj już jutro zostanie mu nadana godność księcia z właściwym i starożytnym ceremoniałem. Uważaj to za rozkaz, lordzie Hertford.

Jeden z wielmożów ukląkł przy królewskim łożu i rzekł:

– Miłociwemu panu wiadomo, iż Dziedziczny Wielki Marszałek Anglii, obwiniony o zdradę, znajduje się w Tower. Nie godzi się, ażeby obwiniony...

– Milcz! Nie znieważaj mych uszu tym nienawistnym mianem! Czy ten człowiek ma żyć wiecznie? Czy nie stanie się zadość mojej woli? Czy książę Walii nie uzyska swej godności, dlatego że, do kroćset, królestwu brak wolnego od piętna zdrady marszałka, który synowi memu mógłby nadać należne tytuły? Nie, na Boga Wszchemogącego! Uprzedź mój parlament, że zanim słońce wzejdzie po raz drugi, mają mi tu przynieść wyrok na Norfolka albo też srogo mi za to zapłacić.

Wola króla jest prawem – powiedział lord Hertford. Wstał z klęczek i powrócił na dawne swe miejsce.

Gniew niknął powoli z oblicza starego monarchy, który powiedział:

– Pocałuj mnie, mój królewiczu, o tak... Czemu się lękasz? Przecież ja jestem twoim kochającym ojcem.

– Jesteście dobrzy dla mnie niegodnego, o potężny, miłociwy królu. To pojąłem już dobrze, ale... ale smuci mnie myśl o tym, który ma umrzeć...

– Ach, jakie to podobne do ciebie, jakie podobne! Wiem teraz, że pozostało ci to samo serce, chociaż umysł ucierpiał tak srodze. Zawsze byłeś jednak chłopcem łagodnym. Ale książę ów stoi pomiędzy tobą a twoimi godnościami. Na jego miejsce wprowadzę innego, który nie okryje hańbą wielkiego urzędu. Uspokój się, mój królewiczu, i biednej głowy nie zaprzataj tą materią.

– Ale to z mojej winy, miłociwy panie, ma on stąd odejść. Gdyby nie ja, mógłby przecie żyć jeszcze przez długie lata.

– Ach, nie myśl o nim, królewiczu: nie godzien tego. Ucałuj mnie raz jeszcze i spiesz do swych igraszek i zabaw. Dręczy mnie znów cierpienie. Strudzony jestem i pragnę spoczynku. Idź ze swym wujem Hertfordem i ze swym dworem i wracaj tutaj, gdy odpocznę.

Toma wyprowadzono z komnaty. Smutny był, gdyż ostatnie zdanie króla zadało śmiertelny cios miłej nadziei, iż teraz wreszcie wydostanie się na wolność. Raz jeszcze posłyszał szmer stłumionych głosów: – Królewicz, królewicz idzie!

Ogarniał go coraz większy i większy smutek, gdy szedł tak pomiędzy błyszczącymi szeregami zgiętych w pokłonie dworzan, rozumiał bowiem, że teraz jest naprawdę więźniem i na zawsze może zostanie opuszczonym i samotnym księciem zamkniętym w tej złoconej klatce, chyba że Bóg litościwy zmiłuje się i odda mu wolność.

Ponadto zaś wciąż mu się zdawało, że dokądkolwiek zwróci wzrok, widzi unoszącą się w powietrzu odrąbaną głowę i twarz, którą pamiętał dobrze – twarz potężnego księcia Norfolk spoglądającą nań z wyrzutem.

Dawne marzenia Toma były urocze, ale rzeczywistość stała się tak ponura!

ROZDZIAŁ VI

TOM OTRZYMUJE WSKAZÓWKI

Toma zaprowadzono do jednej z najwspanialszych dworskich komnat i kazano mu usiąść, co czynił niechętnie, jako że wokół stało wiele ludzi starszych, i to ludzi nieporównanie wyżej odeń postawionych. Prosił ich, aby również zechcieli usiąść, oni jednak kłaniali się tylko lub dziękowali cichym głosem, lecz stali w dalszym ciągu. Byłby się przy tym upierał, ale jego „wuj”, lord Hertford, szepnął mu na ucho:

– Proszę cię, nie nalegaj, panie mój. Nie uchodzi, aby siadano w twojej przytomności.

W tej chwili oznajmiono lorda St. Johna, który skłonił się wprzód Tomowi, potem zaś rzekł:

– Przybywam z rozkazu króla w sprawie wymagającej tajemnicy. Może Wasza Królewska Wysokość zechce rozkazać, aby oddalili się stąd wszyscy z wyjątkiem dostojnego lorda Hertforda.

Hertford dostrzegł, iż Tom nie wie, co ma zrobić, szepnął mu więc, aby dał znak ręką i nie silił się na słowa, jeśli nie ma po temu ochoty. Dworzanie usunęli się i wówczas dopiero lord St. John przemówił:

– Miłościwy pan rozkazuje, aby dla ważnych racji stanu księżę Walii ukrywał swoją niemoc wszelkimi dostępnymi mu sposoby, dopóki niemoc owa nie minie i królewicz nie wróci do dawnego zdrowia. A mianowicie: aby nie przeczył wobec nikogo, iż jest prawdziwym królewiczem, dziedzicem wspaniałego angielskiego tronu. Aby piastował swą księżęcą godność i bez słowa lub znaku protestu przyjmował objawy czci i hołdu należne mu według praw i odwiecznych obyczajów. Aby wobec wszystkich zaprzestał prawić o tym niskim urodzeniu i nędznym życiu, których obraz podsunęła mu ułuda chorej wyobraźni. Aby ze wszech sił starał się przypomnieć sobie wszystkie twarze, które znać powinien, jeżeli zaś nie przypomni ich sobie, zachowywał się spokojnie i żadnymi objawami zdziwienia lub innymi znakami nie zdradzał, iż zapomniał. Aby przy wystąpieniach publicznych, gdy zdziwi go jakaś sprawa albo nie będzie wiedział, jak zachować się, czy co powiedzieć – nie zdradzał niepokoju wobec spozierających nań ciekawych oczu, lecz o radę zwrócił się do lorda Hertforda lub do mojej niegodnej osoby, jako że obydwaj zostaliśmy przydzieleni do jego służby i z woli króla mamy znajdować się w pobliżu i na każde zawołanie księcia Walii, dopokąd rozkaz ten nie zostanie cofnięty. Tak mówi miłościwy pan, śle pozdrowienia Waszej Królewskiej Wysokości i modli się, aby Bóg w swej łasce szybko was uzdrowił i po wiek wieków miał w swej świętej pieczy.

Lord St. John skłonił się dwornie i stanął na uboczu. Tom odpowiedział tonem rezygnacji:

– Król tak rzekł. Nikomu nie wolno igrać z królewską wolą, chociażby nawet była przykra, ani chytrymi wybiegami naginać jej ku swej wygodzie. Rozkazom króla musi się stać zadość.

– Powracając tedy do rozkazów króla dotyczących ksiąg i innych spraw poważnych – rzekł lord Hertford – może Wasza Królewska Wysokość zechce się teraz zająć jakąś mało trudzącą rozrywką, aby nie znużyć się przed bankietem i nie ucierpieć z tej racji.

Na twarzy Toma pojawił się wyraz pytającego zdziwienia, potem zaś rumieniec, gdy chłopiec zauważył, że lord St. John spojrział nań wielce zatroskanym wzrokiem.

– Pamięć zawodzi was wciąż, panie mój – powiedział lord St. John. – Okazaliście zdziwienie, ale niechaj was to nie trapi, rzecz to bowiem przejściowa, która minie wnet wraz z

chorobą. Dostojny lord Hertford wspomniał o bankiecie wydawanym przez miasto Londyn, na którym Wasza Królewska Wysokość ma być obecny, wedle obietnicy miłościwego pana udzielonej już dwa miesiące temu. Czy Wasza Królewska Wysokość przypomina sobie teraz?

– Z przykrością wyznaję, iż sprawa ta w istocie uszła mej pamięci – powiedział Tom niepewnym głosem i znowu oblał się szkarłatem.

W tej chwili oznajmiono lady Elżbietę i lady Jane Grey. Dwaj lordowie wymienili znaczące spojrzenia i Hertford szybkim krokiem zbliżył się do drzwi, kiedy zaś mijały go młode damy, rzucił stłumionym głosem:

– Niechaj szlachetne panie zechcą udawać, iż nie dostrzegają jego szczególnych humorów, i nie zdradzać zdziwienia, gdy zawiedzie go pamięć. Zasmucicie się, panie, gdy spostrzeżecie, jak załamuje się przy lada drobnostce.

– Błagam, o panie mój – szeptał tymczasem lord St. John do ucha Toma – pilnie baczenie na wolę miłościwego pana. Przypomnijcie sobie wszystko, co możecie, udawajcie, że pamiętacie wszystko inne. Nie dajcie im spostrzec, iż zmieniliście się bardzo, wiecie bowiem, jak czułym sercem kochają was dawne towarzyszki dziecięcych swawoli i jak wielki byłby ich smutek. Czy chcecie, panie, abyśmy tu pozostali – ja i wasz wuj?

Tom wyraził zgodę gestem i cichym słowem, gdyż korzystał już z nauk, a w prostocie serca postanowił słuchać rozkazów króla i zachowywać się najlepiej, jak potrafi.

Pomimo wszelkich środków ostrożności rozmowa młodocianej trójki stawała się chwilami nieco kłopotliwa. Prawdę rzekłszy, wiele razy Tom bliski był załamania i chciał wyznać, iż nie zdoła sprostać niepomiernym obowiązkom. Ratował go jednak takt księżniczki Elżbiety albo w porę i niby mimochodem rzucone słówko jednego czy drugiego z czuwających nad nim lordów. Raz mała lady Jane zwróciła się do Toma i w nie lada kłopot wprawiała go pytaniem:

– O panie mój, czy złożyliście dzisiaj pokłon należny miłościwej pani?

Tom zawahał się i miał już wyjąkać coś na chybił trafił, gdy lord St. John wyręczył go i odpowiedział ze swobodą dworaka przygotowanego zawsze na kłopotliwe pytania:

– Tak, o pani, i wrócił wielce pocieszony rozmową o stanie zdrowia miłościwego pana. Nieprawdaż, Wasza Królewska Wysokość?

Tom wymamrotał coś, co ująć mogło za odpowiedź twierdzącą, poczuł jednak, iż wkracza na niebezpieczne drogi. Nieco później ktoś wspomniał, że Tom ma przerwać na razie nauki, na co lady Jane zawołała:

– Ach, szkoda! Jaka szkoda! Takie świetne czyniłeś postępy. Bądź wszakże cierpliwy, bo nie potrwa to długo. Udziałem twoim będzie wiedza nie mniejsza niż twojego ojca i opanować musisz, królewiczu, wszystkie te języki, którymi ojciec twój włada.

– Mój ojciec! – zawołał Tom, który na chwilę przestał czuwać nad sobą. – Mój ojciec mówi własnym językiem, tak że zrozumieć go może tylko świnia wylegająca się w chlewie. No, a jakaś tam wiedza...

Podniósł wzrok i wyczytał poważną przestrożę w smutnym wejrzeniu lorda St. Johna. Urwał, zarumienił się i podjął cicho a żałośnie:

– Ach, znowu dręczy mnie ta niemoc i myśli schodzą na manowce. Nie chciałem wszak uchybić miłościwemu panu.

– Wiemy o tym, panie mój – rzekła królowna Elżbieta i z respektem, lecz czule ujęła w rękę dłoń „brata”. – Nie frasuj się, nie ty bowiem zawiniłeś, lecz słabość twoja.

– Dobrą jesteś pocieszycielką, o miła pani – odparł Tom z wdzięcznością. – Serce nakazuje mi złożyć ci podziękę, jeżeli wolno mi pozwolić sobie na tę śmiałość.

Raz swawolna mała lady Jane wystrzeliła do „kuzyna” prostym zdaniem po grecku. Wnet jednak królowna Elżbieta spostrzegła bystrym okiem, że twarz Toma wygląda niby czysta, nie tknięta tarczą, pocisk zatem musiał chybić celu. Sama więc odpowiedziała salwą dźwięcznej greki i wnet zmieniła temat rozmowy.

Czas upłynął miło i na ogół dość gładko. Zdradliwe rafy i mielizny trafiały się coraz rzadziej. Tom zaś był coraz swobodniejszy widząc, że wszyscy tak serdecznie pragną spieszyć mu z pomocą i nie dostrzegają jego błędów. Kiedy wyszło na jaw, że małe damy będą z nim wieczorem na bankiecie Lorda Majora, serce Toma wezbrało uczuciem ulgi i radości. Chłopiec poczuł teraz, że wśród tłumu obcych nie będzie samotny, choć przed godziną myślał, że mają mu towarzyszyć księżniczki, wzbudziłyby tylko nieopisany przestach.

Dla aniołów stróżów Toma, dwu lordów, rozmowa była oczywiście mniej przyjemna niż dla innych jej uczestników. Czuli się tak, jak gdyby pilotowali potężny okręt poprzez wielce niebezpieczny kanał – ustawicznie musieli się mieć na baczności i zrozumieli, że ich urząd to nie frazka. Kiedy wizyta księżniczek zbliżyła się wreszcie ku końcowi, oznajmiono lorda Guilforda Dudley. Dwaj opiekunowie osądzili jednak, iż nie tylko ich pupil jest na razie wystarczająco strudzony, lecz również sami nie czują się na siłach, aby zawrócić swój okręt i raz jeszcze ruszyć w niebezpieczną podróż. Z całym respektem poradzili więc Tomowi, aby się wymówił, co zresztą uczynił skwapliwie, chociaż na twarzy lady Jane odmalował się wyraz rozczarowania na wieść, iż pięknemu młodziankowi odmówiono przyjęcia.

Potem nastąpiła cisza – cisza oczekiwania, którego Tom nie potrafił sobie wytłumaczyć. Zerknął na lorda Hertforda, ten zaś dał mu znak, lecz Tom nadal nie mógł pojąć. Dopiero sprytna Elżbieta pospieszyła na ratunek z właściwym sobie naturalnym wdziękiem. Skłoniła się dwornie i zapytała:

– Czy Jego Królewska Wysokość, brat mój, zechce dać przyzwolenie, abyśmy odeszły?

Tom odpowiedział:

– Wasze Królewskie Wysokości mogą na zawołanie uzyskać ode mnie, czego tylko zechcą, wolałbym wszakże dać im raczej wszystko, co w mej mizernej mocy, niżeli przyzwolenie, które pozbawia mnie światła i radości, jaką jest wasze towarzystwo, szlachetne damy. Wszelako odejdźcie w zacisze swych komnat, a łaska boska niechaj ostaje z wami.

Potem uśmiechnął się w duchu na myśl:

„Nie darmo przebywałem tylko wśród królewiczów, gdy zajmowałem się czytaniem ksiąg. Nauczyłem się trochę kwiecistej, pełnej wdzięku mowy”.

Kiedy odeszły dostojne dziewice, strudzony Tom zwrócił się do swych opiekunów i powiedział:

– Za pozwoleniem czcigodnych lordów, chciałbym teraz ukryć się w jakimś kątku i odpocząć.

– Udziałem Waszej Królewskiej Wysokości jest rozkazywać, naszym słuchać – odparł lord Hertford. – Wasz odpoczynek jest istotnie wskazany, wkrótce bowiem czeka was, panie, droga do miasta.

Lord Hertford zadzwonił i zjawił się paź, któremu rozkazano, aby rycerz William Herbert stawił się przed królewiczem. Pan ów przybył niezwłocznie i zaprowadził Toma do jakiejś dalszej komnaty. Znalazszy się tam, chłopiec sięgnął przede wszystkim po czarkę wody, porwał ją jednak odziany w jedwab i aksamit sługa, przyklęknął na jedno kolano i podał na złotej tacy.

Następnie strudzony jeniec usiadł i chciał zabrać się do zdejmowania butów z bawolej skóry, nieśmiałym spojrzeniem prosząc o pozwolenie, lecz drugi odziany w jedwab i aksamit natręt padł na obydwa kolana i sam wykonał tę czynność. Jeszcze dwa lub trzy razy Tom próbował zrobić coś samodzielnie, ponieważ jednak wyręczano go za każdym razem, uległ wreszcie z rezygnacją i mruknął:

– Bodaj to! Dziwna rzecz, że nie chcą za mnie dychać!

Obuty w miękkie pantofle, spowity wspaniałą szatą, legł wreszcie na spoczynek, lecz nie usypiał, gdyż głowę zbyt pełną miał myśli, komnata zaś pełna była ludzi. Nie mógł przepędzić myśli – pozostały. Nie nauczył się jeszcze tak wiele, aby przepędzić ludzi, więc pozostali również, ku wielkiemu utrapieniu Toma, jak i własnemu.

Po odejściu „królewicza” dwaj jego dostojni opiekunowie zostali sami. Przez czas pewien dumali kiwając głowami i przechadzali się tam i z powrotem po komnacie. Następnie lord St. John przemówił:

– Mówmy otwarcie: co o tym wszystkim myślicie?

– Mówię zatem otwarcie: król bliski jest zgonu, a siostrzan mój oszalał. Szaleniec wstąpi na tron i szaleniec na nim pozostanie. Oby Bóg miał w swej pieczy Anglię, bo pieczy tej bardzo będzie nam potrzeba!

– Zaprawdę, nie inaczej się zapowiada. Ale... czy nie macie, szlachetny panie, podejrzeń... co do... co do...

Lord St. John zająknął się i umilkł. Rozumiał bez wątpienia, iż wstępuje na niebezpieczny teren. Lord Hertford przystanął przed nim, spojrzął mu w twarz jasnym, szczerym wzrokiem i rzekł:

– Mówcie, szlachetny panie, tylko ja was słucham. Jakież macie na myśli podejrzania?

– Wobec osoby tak bliskiej mu krwią jak wy, szlachetny panie, trudno mi oblec w słowa to, co dręczy myśli. Zechciejcie mi wybaczyć, jeśli to obraza, lecz czy nie zdaje się wam dziwne, iż obłęd odmienił tak bardzo jego maniery i mowę? Nie twierdzą, iż mowa i zachowanie waszego siostrzana przestały być dworne, lecz różnią się w takich lub innych drobiazgach od tego, do czego jego królewska wysokość przywykł był od dawna. Czy nie dziwne to, iż szaleństwo zatarło mu w pamięci nawet obraz rysów własnego rodzica albo też cześć i hołdy, które mu dwór winien? Czemu została mu znajomość łaciny, gdy greka i francuski poszły w zapomnienie? Nie gniewajcie się, szlachetny panie, lecz uspokójcie raczej moje troski, za co wdzięcznym będę niewypowiedzianie. Wciąż dręczą mnie jego słowa, iż nie jest królewiczem, mniemam tedy...

– Milczcie, szlachetny panie, bo to przecież zdrada! Uszły wam już z pamięci królewskie rozkazy? Pomnijcie, że słuchając takiej mowy, sam biorę udział w zbrodni.

St. John pobladł i powiedział spiesźnie:

– Przyznaję, iż zbłądziłem. Nie wydajcie mnie wszakże, szlachetny panie, uczyńcie mi tę łaskę, a nie pomyślę już o tym ani nie rzeknę nigdy. Miejcie nade mną litość, gdyż grozi mi zguba.

– To mi wystarczy, szlachetny panie. Jeżeli zatem nie popełnicie tego przestępstwa tutaj ani też w przytomności innych, będzie tak, jak gdybyście nie rzekli nic zgoła. Niepotrzebnie jednak żywicie podejrzania. To jest syn mojej siostry. Znam wszak od kolebki ten głos, tę twarz, tę postawę. Obłęd może sprawić wszystkie dziwaczne zmiany, które w nim widzicie. Ba! dokona i więcej! Czy nie pomnicie, panie, iż stary baron Marley zapomniał w szaleństwie rysów własnej twarzy, znajomej mu wszak od sześciu lat dziesiątków, i mniemał, że to cudze oblicze. Ach, uważał się nawet za syna Marii Magdaleny i prawił, że ma głowę ze szkła hiszpańskiego. Nikomu, wstyd powiedzieć, tknąć jej nie pozwalał, bo myślał, że niebezpieczna ręka może ją stłuc snadnie. Odsuńcie więc swe podejrzania. To prawdziwy królewicz; znam go przecie dobrze i on właśnie zostanie rychło waszym królem. Winniście skrzętnie chować to w pamięci, bo wy, szlachetny panie, większą stąd niżli inni możecie odnieść korzyść.

Po niedługiej gawędzie, w czasie której lord St. John naprawiał swój błąd tak dobrze, jak tylko umiał, dowodząc ustawicznie, że wiara jego została już ugruntowana i nie grożą mu dalsze wątpliwości, lord Hertford zwolnił współopiekuna i usiadł samotnie, aby trwać w gotowości na swym posterunku. Niebawem popadł w głęboką zadumę, lecz widać było, że im dłużej myśli, tym srożej dręczą go troski. Wreszcie wstał i zaczął przechadzać się po komnacie.

– Ha, to musi być królewicz – pomrukiwał do siebie. – Czy w całej Anglii ośmieli się ktoś twierdzić, że może się znaleźć dwu ludzi nie tej samej krwi i różnego urodzenia tak bliźniaczo do się podobnych? A gdyby nawet! Jeszcze większym cudem byłoby wówczas przedziwne

zdarzenie, które jednego z nich postawiło na miejscu drugiego. Ach, to niedorzeczność, niedorzeczność, niedorzeczność!

Po chwili lord Hertford podjął rozważania:

– A gdyby nawet był to szalbierz i podawał się za księcia – cóż, to rzecz naturalna, to miałoby sens! Ale czy żył kiedy szalbierz, który uznany za królewicza przez króla, uznany za królewicza przez dwór, uznany za królewicza przez wszystkich przeczyłby swej godności i protestował przeciw własnemu wyniesieniu? Nie! Na duszę świętego Swithina, nie! To królewicz prawdziwy, lecz tknięty obłędem!

ROZDZIAŁ VII

PIERWSZY OBIAD KRÓLEWSKI TOMA

Wnet po godzinie pierwszej Tom poddał się z rezygnacją ciężkiej próbie ubierania się do obiadu. Przystrojony był teraz równie pięknie jak dotychczas, lecz wszystko miał inne, wszystko zmienione – od krezy aż do pończoch. Z wielką pompą zaprowadzono go do obszernej, wspaniałej komnaty, gdzie czekał już stół nakryty na jedną osobę. Cała zastawa była z kutego złota, a ozdobne desenie czyniły ją wprost bezcenną, gdyż były dziełem Benvenuto. Połowę pokoju zapełniali szlachetnie urodzeni dworzanie. Kapelan odmówił modlitwę i Tom, któremu głód był wiernym towarzyszem, chciał spieszenie wziąć się do jedzenia, lecz przeszkodził mu w tym hrabia Berkeley, który zawiązał serwetę pod brodą królewicza, ponieważ urząd Podkomorzego księcia Walii należał dziedzicznie do tego możnego rodu. Podczasy Toma stał w pobliżu i uprzedzał wszystkie jego starania, aby własnoręcznie nalać sobie wina. Stolnik Jego Królewskiej Wysokości księcia Walii czekał w gotowości i na zawołanie miał kosztować każdej podejrzonej potrawy, narażając się na niebezpieczeństwo otrucia. Stanowił on już wtedy raczej ozdobę królewskiej sali jadalnej i rzadko odeń żądano, by spełniał swoje funkcje, były wszelako czasy (niewiele pokoleń temu), gdy ów urząd łączył się z niebezpieczeństwem i nie był zaszczytem do pozazdroszczenia. Dziwne się wydaje, że w tym celu nie używano psa lub człowieka podłego rodu, lecz dziwne są zaiste wszystkie obyczaje dworu królewskiego. W sali jadalnej obecny był również lord d'Arcy, Pierwszy Pokój owiec księcia Walii. Nie wiadomo, na czym polegały zadania tego dygnitarza, w każdym jednak razie znajdował się tam i to winno nam wystarczyć. Lord Pierwszy Kamerdyner stał za fotelem Toma doglądając uroczystego obrzędu celebrowanego pod przewodem Lorda Wielkiego Ochmistrza i Lorda Wielkiego Kuchmistrza, których również nie brakło w pobliżu. Tom miał jeszcze trzystu osiemdziesięciu czterech innych służących, lecz nie wszyscy oczywiście zgromadzili się w sali jadalnej, gdzie nie było ich nawet czwartej części. Tom zresztą nic dotychczas nie wiedział o ich istnieniu.

Wszystkich obecnych pouczone w ciągu godziny i kazano im mieć na uwadze, iż królewicz postradał chwilowo pełnię władz umysłowych, strzec się zatem należy i nie objawiać zdziwienia wobec jego wybryków. „Wybryki” te wkrótce dały się zaobserwować, lecz zamiast wesołości budziły tylko współczucie i troskę dworzan. Ciężkim strapieniem był dla nich widok ukochanego królewicza dotkniętego tak przykrą niemocą.

Biedny Tom jadł przeważnie palcami, nikt jednak nie uśmiechał się drwiąco ani nawet nie zdawał się tego dostrzegać. Uważnie i z wielkim zainteresowaniem oglądał serwetkę z bardzo cienkiej i pięknej tkaniny. Potem zaś rzekł z prostotą:

– Proszę to zabrać, bo przez nieostrożność mógłbym zrobić plamę.

Dziedziczny Podkomorzy, odebrał serwetkę z należytych szacunkiem i bez słowa protestu.

Tom obejrzał ciekawie rzepę i sałatę i zapytał, co to takiego i czy służy do jedzenia, niedawno bowiem zaczęto uprawiać te jarzyny w Anglii, zamiast sprowadzać je z Holandii jako rzadkie przysmaki. Na pytanie to odpowiedziano z uniżoną powagą i bez śladu zdziwienia. Skończywszy deser Tom napchał sobie kieszenie orzechami, nikt jednak na pozór nie zauważył tego ani nie zdradził niepokoju. Niebawem wszakże Tom stropił się wielce, gdyż była to jedyna czynność, którą podczas całego obiadu pozwolono mu wykonać własnymi rękami, nie miał więc wątpliwości, że dopuścił się czegoś niewłaściwego i niegodnego monarszego stanu.

W tej chwili mięśnie jego nosa zaczęły drgać, a czubek owego organu zwrócił się ku górze i zmarszczył. Objawy te nie ustawały i Tom trapił się coraz bardziej. Błagalnym wzrokiem spojrzął najprzód na jednego, potem na drugiego z asystujących lordów, a łzy napłynęły mu do oczu. Pochyliwszy nad chłopcem zatroskane twarze opiekunowie prosili o wyjaśnienie, co mu właściwie dolega. Tom odrzekł ze szczerym żalem:

– Proszę o wybaczenie, lecz nos swędzi mnie okrutnie. Jaki zwyczaj lub ceremoniał obowiązuje w takim wypadku? Pospieszcie się, proszę, bo niedługo już zdołam wytrzymać.

Nikt się nie uśmiechał, lecz wszyscy zmarkotnieli i niespokojnym wzrokiem jęli spoglądać po sobie, jak gdyby szukając rady. Oto natknęli się na potężny mur, a jak przedostać się na drugą stronę – o tym dzieje Anglii nie pouczały. Mistrz Ceremonii był nieobecny, nikt zaś nie śmiał puścić się na nie zbadane morza ani zaryzykować próby rozwiązania tak zasadniczej kwestii. Niestety! Nie istniał dziedziczny urząd „Drapacza”. Tymczasem łzy wystąpiły z brzegów i zaczęły spływać po policzkach Toma. Swędzący nos coraz natarczywiej dopominał się o ulgę. Wreszcie natura przełamała zapory etykiety. Tom pomodlił się w duchu o odpuszczenie winy (jeżeli winę jakowąś miał popełnić) i zdjął kamień ze zboliałych serc swego dworu, bo podrapał się w nos własnoręcznie.

Kiedy skończył się obiad, jeden z panów dworu stanął przed królewiczem trzymając w rękach szeroką a płytką złotą misę z wonną wodą różaną, przeznaczoną do umywania ust i palców. Lord Dziedziczny Podkomorzy czekał w pobliżu z ręcznikiem, którym książę Walii miał się posłużyć. Przez chwilę chłopiec spoglądał niepewnie na misę, następnie zaś podniósł ją do ust i z należytą godnością pociągnął długi łyk.

– Nie smakuje mi ten napitek, szlachetny panie – rzekł potem usługującemu dworzaninowi. – Pachnie wprawdzie pięknie, lecz zbywa mu na mocy.

Serca całego otoczenia ścisnęły się na ten nowy wybrzyk schorzałego mózgu, lecz smutny widok nie wzbudził w nikim wesołości.

Wnet Tom popełnił następny niezawiniony błąd, bo wstał i oddalił się od stołu w chwili, gdy kapelan zajął stanowisko za jego krzesłem i wzniosłszy ku niebu ręce i przymknięte oczy zamierzał właśnie rozpocząć modlitwę. I tym razem jednak nikt, zda się, nie zauważył, by książę Walii uczynił coś osobliwego.

Na własne żądanie naszego małego przyjaciela odprowadzono teraz do jego prywatnego gabinetu i pozostawiono samemu sobie. Na hakach wbitych w dębową boazerię wisały tam rozmaite części lśniącej stalowej zbroi po mistrzowsku inkrustowanej złotem we wzory niezwykłej piękności. Ten rycerski strój należał do prawdziwego księcia Walii, a był niedawnym darem miłościwej królowej – pani Parr. Tom wdział nagolenniki, rękawice, szyszak zdobny pióropuszem i kilka innych części zbroi, w które ubrać się można samodzielnie. Przez chwilę chciał nawet zawołać o pomoc i dokończyć rozpoczętego dzieła, pomyślał jednak o przyniesionych z obiadu orzechach i o przyjemności, jaką będzie zjedzenie ich bez asysty obserwującej zgrai oraz rozmaitych „wielkich dziedzicznych” naprzykrzających się zbędnymi usługami. Powiesił więc część ślicznej zbroi na dawnych miejscach i tłukąc orzechy poczuł się wnet szczęśliwy, po raz pierwszy od chwili, gdy za jego grzechy Bóg uczynił zeń królewicza. Uporawszy się z orzechami Tom znalazł w jakimś schowku kilka interesujących ksiąg, z których jedna traktowała o etykietce angielskiego dworu. Cenna to była zdobycz! Chłopiec legł na ozdobnej sofie i ze szczerym zapałem rozpoczął się kształcić.

Pozostawmy go tymczasem przy tym zajęciu.

ROZDZIAŁ VIII

SPRAWA PIECZĘCI

Około piątej po południu Henryk VIII przebudził się z męczącej drzemki i szepnął do siebie:

– Niedobre sny, bardzo niedobre! Koniec mój bliski. Tak wróżą sny, a potwierdza puls słabnący.

Wnet jednak złe błyski zaigrały mu w oczach i król dodał:

– Ale nie opuszczę tego świata, dopóki on go nie opuści!

Pokojowcy spostrzegli, że ich pan już nie śpi; jeden z nich zapytał więc, czy król zechce przyjąć Lorda Kanclerza, który czeka w przyległej komnacie.

– Wpuście go, wpuście! – zawołał monarcha żywo.

Kanclerz wszedł i klękawszy przy łożu władcy przemówił:

– Wydałem już rozkazy i stosownie do woli miłościwego pana parowie królestwa w uroczystych szatach zebrani są w Wysokiej Izbie, gdzie potwierdziwszy wyrok na księcia Norfolk, pokornie oczekują dalszych życzeń w tej materii, jakie miłościwy pan wyrazić raczy.

Twarz króla zapłonęła niepohamowaną radością.

– Podnieście mnie! – powiedział. – We własnej osobie stanę przed swym parlamentem i tą własną ręką przyłożę pieczęć na dokumencie, który uwolni mnie od...

Głos mu się załamał, a trupia bladość spędziła rumieniec z policzków. Pokojowcy podparli króla poduszkami. Spiesznie podali mu leki wzmacniające.

Niebawem chory począł mówić żalonym tonem:

– Jakże tęskniłem do tej szczęsnej chwili, która, niestety, przychodzi zbyt późno i ograbia mnie z tak pożądaney radości. Ale spieszcie się, spieszcie! Niechaj ktoś inny dokona chwalebne go dzieła, którego mnie dokonać nie dano. Oddaję moją wielką pieczęć we władanie komisji, wybierzcie więc, Kanclerzu, lordów, którzy w skład jej wejdą, i przystąpcie do dzieła. Spiesz się, spiesz, człeku. Nim słońce wzejdzie i zajdzie po raz wtóry, przynieś mi jego głowę, abym mógł ją ujrzeć.

– Stanie się według woli miłościwego pana. Może Wasza Królewska Mość zechce teraz rozkazać, aby zwrócono mi pieczęć, a przystąpię wnet do sprawy.

– Pieczęć! A w czym rękę ma być pieczęć, jeśli nie w waszym?

– Miłościwy pan raczył odebrać mi pieczęć przed dwoma zaledwie dniami mówiąc, iż będzie potrzebna wówczas dopiero, gdy własna królewska ręka przypieczętuje wyrok na lorda Norfolk.

– Tak! To zaiste prawda!... Pamiętam... Cóż uczyniłem z pieczęcią?.. Taki jestem słaby... Często pamięć zawodzi mnie ostatnimi dniami... To dziwne, dziwne...

Mowa jego zmieniła się w bełkot. Król słabo potrząsał od czasu do czasu siwą głową i rozpaczliwie usiłował sobie przypomnieć, co mógł uczynić z pieczęcią. Wreszcie lord Hertford odważył się paść na kolana i udzielił upragnionej informacji:

– Miłościwy panie! Niechaj mi wolno będzie pozwolić sobie na tę śmiałość i powiedzieć, iż jest tu kilka sług waszych, którzy podobnie jak ja pamiętają, iż wielką pieczęć wręczyliście księciu Walii i polecili Jego Królewskiej Wysokości, aby przechował ją do owego dnia, gdy...

– Prawda! To szczerą prawdą! – przerwał król. – Przynieś pieczęć! Ruszaj! Czas nagli!

Lord Hertford pobiegł do Toma, niebawem jednak wrócił przed oblicze monarchy zgnębiony i z próżnymi rękoma. Przemówił w te słowa:

– Trapi mnie wielce, miłościwy panie, że posłańcem smutnej i niepomyślnej wieści. Z woli Boga Wszechmogącego słabość księcia Walii trwa nadal i Jego Królewska Wysokość nie pomni, by otrzymał pieczęć. Przybyłem zatem spiesznie z tą nowiną mniemając, iż niepotrzebną stratą cennego czasu byłoby poszukiwanie w długim szeregu komnat i salonów przynależnych Jego Królew...

Jęk króla przerwał szlachetnemu lordowi w pół słowa, po niedługim zaś czasie miłościwy pan odezwał się tonem głębokiego smutku:

– Nie dręczcie więcej nieszczęsnego dziecka. Ciężko dotknęła je ręka boża, a serce moje wyrwa się doń w tkliwym współczuciu i boleję, iż sam nie mogę wziąć brzemienia na stare, utrudzone ramiona, jemu zaś przywrócić pokój ducha.

Król przymknął powieki, zaczął mamrotać coś niezrozumiale, wreszcie umilkł. Niebawem jednak otworzył oczy i bezradnie rozglądał się wokół, dopóki wzrok w jego nie spoczął na klęczącym Lordzie Kanclerzu. Wówczas twarz królewska zapłonęła gniewem:

– Co! Ty jeszcze tutaj? Na Boga Wszechmogącego, jeżeli wnet nie zajmiesz się losem tego zdrajcy, twoja książęca mitra będzie miała jutro święto, bo braknie głowy, którą by mogła zdobić!

– O miłościwy panie, błagam o litość – odparł drżący kanclerz. – Czekałem na pieczęć jedynie.

– Czyś zmysły postradał, człeku? Leży przecie w skarbcu mała pieczęć, z którą podróżowałem był ongi za granicą. Czyż nie wystarczy ona, skoro wielka pieczęć przepadła? Czyś ty zmysły postradał? Odejdź teraz i bacz, abyś nie wracał tu, pokąd nie przyniesiesz jego głowy.

Biednemu kanclerzowi pilno było umknąć z niebezpiecznego sąsiedztwa, komisja zaś nie mitrężyła z udzieleniem królewskiego autorytetu wyrokowi słuźalczego parlamentu i na dzień następny wyznaczyła termin ścięcia pierwszego para Anglii, nieszczęsnego księcia Norfolkka.

ROZDZIAŁ IX

KOROWÓD NA RZECE

O dziewiątej wieczorem okazały fronton pałacu od strony rzeki gorzał blaskami świateł. Samą rzekę w kierunku miasta Londynu, jak okiem sięgnąć, pokrywały gęsto czółna przewoźników i spacerowe barki. Wszystkie burty przyozdobione były kolorowymi latarniami i łodzie kołyszące się na niewielkich falach przypominały niezliczone grządki wielobarwnych kwiatów poruszanych łagodnym tchnieniem letniego wietrzyka. Rozległe terasy wiodących ku wodzie kamiennych schodów (dość przestronne, by pomieścić całą armię niejednego niemieckiego księstwa) nie lada przedstawiały widok, bo ustawiono na nich szeregi halabardników królewskich w połyskujących pancerzach, a tłumy jaskrawo przybranych sług biegły w gorączce przygotowań tam i z powrotem i z góry na dół.

Nagle padł jakiś rozkaz i wszystko, co żywe, natychmiast zniknęło z owych schodów. W powietrzu zawisła cisza skupionego oczekiwania. Dokąd wzrok sięgnąć zdoła, widać było mrowie ludzi, którzy wstawali w łodziach i osłaniając oczy od blasku latarń lub pochodni spoglądali ku pałacowi.

Do stopni terasy przybił rząd czterdziestu czy pięćdziesięciu korabi dworskich. Były one bogato złocone, a wspaniałe rzeźby zdobiły ich wysokie dzioby i rufy. Na niektórych powiewały bandery lub proporce, inne przystrojone były złotogłowiem i arrasami tkanymi w herbowe znaki, nad innymi trzepotały jedwabne flagi naszywane mnóstwem srebrnych dzwoneczków, które przy lada podmuchu wiatru dźwięczały radosną muzyką. Znalazłbyś jednak korabie o wyższych jeszcze ambicjach, gdyż należały do szlachetnie urodzonych dworzan z najbliższego otoczenia królewicza. Miały burty malowniczo dekorowane szeregiem tarcz wspaniałe zdobnych w heraldyczne godła. Statki dworskie ciągnięte były przez holowniki, na każdym zaś holowniku znajdował się prócz wioślarzy oddział żołnierzy w lśniących szyszakach i półpancerzach oraz grupa muzykantów.

W wielkiej bramie ukazała się straż przednia oczekiwanego pochodu – oddział halabardników. „Mieli oni na sobie obcisłe, krótkie spodnie w czarne i żółte pasy, aksamitne czapy ze srebrnymi różami po bokach, kaftany z wiśniowego i modrego sukna, z tyłu i z przodu zdobne trzema piórami – złotem szytym herbem królewicza. Drzewca halabard okrywał purpurowy aksamit nabijany pozłocistymi ćwiekami i przybrany złotymi chwasty. Dwa rzędy halabardników zwróciły się w prawo i w lewo, aby uformować dwa długie szeregi sięgające od pałacowej bramy aż po skraj wody. Wówczas hajducy w szkarłatnozłotej liberii księcia Walii rozwinęli gruby kobierzec czy też sukno w pasy i usłali nim drogę pomiędzy szeregami. Z wnętrza pałacu rozbrzmiały dźwięki trąb, kapele z łodzi odpowiedziały żywą melodią, a dwaj marszałkowie dworu z białymi laskami wyszli z bramy powolnym, uroczystym krokiem. Za nimi postępował urzędnik niosący buławę miejską, dalej drugi z mieczem miasta Londynu, potem kilku setników gwardii municypalnej z wszelkimi odznakami swej godności i herbami no rękawach, potem spowity rycerskim płaszczem wielki herold kapituły Orderu Podwiązki, potem kilku rycerzy Orderu Łaźni, z których każdy miał rękawy przyozdobione białą koronką, potem ich giermkowie, potem sędziowie w beretach i szkarłatnych togach, potem Lord Wielki Kanclerz Anglii w purpurowej szacie otwartej z przodu, a lamowanej gronostajami, potem deputacja rajców miejskich w czerwonych płaszczach, potem zaś starsi rozmaitych cechów odziani w uroczyste szaty. Następnie ukazało się i zeszyły go schodach dwunastu fran-

cuskiej szlachty, wspaniale ubranych w stroje, na które składały się pikowane kaftany z białego; przetykanego złotem jedwabiu, krótkie pelerynki z purpurowego aksamitu podbitego fiołkową taftą i cieliste haut-de-chausses. Panowie ci należeli do orszaku ambasadora francuskiego, za nimi zaś kroczyło dwunastu kawalerów ze świty ambasadora hiszpańskiego, odzianych w czarny aksamit nie skalany żadną ozdobą. Pochód zamykało kilkunastu angielskich wielmożów, każdy ze swym poczem.

Za pałacowym murem zagrzmiały trąby; w bramie stanął wuj królewicza (w niedalekiej przyszłości potężny książę Somerset), ubrany w „kaftan z czarnego złotogłowiu i purpurowy atlasowy płaszcz haftowany w złote kwiaty na tle srebrzystej siatki”. Odwrócił się, zerwał z głowy beret z pióropuszem, zgiął się w niskim pokłonie i zaczął postępować tyłem, za każdym krokiem bijąc pokłony. Trąby raz jeszcze zagrzmiały długą fanfara; rozległ się okrzyk: „Miejsce dla miłościwego a potężnego Edwarda, księcia Walii!” Wysoko, na murach pałacowych, z łoskotem gromu wykwitły długą wstęgą czerwone języki płomieni. Zebrana na rzece ciżba huknęła potężnym rykiem radosnego powitania. Tom Canty – przyczyna i bohater całego widowiska – ukazawszy się pochylił nieco dostojną głowę.

Był on „wspaniale przybrany w biały atlasowy kaftan o wyłogach ze szkarłatnej jedwabnej materii usianej diamentowym pyłem i lamowanej gronostajami. Z ramion spływał mu, zdobny trzema herbowymi piórami, płaszcz z białego złotogłowiu podbity błękitnym atlasem, przystrojony perłami i klejnotami, a spięty brylantową agrafą. Na szyi zawieszony miał Order Podwiązki oraz kilka najwyższych orderów zagranicznych”. Ilekroć światło padło na królewicza, klejnoty odpowiadały wnet oślepiającym blaskiem.

Jakiż to widok dla cię, Tomie Canty, chłopcze zrodzony w norze, chowany w londyńskich rynsztokach, tak dobrze obeznany z łachmanami, brudem i nędzą!

ROZDZIAŁ X

KRÓLEWICZ W OPAŁACH

Rozstaliśmy się z Johnem Canty, gdy włókł on prawdziwego królewicza na Offal Court, a wrzaskliwy, rozochocony motłoch następował mu na pięty. Jeden tylko człowiek w tym tłumie próbował nieśmiałym słówkiem wstawić się za jeńcem; nikt nie baczył nań wszakże, nikt nie słyszał go nawet wśród niezmiernej wrzawy. Królewicz walczył o wolność i w dalszym ciągu miotał się, oburzony na obelgi, które musiał znosić, lecz John Canty stracił wreszcie cierpliwość i porwany nagłym szałem wznosił dębową pałkę nad głową księcia. Wówczas ten jedyny, który prosił o litość dla chłopca, rzucił się, aby powstrzymać męskie ramię, i cios spadł na jego własną rękę.

– Będziesz ty się tu wtrącał, co? – ryknął John Canty. – No, to masz za swoje! Masz!

Pałka spadła na głowę natręta, rozległ się jęk, ciemna postać osunawszy się na ziemię pod stopy ciżby legła bezwładnie, opuszczona w ciemnościach nocy. Tłum spieszył dalej, a drobny ów epizod nie zakłócił bynajmniej powszechnej uciechy.

Królewicz znalazł się wnet w siedzibie Johna Canty, który zamknął drzwi przed nosem ciekawych. Przy wątłym świetle lojówki osadzonej w butelce chłopiec mógł obejrzeć z grubszą ohydłą norę oraz jej mieszkańców. Dwie niechlujne dziewczyny i kobieta w średnim wieku tuliły się do ściany w jednym kącie; sprawiały wrażenie zwierząt przywykłych do złego traktowania i ze strachem oczekujących nowej udręki. Z drugiego kąta wypełzła chuderlawa wiedźma ze złymi oczyma i strzechą siwych włosów. John Canty odezwał się do niej:

– Czekaj no! Popatrz, jaką śliczną mamy hecę! Nie psuj zabawy, póki się nie nacieszysz, a potem młóć ciężką łapą, ile wlezie. Hej, chłopcze! Powtórz no te brednie, jeżeliś nie zapomniał. Gadaj, jak się nazywasz? Coś za jeden?

Na tę nową zniewagę wzburzona krew ubarwiła lica królewicza, który zmierzzył prześladowcę wzgardliwym, gniewnym wzrokiem i odrzekł:

– Kto mnie rozkazuje mówić, dowodzi tylko złego wychowania. Powtarzam jednak to, co słyszałeś już dawniej: nie jestem nikim innym, lecz Edwardem, księciem Walii.

Wiedźma zdumiała się tą niespodziewaną odpowiedzią; omal nie utraciła tchu i stanęła na miejscu, jak gdyby stopy przyrosły jej do podłogi. Wybałuszyła oczy i baranym wzrokiem spoglądała na księcia, co tak ubawiło jej syna, że gbur ów ryknął donośnym śmiechem. Ale skutek, jaki odpowiedź ta wywarła na matkę i siostry Toma, był zgoła odmienny. Obawa przed razami ustąpiła trosce innego rodzaju. Niewiasty wybiegły na środek izby i zakrzyknęły z wyrazem grozy i rozpaczki w twarzach:

– Ach, biedny Tom! Nieszczęśliwy chłopiec!

Matka padła na kolana przed księciem, położyła mu dłonie na ramionach i przez wzbierające łzy tkliwie patrzyła w oczy.

– O mój biedny synku – westchnęła wreszcie to głupie czytanie zrobiło w końcu swoje i do cna pomieszało ci w głowie. Ach, czemuś się tak upierał, choć ostrzegałam przecie tyle razy? Złamałeś serce twojej matki!

Królewicz spojrział jej w twarz i powiedział łagodnie:

– Syn twój, dobra niewiasto, jest zdrowy i bynajmniej nie postradał zmysłów. Uspokój się i zaprowadź mnie do pałacu, gdzie on się znajduje, a król, mój ojciec, odda ci go bez chwili zwłoki.

– Król, twój ojciec! Och, dziecko! Nie wymawiaj tych słów, bo to śmierć dla ciebie, a nie-
szczęście dla całej rodziny. Otrząśnij się z okropnego snu! Przywołaj biedną, zbląkaną pa-
amięć. Spójrz na mnie. Czym ja nie twoja matka, która zrodziła cię i kocha?

Królewicz pokręcił głową i odparł niechętnie:

– Bogu wiadomo, iż nie chcę ranić ci serca, lecz nigdy zaiste nie widziałem dotychczas
twojej twarzy.

Kobieta usiadła na podłodze, zakryła oczy rękami i wybuchnęła rozpaczliwym łkaniem i
zawodzeniem.

– No, jazda dalej z tą hecą – zawołał Canty. – Hej, Nan! Hej, Bet! Złe wychowane dziew-
ki! Stoicie w obecności królewicza? Na kolana, wszawo żebraczki! Nuże, złożyć mu należy
pokłon!

Powiedziawszy to zarechotał znowu, a strwożone dziewczęta zaczęły nieśmiało bronić
brata.

– Ach, ojczy – powiedziała Nan – najlepiej połóżcie go zaraz spać. Sen i odpoczynek wy-
leczą go z szału. Ach, proszę was, ojczy!

– Tak, posłuchajcie, ojczy! – dodała Bet. – Bardziej zmęczył się dziś niż zwykle. Jutro
przyjdzie do siebie, będzie gorliwiej żebrał i nie wróci znów do domu z próżnymi rękoma.

Słowa te zwarzyły dobry humor ojca, a myśli jego zwróciły ku interesom. John Canty
spojrzał gniewnie na królewicza i warknął:

– Jutro trzeba dać dwa pensy właścicielowi tej nory (dwa pensy, uważasz! Cały czynsz za
pół roku!) albo się stąd wynosić. Pokaż no, ileś uzebrał, próżniaku?

– Nie obrażaj mnie gadaniną o swych brudnych sprawach – odparł książę. – Powiadam ci
raz jeszcze, zem królewskim synem.

Szeroka dłoń Johna Canty wymierzyła rozgłosny cios, a trafiony w ramię chłopiec zatoczył
się w objęcia zacnej niewiasty, która przygarnęła go do łona i własnym ciałem osłoniła przed
gradem, kulaków i szturchańców.

Wystraszone dziewczęta uciekły do swego kąta, lecz babka rażno podskoczyła, aby przyjść
synowi z pomocą. Królewicz wyrwał się pani Canty i zawołał:

– Nie powinnaś cierpieć za mnie, niewiasto! Niechaj te świnię czynią, co zechcą, lecz tyl-
ko ze mną.

Okrzyk ów zirytował „świnię” do tego stopnia, że nie tracąc czasu przystąpiły do dzieła.
Najprzód wzięły chłopca pomiędzy siebie i sprawiły mu tęgie cięgi, potem zaś wybiły dziew-
częta i ich matkę za to, że okazały współczucie ofierze.

– A teraz – powiedział Canty – spać wszyscy! Zmęczyło mnie przedstawienie,

Zgaszono światło i cała rodzina ułożyła się na spoczynek. Kiedy zaś potężne chrapanie
oznajmiło, że usnęli już pan domu i jego rodzicielka, bliźniaczki zbliżyły się ukradkiem do
leżącego na podłodze królewicza i dla ochrony przed chłodem okryły go troskliwie słomą i
szmatami. Matka dobrych dziewcząt przysunęła się również; gładziła chłopca po głowie i
płakała nad nim szepcząc co chwila urywane słowa pociechy lub współczucia. Uchroniła dlań
liczy kasek jadła, lecz dotkliwy ból pozbawił chłopca apetytu – przynajmniej apetytu na okruchy
razowego chleba bez smaku. Królewicza wzruszyło jednak współczucie pani Canty, podobnie jak
przedtem, jej waleczna i ofiarna obrona, podziękował więc w szlachetnych i dwornych słowach
oraz prosił, by niewiasta udała się na spoczynek i próbowała zapomnieć o swych troskach. Dodał
jeszcze, iż król, jego ojciec, nie dopuści, aby tyle dobroci i ofiarnego przywiązania pozostało bez
nagrody. Ten nawrót „obłądu” przejął nowym bólem serce pani Canty, która najprzód długo tuliła
chłopca do piersi, potem zaś tonąc we łzach powróciła do łóżka.

Kiedy leżała rozważając wszystko i trapiąc się, w głowie jej poczęła świtać myśl, że ten
chłopiec odznacza się czymś nieokreślonym, czego zbywa na pewno Tomowi Canty – szalo-
nemu czy zdrowemu. Nie mogłaby tego opisać ani wytłumaczyć, o co właściwie chodzi, lecz
wrażliwym instynktem macierzyńskim wyczuwała to i dostrzegała. A jeśli dziwny chłopak

naprawdę nie jest jej synem? Co za niedorzeczność! Pani Cauty prawie się uśmiechnęła mimo tylu trosk i zmartwień. Wkrótce jednak odkryła, że myśl ta nie tylko „zaświtała”, lecz również uporczywie ją prześladowa; nawiedza, ściga, dręczy i w żaden sposób nie pozwala się wymi-
nać ani usunąć na stronę. Wreszcie biedna kobieta pojęła, iż nie zazna spokoju, dopóki nie
wyszuka próby, dzięki której przekona się jasno i niezawodnie, czy ten chłopiec jest, czy nie
jest jej synem, bo w ten sposób rozproszyć zdoła przykre wątpliwości. Tak, oczywiście! To
najprostsza droga, którą można się wydostać z matni. Pani Cauty zaczęła wysilać umysł nad
niezwłocznym wynalezieniem takiej próby. Łatwiej jednak stworzyć plan, niż go wypełnić.
Jeden po drugim rozpatrywała wiele obiecujące pomysły, wszystkich wszakże musiała zanie-
chać, gdyż żadna próba nie była zupełnie pewna i doskonała, a próba niedoskonała nie mogła
przecież uspokoić matki. Sądziła już, że na darmo łamie sobie głowę i w rezultacie będzie
zmuszona odstąpić od całej sprawy. Kiedy ta niemila perspektywa przemknęła w jej myślach,
pani Cauty złowiła uchem regularny oddech chłopca i przekonała się, że usnął. Kiedy zaś
nasłuchiwała, równy ów oddech został przerwany cichym, trwożnym, okrzykiem – takim, jaki
człowiek wydaje w czasie dręczącego snu. To podsunęło pani Cauty nagły pomysł wart
wszystkich mądrych prób razem wziętych. Wnet nerwowo, lecz bez szelestu, zabrała się do
zapalania świecy szepcząc do siebie:

– Jeżeli wtedy go zobaczę, od razu będę wiedziała. Mały był, kiedy proch wybuchnął tuż
przed jego twarzą, ale od tego dnia nie zdarzyło się nigdy, aby zbudzony nagle ze snu lub
zamyślenia, nie osłonił oczu ręką tak, jak uczynił to był wówczas. Dłoń zaś trzyma zwróco-
ną od siebie, nie tak jak wszyscy inni – do siebie. Widziałam to przecie setki razy i nigdy nie
było inaczej. Tak! Teraz rychło się już dowiem!

Trzymając w ręku ocienioną świecę, cicho zbliżała się do uśpionego chłopca. Ostrożnie,
powoli pochyliła się nad nim i niemal wstrzymawszy oddech z tłumionego wzruszenia, magle
błysnęła mu w twarz światłem, a knykiami palców stuknęła w podłogę tuż koło jego ucha.
Śpiący szeroko otworzył oczy i rozejrzał się wokół błędnym wzrokiem, lecz nie wykonał rę-
kami charakterystycznego ruchu.

Biedna kobieta omal nie zemdląca ze zdziwienia i żalu, lecz opanowała się rychło i po-
nownie ukołysała chłopca do snu, później zaś skryła się w kącie i rozmyślała nad fatalnym
wynikiem doświadczenia. Próbowała wmówić sobie, że szaleństwo oduczyło jej Toma tego
zwykłego ruchu, nie mogła jednak w to uwierzyć.

– Nie – mówiła. – Jego ręce nie są wszak szalone. Nie mogą zapomnieć w tak krótkim cza-
sie tak dawnego nawyku. Ach, ciężki dzień dla mnie, bardzo ciężki!

Ale nadzieje były teraz równie uparte, jak dawniej wątpliwości. Pani Cauty nie chciała
przystać na wyrok, który wydała jej próba. Musiała rozpocząć rzecz od nowa, bo niepowo-
dzenie mogło być dziełem przypadku. Budziła więc z nagłą chłopca po raz drugi i trzeci, lecz
choć czyniła to z przerwami, wynik zawsze był jednaki – taki jak przy pierwszej próbie.
Wreszcie powlokła się do łóżka i usypiając szepnęła żałośnie:

– Nie mogę go porzucić... ach... nie mogę, nie mogę!... To musi być przecie mój syn!

Kiedy nieszczęsna matka przestała niepokoić królewicza, ból zaś ustępował stopniowo i
coraz mniej dokuczał, wielkie znużenie zamknęło wreszcie powieki chłopca i pogrążyło go w
głębokim, krzepiącym śnie. Godzina goniła godzinę, a biedak spał wciąż jak zabity. Minęło
tak cztery lub pięć godzin. Sen był teraz nieco lżejszy. Królewicz rozbudził się na poły i
drzemiając jeszcze, mruknął:

– Rycerzu Williamie!

A po chwili:

– Hej, rycerzu Williamie! Chodźcie bliżej, aby posłuchać najosobliwszego snu, jaki... Ry-
cerzu Williamie... Czy słyszycie?... Człowieku, zdało mi się, iżem zmieniony w żebraka... ..
Hej! Hej, straż! Rycerzu Williamie! Co? Czemu tu mię ma pokój owca? Co? Niestety, trudno
będzie z...

– Co ci dolega? – zapytał bliski szept. – Kogo wzywasz?

– Rycerza Williama Herberta. Ktoś ty?

– Ja? Któż, jeśli nie twoja siostra, Nan. Ach, Tomie, zapomniałam! Jesteś jeszcze szalony... Biedny chłopcze, jesteś jeszcze szalony! Po cóż budziłam się, aby sobie to przypomnieć? Och, proszę cię, panuj nad językiem, bo nas wszystkich zatłuką na śmierć.

Zdumiony królewicz chciał się zerwać, lecz bolesne sińce przywróciły mu przytomność, opadł więc na stęchłą słomę i jęknął żałośnie:

– Niestety! To nie był sen!

W jednej chwili ogarnęły go znów srogie troski i zmartwienia, które sen rozproszył na czas pewien. Chłopiec uprzytomnił sobie, że przestał być rozpieszczonym królewiczem w pałacu, że nie spozierają nań już pełne uwielbienia oczy narodu. Stał się nędzarzem” wyrzutkiem odzianym w łachmany, więźniem w norze dobrej tylko dla zwierza, gdzie obcować musi z żebrakami i złodziejami.

Pośród tych żalonych rozmyślań królewicz usłyszał jakieś hulaszczę wrzaski i hałasy rozlegające się w sąsiednim lub następnym domu. Niebawem ktoś głośno i kilkakrotnie zastukał do drzwi, a John Cauty przestał chrapać i zapytał:

– Kto tam? Czego chcesz?

Odpowiedział jakiś głos:

– Wiesz, kogoś zdziesiął pałką?

– Nie! Ani wiem, ani dbam o to!

– Zaraz inaczej zaśpiewasz. Jeżeli chcesz uchronić szyję, nie pomoże ci nic prócz ucieczki. Ten człowiek oddaje właśnie ducha. To duchowny, ksiądz Andrzej.

– Wielki Boże! – wrzasnął John Cauty i zbudziwszy rodzinę rzucił ochryplym głosem rozkaz: – Wstawać wszyscy i nogi za pas albo zostańcie tutaj, a zginiecie marnie.

Nie minęło pięć minut, gdy rodzina Cantych znalazła się na ulicy i umykała co tchu. John trzymał królewicza za rękę i wlokąc go przez ciemne zaułki, cichym głosem udzielał napomnień:

– Trzymaj język za zębami, ty głupi wariacie! Nie mów, jak się nazywamy. Rychło wynajdę sobie inne nazwisko i zmylę tropy ogarom prawa. Ale mówię ci, trzymaj język za zębami!

Na pozostałych członków rodziny warczał następującymi słowami:

– Może się zdarzyć, że się jakoś rozdzielimy. Niech wtedy każdy idzie na London Bridge, kto zaś znajdzie się blisko ostatniego kramu z płótnami, ma tam czekać, dopóki reszta nie nadciągnie. Wtedy skryjemy się razem w Southwark.

Gromadka zbiegów wyszła nagle z ciemności w światło – i nie tylko w światło, bo w sam środek zwartej tłumu, który śpiewał, tańczył i wrzeszczał na wybrzeżu rzeki. Rząd wielkich ognisk ciągnął się w dół i w górę Tamizy tak daleko, jak wzrok sięgnąć zdoła. Oba mosty – i London Bridge i Southwark Bridge – były iluminowane. Powierzchnia rzeki płonąła i błyskała mnóstwem nieprzebranych różnobarwnych świateł. Ustawicznie wybuchały fajerwerki; niebo gorzało zawikłanym deseniem świetlnych wspaniałości i gęstą ulewą migotliwych iskier. Noc zmieniła się w dzień biały; wszędzie pełno było swawolącej ciżby, jak gdyby cały Londyn wyległ na ulice.

John Cauty zaklął szpetnie i nakazał odwrót, lecz było już za późno. On i jego rodzina utonęli w gwarnej roju ludzkim i w jednej chwili wszyscy się pogubili. Cauty nie wypuścił wprawdzie ręki jeńca, lecz królewicza nie uważamy oczywiście za członka tej rodziny. Serce chłopca biło teraz mocno i wzbierało nadzieją ucieczki. Jakiś krępy, tego podpity flisak, którego Cauty potrafił torując sobie drogę w ścisku, położył wielką łapę na ramieniu Johna i rzekł:

– Hej, gdzie ci tak pilno, przyjacielu? Nie paskudź duszy głupimi interesami, kiedy każdy porządny człowiek bawi się i świętuje.

– Te głupie interesy to moja tylko sprawa – burknął grubiańsko Canty. – Nic ci do nich. Weź no łapę i pozwól mi przejść.

– Nieświetny coś masz humor, ale powiadam ci, nie przejdiesz, póki nie wypijesz zdrowia księcia Walii – raźno zawołał flisak i zastąpił Johnowi drogę.

– Dawaj tedy czarękę; ale prędzej, prędzej!

Inni dowcipnisie zdążyli tymczasem zainteresować się zajściem i zaczęli krzyczeć.

– Roztruchan przyjaźni! Dawajcie roztruchan przyjaźni! Niech ten ponury drab wychyli roztruchan przyjaźni albo do wody z nim, rybom na frykasy!

Podano wnet olbrzymi roztruchan przyjaźni. Flisak chwycił go za jedno ucho i podnosząc drugą ręką róg urojonej serwety, wręczył naczynie Johnowi Canty, ten zaś, zgodnie ze starym obyczajem, jedną ręką ujął drugie ucho, drugą zaś zdjął pokrywę. Na sekundę ręka królewicza została uwolniona z uścisku, nie marnując tedy czasu, dał on nurka w gęsty las nóg i przepadł. Nie łatwiej było go teraz znaleźć w tym wzburzonym morzu życia niż sześciopensówkę rzuconą w spiętrzone fale Atlantyku.

Fakt ten zrozumiał rychło, zajął się więc sprawami osobistymi i przestał kłopotać o Johna Canty. Niebawem jednak uprzytomnił sobie coś innego, to mianowicie, że miał niego uczestniczy teraz w bankiecie fałszywy książę Walii. Królewicz łatwo doszedł zatem do wniosku, iż mały żebrak, Tom Canty, świadomie skorzystał z niesłychanej sposobności i został samozwańcem.

Jedną więc była droga: należało trafić na Ratusz, dać się tam poznać, zdemaskować osu-
sta. Królewicz postanowił w tej chwili, że Tomowi wypada zostawić czas stosowny do przygotowania się na śmierć, następnie zaś powiesić go, utopić i poćwiartować, bo wedle prawa i obowiązującego zwyczaju zdradę główną tak karano w owe czasy.

ROZDZIAŁ XI

NA RATUSZU

Pośród mnogości iluminowanych łodzi korab królewski w asyście wspaniałej flotylli płynął uroczyście w dół Tamizy. Powietrze pełne było muzyki. Wesołe błyski płomieni wytyczały brzegi rzeki. Nad odległym miastem leżała krwawa łuna liczonych, niewidocznych ognisk, nad nią zaś wiele smukłych wieżyc strzelało w roziskrzone gwiazdami niebo, co wyglądało z oddali niby las wysadzanych klejnotami kopii. Flotylla płynęła dalej i dalej, a z brzegów witała ją nieustanny ochryply ryk wiwatów oraz błyski i gromy armatnich wystrzałów.

Zagrzebanemu do połowy w jedwabne poduszki Tomowi Cauty dźwięki te i widoki zdawały się cudem niewypowiedzianie wzniosłym i zdumiewającym. Niczym wszakże były dla siedzących u jego boku małych przyjaciółek – księżniczki Elżbiety i lady Jane Grey.

Kiedy flotylla dotarła do Dawgate, pociągnięto ją na linach pod prąd czystych wód rzeki Walbrook (od dwóch wieków koryto jej zniknęło pod akrami zabudowań) do Bucklersbury, koło domów mieszkalnych i pod mostami pięknie iluminowanymi i pełnymi rozbawionego ludu. Kiedy wreszcie zatrzymała się w portowym basenie (na miejscu tym znajduje się dzisiaj zaułek Barge Yard) w centrum starożytnego miasta Londynu, Tom opuścił pokład i wraz ze wspaniałym orszakiem minął Cheapside, aby odbyć niedługi pochód do Ratusza przez Old Jewry i Basinghall Street.

Lord Major i ojcowie miasta w złotych łańcuchach i szkarłatnych uroczystych szatach powitali Toma i jego małe damy z należytym ceremoniałem i powiedli pod wspaniałą baldachim ustawiony w głębi przestronnej sali. Przodem szli heroldowie oznajmujący księcia Walii oraz urzędnicy miejscy niosący buławę i miecz miasta Londynu. Damy i lordowie, którzy mieli usługiwać Tomowi i dwom jego małym przyjaciółkom, stanęli na posterunkach za ich fotelami.

Przy drugim stole zasiedli dygnitarze dworscy i londyńscy patrycjusze wraz z innymi gośćmi krwi szlachtetnej. Ludzie pospolici mieli miejsca u wielu stołów zastawionych w głównej sali ratuszowej. Ze swej znacznej wysokości olbrzymy Gog i Magog odwieczni opiekunowie miasta, spoglądali na widowisko w dole wzrokiem przywykłym do oglądania takich rzeczy od wielu pogrążonych w niepamięci pokoleń. Rozbrzmiały dźwięki trąb i gromkie okrzyki; otyły kredencierz ukazał się w wyniosłych podwojach w lewej ścianie sali, za nim zaś kroczyli słudzy, którzy z niezwykle godnymi minami piastowali „Królewskiego Wołu” – pieczone buchające parą i gotowe do ćwiartowania.

Po modlitwie Tom (pouczony odpowiednio) wstał (a wraz z nim wszyscy obecni) i z pękatego złotego roztruchana przyjaźni upił łyk, po nim księżniczka, od której roztruchan przeszedł do lady Jane Grey, następnie zaś okrążył całe zgromadzenie. Taki był początek bankietu.

Okolo północy zaczęła się najlepsza zabawa, gdy nastąpiło jedno z tych malowniczych widowisk, tak ulubionych w owe dawne lata. Istnieje jeszcze opis tego przedstawienia, sporządzony w osobliwych słowach przez kronikarza – naoczego świadka.

„Uczyniono miejsce i rychło weszli baron i hrabia przybrani, na modłę turecką, w długie suknie z przetykanej złotem sajety. Na głowach mieli czapy ze szkarłatnego aksamitu z grubymi złotymi chwasty, u boku zaś krzywe miecze zwane jataganami, zawieszane na długich,

złocistych rapciach. Potem wszedł drugi baron i drugi hrabia w długich szatach w pasy z żółtego i białego atlasu, a każdy pas z białego atlasu przecięty był węższym purpurowym paskiem. Ci odziani byli na modłę ruską. Na głowach mieli szare futrzane czapy, w rękach toporki, na nogach zaś buty z »pikami« (były to spiczaste nosy długie na stopę). Za nimi kroczył rycerz, a dalej Lord Wielki Admirał z orszakiem pięciu szlachty w kaftanach z karmazynowego aksamitu, wyciętych głęboko z tyłu i z przodu aż do obojczyków, a sznurowanych na piersiach srebrnymi łańcuszki. Na ramionach mieli krótkie pelerynki z karmazynowego atlasu, na głowach kapelusze z bażancimi piórami, takie, jakich używać zwykli rycerze. Panowie ci przebrali się na modłę pruską. Hajducy z pochodniami (a było ich około stu) odziani byli w purpurowy atlas i zieleń, niby Maurowie, twarze zaś mieli uczernione. Potem igrcy pokazywali pantomimy. Potem płaśali cudacznie poprzebierani minstrele, a panowie i damy tańcowali również tak ochoczo, że miło było spojrzeć”.

Kiedy Tom siedząc na wysokim fotelu przyglądał się tym ochoczym płaśom i podziwiał olśniewające barwy, którymi jak w kalejdoskopie mienił się wirujący poniżej tłum jaskrawo odzianych postaci – obdarty, lecz prawdziwy mały księżę Walii dowodził swych praw i krzywd, demaskował szalbierza i głośno domagał się wstępu w ratuszową bramę. Motłoch wybornie bawił się tym zajściem, cisnął się zewsząd i wyciągał szyję, aby obejrzeć lepiej małego awanturnika. Wnet ludzie zaczęli drwić zeń i szydzić, aby celowo przywieść chłopca do jeszcze sroższej, tym więc uciesniejszej furii. Łzy upokorzenia wezbrały w oczach królewicza, który mimo wszystko nie ustępował i z istic monarszą godnością stawiał czoła tłumowi. Następowały coraz nowe drwiny, coraz inne wyzwiska... Wreszcie królewicz zawołał:

– Jeszcze raz powiadam wam, sforo nieobytych kundli, iżem księciem Walii. Sam jestem i opuszczony, i nikt nie rzecze mi dobrego słowa ani też nie udzieli pomocy w potrzebie. Nie pozwolę wszelako wyzuć się z praw, które zachować chcę i zachowam!

– Możesz sobie być królewiczem albo nie być, mnie tam wszystko jedno! Ale w każdym razie odważny z ciebie chłopiec i nie tak znów całkiem opuszczony. Oto staję u twego boku, aby dowieść prawdy mych słów, a miej, proszę, na uwadze, że nie męcząc zbytnio nóg szukaniem mógłbyś znaleźć gorszego przyjaciela niżeli Miles Hendon. Pozwól odpocząć twym ustom, drogie dziecię, bo ja mówię językiem tych podłych psów niby ich najprawdziwszy rodak.

Człowiek, który odezwał się w te słowa, strojem, postawą i zachowaniem przypominał don Cezara de Bazana. Był wysoki, smukły, muskularny. Jego kaftan i hajdawery z przedniego uczynione materiału wyszarzały i poprzecierały się na szwach, ozdoby ze złocistej koronki smutnie wyblakły. Kreza była zgnieciona i postrzępiona, a złamane pióro na szerokoskrzydłym kapeluszu wyglądało kompromitujące, jakby wytarzane w błocie. Nieznajomy miał u boku długi rapier w zardzewiałej żelaznej pochwie, a jego junackie maniery zdradzały od razu wojaka. Przemówienie tej dziwacznej figury przyjęto wybuchem drwin i śmiechu. Ktoś wrzasnął:

–To drugi królewicz w przebraniu!

– Trzymaj język za zębami, przyjacielu, bo to pewnie niebezpieczny ptaszek.

– Prawda! Tak ci nawet wygląda! Oo! Jak to patrzy wilkiem!

– Odebrać mu chłopca! Do sadzawki ze szczeniakiem!

Pod wpływem tego „szczęśliwego” pomysłu jakaś ręka chwyciła niezwłocznie królewicza, lecz w tejże chwili nieznajomy dobył długiego miecza i napastnik upadł od zadanego pazurem ciosu.

– Ubić psa! Ubić go! Ubić! – krzyknęło zaraz dwadzieścia głosów i motłoch runął na wojaka, który oparł się plecami o mur i jak szaleniec począł wywijać swym orężem.

Ofiary padały tu i ówdzie, lecz rosnąca ciżba deptała rozciągnięte na ziemi ciała i z nie słabnącą furią nacierała na samotnego zapaśnika. Chwile jego zdawały się policzone, koniec zaś pewny, gdy nagle ozwał się dźwięk trąby, a jakiś głos zawołał:

– Miejsce dla gońca królewskiego!

Oddział konnych wpadł cwałem w środek tłumu, który rozproszył się i umykał spod kopyt co sił w nogach. Nieznajomy śmiałek porwał królewicza w ramiona i rychło znalazł się z dala od niebezpieczeństwa i motłochu.

Wróćmy teraz na Ratusz. Nagle nad wesoły rozgwar i ochoczy zgiełk zabawy wybiły się czyste tony trąby. W jednej chwili zapadła cisza – głęboka cisza. Potem rozległ się jeden głos, głos gońca królewskiego, który zaczął odczytywać proklamację. Zebrany tłum stał, słuchał.

Ostatnie wymówione z namaszczeniem słowa brzmiały:

– Król nie żyje!

Licznie zgromadzeni goście jak gdyby na komendę opuścili głowy na piersi i trwali tak przez parę minut w głębokim milczeniu. Potem jak jeden mąż padli na kolana i wyciągnęli ręce w stronę Toma, a murami starego gmachu wstrząsnął potężny okrzyk:

– Niech żyje król!

Biedny Tom błędnym wzrokiem po tym osobliwym widowisku. Wreszcie spojrzął sennie na klęczące w bliskości księżniczki, potem na lorda Hertforda. Nagle szczęśliwa myśl rozjaśniła mu lica i szepnął cicho do ucha opiekuna:

– Odpowiedzcie mi prawdziwie, na honor i wiarę. Jeżeli rzucę teraz rozkaz, którego wydanie jest przywilejem i prerogatywą wyłącznie i jedynie króla, czy rozkaz ów zostanie spełniony? Czy nikt nie wstanie, aby rzec mi: nie?

– Nikt, miłościwy panie, w całym tym królestwie. W osobie waszej spoczywa majestat Anglii. Królem jesteście, a słowo wasze – prawem.

Tom rzekł wówczas donośnym, poważnym głosem i z wielkim ożywieniem:

– Niechaj tedy od dziś dnia prawo królewskie będzie prawem łaski, nigdy zaś prawem krwi! Powstań z klęczek i ruszaj do Tower. Rzeknij tam, iż z rozkazu króla księżę Norfolk ma być ocalony od śmierci.

Słowa te pochwycono skwapliwie i podawano z ust do ust jak sala długa i szeroka. Kiedy zaś Hertford odszedł sprzed oblicza monarchy, wybuchnął znowu niebosięzny okrzyk:

– Koniec rządów krwi! Niech żyje Edward, król Anglii!

ROZDZIAŁ XII

KRÓLEWICZ I JEGO WYBAWCA

Kiedy Miles Hendon i mały królewicz wydostali się z tłumu, ruszyli zaraz w stronę rzeki przez zaułki i boczne uliczki. Drogę mieli wolną, dopóki nie dobrnęli do London Bridge, gdzie znowu wmieszali się w ciżbę. Hendon krzepko dzierżył rękę królewicza – nie! króla! Żalobna nowina przeniknęła już bowiem na miasto i chłopiec usłyszał z tysiąca ust naraz: – Król nie żyje! – Wieść ta zraniła serce zbłąkanego dziecka i wstrząsnęła nim do głębi. Edward boleśnie odczuł brzemień poniesionej straty. Ogarnął go wielki żal, gdyż ów posepny tyran, tak groźny dla innych, dla niego zawsze był łagodny. Łzy napłynęły do oczu królewicza i przesłoniły wszystko wokół. Zrazu czuł się najbardziej nędzną, samotną, opuszczoną przez Boga istotą. Niebawem jednak inny okrzyk zabrzmiał z tysiąca ust naraz i huczał w mrokach nocy niby dalekosiężny łoskot gromu:

Niech żyje król Edward VI!

Oczy chłopca zabłyśły, ciało przejął dreszcz dumy.

„Ach – pomyślał – jakie to wspaniałe i dziwne: JA JESTEM KRÓLEM!”

Przyjaciele nasi z trudem torowali sobie drogę wśród tłumów zalegających most. London Bridge stał od sześciuset lat i przez cały ten czas stanowił gwarą i ludną arterię. Dziwna to była budowla, bo zwarte szeregi sklepów i warsztatów z izbami mieszkalnymi na poddaszach ciągnęły się po obydwu jej stronach od jednego brzegu rzeki aż do drugiego. Most był jak gdyby miastem samym w sobie. Miał własną gospodę, własne piwiarnie, sklepy, piekarnie, własne kramy z żywnością, warsztaty rzemieślnicze – nawet swój kościół. Na dwóch sąsiadów, których łączył – Londyn i Southwark – spoglądał z niejakim pobłażaniem, jak gdyby na swe przedmieścia, lecz przedmieścia raczej mało ważne. Była to, rzecz można, ściśle zamknięta korporacja, wąski gród o jednej ulicy ciągnącej się na długość piątej części mili, ludności zaś nie liczniejszej niż ludność małej miejsciny, gdzie wszyscy znają się wzajemnie, dawniej zaś znali rodziców wszystkich sąsiadów i na dobitkę wszystkie ich drobne sprawy rodzinne. Most miał oczywiście swoją arystokrację – dobre, stare rodziny rzeźników, piekarzy i innych rzemieślników, rodziny osiadłe w swych starych siedzibach od pięciu lub sześciu wieków i dobrze obznajmione ze wspaniałą historią Mostu (od początku do chwili obecnej) i z jego osobliwymi legendami. Członkowie tych rodzin mówili zawsze po „mostowemu”, myśleli po „mostowemu” i po „mostowemu” błagowali rzeczowo, barwnie, rozwlekle, z całego serca. Ludność tego pokroju musiała być ciemna, tępotłowa i zadowolona z siebie. Dzieci rodziły się na Moście, chorowały, rosły, dożywały sędziwego wieku i umierały, nigdzie indziej nie stąpiwszy nogą. Tacy ludzie wyobrażali sobie naturalnie, że olbrzymi, nieskończony pochód we dnie i w nocy ciągnący ich ulicą wśród rozgwaru pomieszanych wrzasków, krzyków, rżenia, ryczenia, beczenia i głucho grzmiącego tętentu jest czymś jedynym w całym świecie i stanowi poniekąd ich własność. Był zresztą ich własnością, a oni w pewnej mierze byli jego właścicielami, a przynajmniej mogli go pokazywać i pokazywali ze swych okien (za wynagrodzeniem), gdy jakiś powracający król lub bohater opromieniał Most przemijającą chwałą, nigdzie bowiem nie znalazłbyś miejsca, z którego roztaczałby się taki daleki, piękny, nieprzerwany widok na maszerujące kolumny.

Dla ludzi zrodzonych i wychowanych na Moście żywot w innym miejscu był nieznośny i pozbawiony treści. Historia opowiada o pewnym człowieku, który licząc lat siedemdziesiąt

jeden rozstał się z Mostem i zamieszkał na wsi. Starzec ów sierzdził się tylko i kręcił w łożu. Nie mógł oka zmrużyć, bo głęboka cisza była dlań bolesna, straszna, dręcząca. Kiedy zaś do cna się zmęczył i wychudł niby widmo, uciekł do swego dawnego domostwa, gdzie zaznał wreszcie spoczynku i słodkich marzeń sennych przy kołysance szumu toczącej się wody i gwaru, zgiełku, huku London Bridge.

W czasach, o których piszemy, Most udzielał swym dzieciom „lekcji poglądowych” z historii Anglii, gdyż sine, gnijące głowy sławnych mężów tkwiły na żelaznych szpikulcach zdobiących szpic Bramy Mostowej. Nie czynimy jednak dygresji.

Hendon mieszkał w niewielkiej oberży na Moście. Kiedy ze swym małym przyjacielem zbliżał się do drzwi, odezwał się jakiś gruby głos:

– Aa, przyszedłeś wreszcie! Nie bój się, już mi więcej nie drapniesz i drugi raz nie każesz nam czekać, bo nauczysz się pewnie czegoś, jak stłukę cię na kwaśne jabłko.

Z tymi słowy John Canty wyciągnął rękę, aby pochwycić chłopca.

Miles Hendon zastąpił drogę napastnikowi.

– Nie tak szparko, przyjacielu – powiedział. – Niepotrzebnie się unosisz. Czym jest dla ciebie ten malec?

– Jeżeli lubisz wtrącać się w nie swoje sprawy, powiem ci, że to mój syn.

– Kłamiesz! – zawołał gorąco mały król.

– Śmiało powiedziane i wierzę ci, chłopcze, nie dociekając, czy makówkę masz zdrową, czy nadwierzoną. Ten ordynarny drab może być albo nie być twoim ojcem. To na jedno wychodzi, bo jeżeli oczywiście wolisz zostać ze mną, i tak nie dostanie cię, aby bić i besztać, jak to sam zapowiedział.

– Wolę, wolę zostać z tobą. Nie znam go, brzydzę się nim! Wolę umrzeć, niż z nim odejść!

– A zatem rzecz skończona i szkoda gadać po próżnicy.

– Zobaczmy, zobaczmy! – krzyknął John Canty i próbował wyminąć Hendona, aby dostać chłopca w ręce. – Siłą zmuszę go...

– Tknij go tylko, śmieciu, a niby gęś nadzieję cię na rożen – powiedział Hendon i zastąpiwszy mu drogę położył dłoń na rękojeści miecza.

Canty cofnął się, a wybawca małego króla ciągnął:

– Uważaj teraz. Wziąłem tego dzieciaka pod opiekę, gdy szajka takich jak ty skrzywdzić go chciała, a może i zabić. Czy wyobrażasz sobie, że opuszczę go teraz i zostawię na los jeszcze gorszy? Nie wiem, czyś jest, czy nie jest jego ojcem (aby rzec prawdę, sądzę, że to łgarstwo), ale w każdym razie nagła a lekka śmierć lepsza dla takiego chłopca niż życie w twoich łapach, ty bydlaku! Ruszaj tedy swoją drogą i to ruszaj szparko, bo nie lubię marnować słów, jako żem z przyrodzenia nie nazbyt cierpliwy.

John Canty odszedł, mamrocząc pogrożki i klątwy, i wnet przepadł w tłumie.

Hendon zamówił posiłek i kazał go przysłać na górę, potem zaś wraz ze swym protegowanym wdrapał się na drugie piętro do swej stancji. Nędzna to była izba, słabo oświetlona parą mdłych świeczek; stało tam lada jakie łóżko i kilka sztuk starych gratów. Mały król, do cna wyczerpany głodem i trudami, dowlóknął się do łóżka i zaraz legł na nim. Wędrował przez większą część dnia i nocy, bo była już druga lub trzecia nad ranem, a przez cały ten czas nie jadł. Teraz mruknął sennym głosem:

– Zbudźcie mnie, proszę, gdy nakryją do stołu – i natychmiast zapadł w głęboki sen.

Hendon zaczął mówić do siebie, a w oczach jego igrał uśmiech.

– Do kroćset, ten mały żebrak pcha się na cudzą kwatery i zajmuje łóżko zupełnie tak, jakby kwatery i łóżko doń należały! Nie raczy nawet powiedzieć: za pozwoleniem albo: jeśli łaska, ani nic w tym rodzaju! W chorobliwym majaczeniu mieni się księciem Walii i całkiem dobrze gra tę rolę. Biedny opuszczony malec! Niewątpliwie źle obejście pomieszało mu zmysły. A więc ja będę mu przyjacielem. Ocaliłem go i to wielce mnie doń przywiązało. Zaczynam już kochać małego urwisa o nieustraszonym języku. Po żołniersku, zaiste, stawiał czoło

wszawej cizbie i obelgami odpowiadał na obelgi. Jaka to ładna, słodka, łagodna twarz teraz, gdy sen starł z niej piętno zmartwień i kłopotów. Będę go edukował, będę go leczył. Tak! Zostanę jego starszym bratem. Będę dbał o niego i czuwał nad nim, każdy zaś, kto zelży go albo ukrzywdzi, niechaj zamawia całun, bo będzie mu potrzebny, choćbym za to miał zgorzeć na stosie.

Pochylił się nad chłopcem i spozierał nań z wyrazem współczującej dobroci i zaciekawienia. Tkliwie gładził dziecinny policzek i szeroką, brązową dłonią próbował doprowadzić do ładu zmierzwione loki. Lekki dreszcz wstrząsnął ciałem uspiętego chłopca. Hendon mruknął pod wąsem:

– Ha, to iście po męsku! Pozwalam mu oto leżeć bez okrycia i nabawiać się śmiertelnych reumatyzmów! Ale co robić? Zbudzi się, jeśli go uniosę i zechcę umieścić w pościeli, a tak bardzo przecie potrzeba mu snu.

Hendon rozejrzał się wokół szukając jakiegoś okrycia, lecz nie znalazł nic odpowiedniego, zdjął więc własny kaftan i troskliwie otulił nim chłopca.

– Przywykłem do świeżego powietrza i skąpego odzienia, niezbyt więc obawiam się chłodu – powiedział i zaczął chodzić po izbie tam i z powrotem, aby krew utrzymać w ruchu, a przechadzając się, tak dalej monologował:

– Obląkany biedak wmówił sobie, iż jest królewiczem. Dziwne zaiste mieć u boku księcia Walii, gdy ten, który był nim naprawdę, odmienił tytuł, ponieważ został królem. Jedna tylko uluda zaprzęta ten nieszczęsny umysł i chłopiec nie potrafi wywnioskować, iż teraz winien porzucić książęce splendory i mianować się pomazańcem. Jeżeli mój rodzic przeżył te siedem lat, podczas których żadne wieści z domu nie dotarły do mego więzienia za granicą, serdecznie przyjmie biednego malca i przez wzgląd na mnie wspaniałomyślnie udzieli mu schronienia. Tak samo postąpi mój zacny starszy brat, Artur, a drugi brat, Hugon... Ha! Łeb mu rozwałę, jeżeli zechce się przeciwzić ten niecny potwór o lisim sercu! Tak! Tam zaraz ruszam, i to prostą drogą!

Do izby wszedł sługa z parującym jadem. Postawił je na małym sosnowym stoliku, przysunął krzesła i oddalił się mniemając widać, że tacy tani goście powinni obsługiwać się sami. Drzwi trzasnęły za nim, a łoskot ów zbudził chłopca, który rażno usiadł na łóżku i rozejrzał się wokół promiennym wzrokiem. Wnet jednak twarz mu spochmurniała, westchnął głęboko i szepnął:

– Niestety, to był tylko sen. Biada mi, biada!

Potem spostrzegł kaftan Milesa Hendona, z kaftana przeniósł wzrok na jego właściciela, pojął, jaką dłań uczyniono ofiarę, i powiedział cicho:

– Dobrzyście dla mnie... tak... bardzoście dobrzy! Weźcie i obleczcie kaftan, bo... bo mnie dłużej nie będzie potrzebny.

Powiedziawszy to wstał, zbliżył się do umieszczonej w rogu umywalki i przystanął wyczekująco.

– Czas teraz na porządną zupę i jaką taką przegryzkę – powiedział Miles wesołym tonem.

– Wszystko jest smakowite i bucha parą, a posiłek wraz z tą drzemką wnet uczyni cię znowu małym zuchem. Nie frasuj się!

Chłopiec nie udzielił odpowiedzi, lecz spojrzął na rosnącego wojaka poważnym wzrokiem, w którym było wiele zdziwienia i jak gdyby nieco tajonej urazy. Hendon stropił się i zapytał:

– Czy ci czegoś potrzeba?

– Dobry panie, chciałbym się umyć.

– Ach, tyle tylko! Jeżeli czegoś pragniesz, nie proś Milesa Hendona o przyzwolenie. Możesz tu robić, co zechcesz, a ja wraz z wszystkim, co do mnie należy, stoję do twej dyspozycji.

Chłopiec stał nadal nieporuszony, tylko raz lub dwa razy tupnął z cicha małą, niecierpliwą stopą. Hendon stropił się jeszcze bardziej.

– Na Boga, o co chodzi? – spytał.

– Zechciejcie nalać wody i nie mówić tak wiele! Wojak stłumił wybuch śmiechu i szepnął do siebie:

– Na wszystkich świętych, to zaiste niezwykle! – po czym zbliżył się szparko, aby wykonać polecenie małego zuchwalca. Stał w pobliżu, jak gdyby skamieniały z podziwu, dopóki rozkaz: – Ręcznik, prędeż! – nie zbudził go nagle. Wziął tedy i bez słowa podał ręcznik wiszący przed nosem chłopca. Z kolei sam zaczął się myć, podczas gdy jego przybrane dziecko usiadło za stołem i sposobić się jeło do posiłku. Hendon szybko zakończył ablucję, odsunął drugie krzesło i zamierzał właśnie usiąść, lecz chłopiec powiedział pełnym oburzenia tonem:

– Za pozwoleniem! Czy chcielibyście siadać w przytomności króla?

Miles zachwiał się na nogach pod tak nieoczekiwanym ciosem.

– Patrzajcie – mruknął – jego obłęd potęguje się coraz bardziej! Odmienił się oto po wielkiej zmianie, która zaszła w tym królestwie! Wyobraża sobie teraz, iż jest królem. Bodaj to! Trzeba przymilać się zarozumialcowi, bo... Tak, nie ma innej drogi, bo inaczej mógłby mnie posłać do Tower!

Ubawiony tym żartem odsunął krzesło od stołu, zajął postereunek za plecami króla i począł mu usługiwać w sposób najdworkniejszy, na jaki mógł się zdobyć.

Król posilał się i sztywna powłoka monarszej godności miękła stopniowo, a wraz z rosnącym ukontentowaniem przychodziła chęć do gawędy.

Król przemówił:

– Jeżeli dobrze słyszał, rzekliście, jako zowią was Milesem Hendonem?

– Tak, Wasza Królewska Mość – odparł Hendon i zaraz dodał w myśli: „Trzeba wszak uspokajać obłęd biednego chłopaczka. Muszę »mościć« go królewską mością i pozwolić miłościwie mu »panować«. Nie wolno działać połowicznie ani lekceważyć nic z tego, co należy do mojej roli, w przeciwnym bowiem razie rolę tę odegrałbym niedobrze i źle bym się zasłużył zbożnej i miłosiernej sprawie!”

Tymczasem król rozgrzał serce drugą czarką wina i powiedział:

– Chciałbym cię poznać. Powiadaj mi swoją historię. Maniery masz rycerskie i szlacheckie... Jesteście szlacheckiego rodu?

– Stoimy, miłościwy panie, na szarym końcu szlacheckich rodów. Mój ojciec jest baronetem, jednym z najmniej znacznych lordów, a tytuł swój zdobył rycerską służbą. Zowie się rycerz Ryszard Hendon z Hendon Hall pod Monks Holm, w księstwie Kentu.

– Miano to uszło mej pamięci. Mów dalej. Powiadaj swą historię.

– Niezbyt ona ciekawa, miłościwy panie, lecz w braku lepszej zapełnić może pół godziny. Mój ojciec, rycerz Ryszard, to człek wielce majątny i szlacheckim obdarzony charakterem. Matka zmarła, gdym był małym chłopcem. Mam dwóch braci. Artur, starszy ode mnie, podobny jest ojcu, młodszy zaś, Hugon, to kutwa i gadzina podła, zdračna, pożądliva, skryta. Takim był od kolebki. Takim był przed dziesięcioma laty, gdym po raz ostatni widział dojrzałego już hultaja. Miał wówczas dziewiętnaście lat, ja zaś dwadzieścia, a Artur dwadzieścia dwa. Więcej nie było nas we dworze prócz mojej krewniaczki, szesnastoletniej wtedy lady Edyty. To dziewczica piękna, łagodna, dobra, córka hrabiego i ostatnia z rodu, a więc dziedziczka wielkich włości i wygasłego tytułu. Rodzic mój był jej opiekunem. Kochałem ją i ona mnie kochała, lecz od kolebki przyobiecana była Arturowi, a rycerz Ryszard przenigdy nie przystałby na zerwanie tych zręków. Artur miłował inną i zaklinał nas, aby troskliwie pielęgnować nadzieję, iż zwłoka i kruszyna szczęścia przyniosą kiedyś pomyślne rozwiązanie wszystkich spraw naszych. Hugon kochał fortunę lady Edyty, choć zwykł opowiadać, że to ją miłuje. Tak z nim już zawsze było: gdy mówił jedno, na myśli miał drugie. Ale z dziewczyną na nic się nie zdały jego sztuczki; zwiść potrafił rodzica, lecz nikogo więcej. Ojciec kochał tego hultaja najbardziej z nas wszystkich, ufał mu i wierzył w niego, był on bowiem najmłodszym dzieckiem i starsi go nienawidzili, a to przymioty, które we wszystkich wiekach starczą,

aby pozyskać gorącą miłość rodzicielską. Ponadto Hugon zwykł mówić płynnie a przekonywająco i kłamał przecudownie, co z reguły i zawsze przyczynia się walnie do rozwoju ślepego uczucia. Ja byłem szalawią... prawdę zaś rzekłszy, mógłbym pójść o krok dalej i przyznać, że byłem wielkim szalawią, lecz dopuszczałem się wybryków niewinnego raczej gatunku, bo nie szkodziłem nikomu, prócz siebie, nikogo nie narażałem na wstyd lub stratę ani też nie robiłem nic zbrodniczego ni podłego, co nie godziłoby się z mym szlachetnym urodzeniem.

Ale mój brat Hugon nie omieszkiał obrócić moich błędów na swą korzyść, wiedział bowiem, iż brat Artur jest człekiem wątłego zdrowia, i miał nadzieję, że gdyby zdarzyć się miało najgorsze, on na tym zyska, jeżeli wprzódy mnie usunie z drogi. A zatem... Lecz to długa historia, miłościwy panie, i nie bardzo godna opowieści. Mówiąc tedy pokrótce, ów brat zręcznie wyolbrzymał moje błędy i uczynił z nich zbrodnie, by zaś, dokończyć niecnego dzieła, znalazł w moich komnatach jedwabną drabinkę (podrzuconą tam jego staraniem) i tym dowodem oraz fałszywym świadectwem służby i różnych przekupionych łotrów zdołał przekonać rycerza Ryszarda, iżem zamyślał porwać mą Edytę i zaślubić wbrew wyraźnej rodzicielskiej woli.

Ojciec powiedział, że trzy lata wygnania z domu i z Anglii mogą uczynić ze mnie mężczyzną i wojaka, i po trosze nauczą mnie rozumu. Długą tę pokutę odbywałem na kontynentalnych wojnach i niemało zakosztowałem bolesnych ciosów, trudów i przygód. W ostatniej wszakże bitwie dostałem się do niewoli i przez siedem lat, które przeszły i minęły od owego dnia, schroniskiem były mi cudzoziemskie lochy. Dzięki sprytowi i odwadze wydostałem się wreszcie na swobodę i zbiegłem prosto tutaj, gdzie dopiero co przybył. Ubogi jestem w trzosie, ubogi w odzieniu, lecz jeszcze bardziej zbywa mi na wiadomościach, co przez te ponure siedem lat działo się w Hendon Hall, co przygodzić się mogło ludziom oraz rzeczom. Oto moja krótka opowieść, miłościwy panie.

– Haniebnie cię skrzywdzono – zawołał mały monarcha, a gniewne błyski zagrały mu w oku. – Ale, na krzyż przysięgam, naprawię to zło. Tak król powiedział!

Następnie, poruszony opowieścią o ciężkiej krzywdzie Milesa, dał folgę językowi i przed zdumionym słuchaczem roztoczył obraz własnych, tak niedawnych nieszczęść. Kiedy zaś umilkł, Miles rzekł do siebie:

– Przebóg! Cóż to za wyobraźnia! I umysł zaiste niezwykły, inaczej bowiem, szalony czy zdrowy, nie zdołałby utkać tak jasnej i pięknej baśni z mglistych złud. Nieszczęsna, mała schorowana główka! Nie zbraknie jej na pewno przyjaciela ni schroniska, gdy ja zajmę się życiem biednego włóczęgi. Nigdy nie odstąpi już mego boku; zostanie moim faworytem, małym towarzyszem. I muszę go wyleczyć! Tak! Będzie przytomny i zdrowy, wówczas zdobędzie sobie głośne imię, ja zaś rzeknę z dumą: „Tak, on jest mój! Wziąłem go pod opiekę, gdy był małym, bezdomnym obdartusem, lecz wiedziałem był o sile w nim utajonej i mówiłem, że świat o nim jeszcze usłyszy w przyszłości. Patrzcie nań; dobrze mu się przyjrzyjcie! Czy nie miałem racji?”

Król przemówił poważnym i spokojnym głosem:

– Uchroniliście mnie od krzywdy i hańby, być może ocalili nawet życie i koronę. Przysługa taka szczodrej wymaga nagrody. Rzeknijcie tedy, jakie jest wasze życzenie, a spełnię je, jeśli to leży w granicach mej monarszej władzy.

Hendon ocknął się z zadumy na te dziwaczne słowa. Chciał zrazu podziękować królowi i zakończyć całą sprawę mówiąc, że spełnił jedynie obowiązek i nie pragnie nagrody, niebawem jednak przyszła mu do głowy myśl rozsądniejsza. Poprosił, aby wolno mu było zastanowić się przez kilka minut i w milczeniu rozważyć wielkoduszną propozycję. Król z powagą pochwalił ten zamiar i rzekł, iż najlepiej nie spieszyć się zbyt, gdy chodzi o rzecz tak doniosłej wagi.

Miles rozmyślał przez chwilę, następnie zaś powiedział do siebie:

– Tak postąpić trzeba! Nie inaczej, bo w żaden inny sposób nie uzyskam takiego przyzwolenia, a doświadczenia minionej godziny jasno dowiodły, iż pozostawienie sprawy w jej

obecnym stanie byłoby nad wyraz niedogodne i nużące. Tak, o to poproszę! Na szczęście nie zmarnowałem nadarzającej się okazji.

Hendon przykląkł na jedno kolano i powiedział głośno:

– Moje skromne służby nie przekraczają granic zwyczajnych obowiązków poddanego, nie stanowią tedy szczególnej zasługi. Jeśli wszakże miłościwy pan uważać raczy, iż godne są nagrody, odważę się zanieść prośbę w tym względzie. Przed czterema blisko wiekami, jak niewątpliwie wiadomo Waszej Królewskiej Mości, toczył się spór pomiędzy Janem, królem Anglii, a królem francuskim. Postanowiono wówczas, iż dwóch zapaśników walczyć ma w szrankach i rozstrzygnąć zatarg wedle wyniku tego, co zwało się ongi Sądem Bożym. Gdy dwaj zwaśnieni królowie wraz z królem Hiszpanii przybyli, aby oglądać i rozsądzić turniej, zjawił się zapaśnik francuski. Tak był jednak groźny, że żaden z naszych angielskich rycerzy nie śmiał skrzyżować z nim oręża. Groziło zatem, że sprawa – bardzo ważna sprawa – z braku jej obrońcy zostanie rozstrzygnięta na niekorzyść angielskiego władcy. W Tower gnił w owe dni lord de Courcy, największy mocarz w Anglii, odarty ze swych dóbr i godności i osłabły od długiej niewoli. Zwrócono się do niego, on zasię wyraził zgodę i wystąpił wnet zbrojny, obleczon w pancerz. Kiedy zaś Francuz rzucił okiem na jego olbrzymią postać i posłyszał głośne miano, zbiegł zaraz, a król francuski przegrał swoją sprawę. Król Jan przywrócił lordowi de Courcy tytuły i włości i rzekł: „Mów, czego pragniesz, a spełnię to, choćby kosztować mnie miało pół królestwa”. Słyszając te słowa de Courcy ukląkł, jako ja teraz klękę, i powiedział: „O to więc błagam, miłościwy panie, aby mnie i moim dzieciom wolno było zachować nakrycie głowy w przytomności królów Anglii, od onej chwili, pokąd trwać będzie tron angielski”. Przywileju tego król udzielił, jak wiadomo miłościwemu panu, a przez minione czterysta lat domowi de Courcy nigdy nie brakło dziedzica i do dziś dnia głowa tego starożytnego rodu staje bez przeszkód przed majestatem króla w kapeluszu lub hełmie na głowie, czego czynić nie wolno nikomu z poddanych. Przypominam ów przypadek na poparcie mej prośby i błagam miłościwego pana o jedną tylko łaskę i przywilej, który będzie dla mnie nagrodą bardziej niż wystarczającą, o to mianowicie i o nic innego, by mnie i moim dziedzicom aż do końca dni wolno było siadać w przytomności majestatu króla Anglii.

– Powstań, rycerzu Milesie – rzekł król z powagą, dotknawszy ramienia Hendona jego własnym mieczem – powstań i zasiądź. Prośba twa została wysłuchana. Pokąd trwać będzie Anglia i jej korona, przywilej ów nie może wygasnąć.

Miłościwy pan odszedł na stronę i popadł w zadumę. Hendon zaś usiadł na stojącym za stołem krześle i rozpoczął nowy monolog:

– Przednią miałem myśl i znaczną zyskałem ulgę, bo nogi rozbolały mnie już potężnie. Gdyby mi to nie przyszło do głowy, musiałbym stać przez długie tygodnie, dopóki nie minie obłęd mojego biedaka.

Po chwili podjął:

– Zostałem więc pasowany na widmowego rycerza Królestwa Snów i Cieniów! Dziwna, osobliwa zaiste godność dla człowieka tak rzeczowego. Jednak nie będę się śmiać, niech Bóg uchowa, gdy rzecz, dla mnie nieprawdziwa, dla niego stanowi prawdę. Ale stanowi i dla mnie! To nie złuda tylko, bo maluje wyraźnie jego szlachetny i wdzięczny charakter!

Na chwilę zapadła cisza.

– A co będzie – ciągnął Hendon – jeśli przy ludziach nazwie mnie tym pięknym tytułem? Ucieszny powstanie kontrast pomiędzy moją chwałą a strojem! Mniejsza o to! Niechaj nazywa mnie, jak zechce, a rad będę, jeśli mu to sprawi przyjemność.

ROZDZIAŁ XIII

UPROWADZENIE KRÓLEWICZA

Sen nieprzeparcie morzył dwóch przyjaciół.

– Zwleczenie te łachmany – powiedział król mając na myśli swe ubranie.

Bez słowa protestu Hendon rozdział chłopca, ułożył go w łóżku, potem zaś rozejrzał się po izdebce i smętnie rzekł do siebie:

– Znowu zajął mi posłanie, tak jak wprzód. Ha! cóż teraz uczynię?

Mały monarcha zauważył zakłopotanie przyjaciela i rozstrzygnął rzecz w niewielu słowach.

– Ty legniesz u progu i strzec będziesz drzwi – powiedział sennym głosem i wnet wymknął się wszelkim troskom, gdyż zapadł w kamienny sen.

– Przebóg! Ten winien był urodzić się królem, bo rolę swą gra przecudownie – mruknął Hendon i ułożywszy się na podłodze przede drzwiami, ciągnął pogodnie: – Przez siedem lat mieszkałem gorzej, skargi tedy dowodziłyby tylko niewdzięczności wobec Tego, który jest nad nami.

Usnął, gdy na niebie zaczynało świtać. Wstał około południa; odkrył na krótki czas swego nieświadomego pupila i sznurkiem wziął zeń miarę. Król ocknął się w chwili, gdy Miles kończył to zadanie. Poskarżył się na chłód i zapytał, co „rycerz Miles” czyni.

– Już skończyłem, miłościwy panie – odparł Hendon. – Mam trochę interesów na mieście, lecz niebawem wrócę. Spij teraz, śpij, bo bardzo ci snu potrzeba. Oo... nakryję cię z głową, a rozgrzejesz się rychlej.

Przed zakończeniem tej przemowy król powrócił do krainy marzeń. Miles wymknął się cichaczem i po upływie trzydziestu lub czterdziestu minut równie cicho powrócił z chłopięcymi szatkami. Były one z taniego materiału i na pewno używane, lecz schludne i odpowiednie na tę porę roku. Hendon usiadł i począł oglądać sprawunek pomrukując pod wąsem:

– Cięższy trzos pozwoliłby mi kupić strój godniejszy, jeżeli jednak ktoś nie ma ciężkiego trzosa, winien radować się tym, na co wystarczy lekki...

*W miasteczku naszym była niewiasta,
Mieszkała w naszym miasteczku...*

Drgnął, zdaje się... Winienem śpiewać nie tak gromko... Po co zakłócać sen biednemu chłopcu. Strudzony jest, a czeka go podróż... zupełnie niezłe ubranie... Jeden ścieg tu, drugi tam i wszystko będzie w porządku. Druga sztuka jest lepsza, ale i jej przygodzi się igła tu i ówdzie... Buty przynajmniej są porządne i całe; ciepło i sucho będzie w nich jego małym stopkom. A to przecież nowość dlań i rzecz osobliwa, bo na pewno przywykł biegać na bosa... zarówno zimą, jak latem. Szkoda, że nic nie jest chlebem, bo za ćwierć pensa można jej dostać tyle, ile na rok starczy, a na dokładkę taką długą, piękną igłę całkiem za darmo, z czystej miłości... Diabelnie dużo stracę czasu, żeby ją nawlec!

Hendon miał słuszość. Nawlekał igłę tak, jak mężczyźni czynili to zawsze i czynić będą zapewne do końca świata. Igłę trzymał bez ruchu i usiłował trafić nitką w uszko, co jest przeciwieństwem obyczaju niewieściego. Raz po raz nic nie trafiała celu, omijała igłę z tej lub tamtej strony, niekiedy zaś zaginała się na jej gładkiej powierzchni. Ale Miles był wytrwały,

bo za dni wojaczki wielokrotnie doświadczał podobnych trudności. Powiodło mu się wreszcie, ułożył więc na kolanach kubrak i wziął się do roboty.

– Gospoda opłacona wraz ze śniadaniem, które wnet podadzą. Pozostaje tylko kupić dwa osły i pokryć drobne koszty dwu- lub trzydniowej podróży pomiędzy tym a nieprzebraną obfitością czekającą nas w Hendon Hall...

Małżonka swego kocha...

Do kroćset! Wepchnąłem igłę pod paznokcie!... Furda!... To nie nowina... ale bądź co bądź zdarzenie niemiłe... Ha! Tam przynajmniej będzie nam wesoło... Nie bój się, mój mały, znikną twe troski i kłopoty, a wraz z nimi żalosna niemoc...

Małżonka swego kochała tkliwie...

Szlachetne, okazałe ściegi! – mamrotał Hendon i uniósłszy kubrak w górę, oglądał go z podziwem. – Mają w sobie rozmach i majestat, wobec którego te małe, liche ściegi roboty jakiegoś tam krawczyka wyglądać muszą niepokaznie i po plebejsku zgoła...

*Małżonka swego kochała tkliwie,
Lecz ją miłował inny...*

Dalibóg, skończone! Zbożna, uczciwa praca... i wykonana przednio! Teraz zbudzę go, ubiorę, naleję dlań wody, nakarmię chudziaka i hajda na targ koło gospody „Pod Rycerskim Płaszczem” w Southwark. Potem zaś...

– Może Wasza Królewska Mość raczy wstać... Ha, nie odpowiada... Hop, hop, miłociwy panie!...

Zaiste, dotknięciem będę musiał znieważyć jego świętą osobę, bo we śnie głębokim głuchy jest na słowa. Co to?!

Odrzucił kołdry. Chłopca nie było!

Przez chwilę Miles rozglądał się wokół w niemym zdumieniu i wówczas dopiero zauważył, że zniknęły również łachmany pupila. Zaraz też podniósł alarm; zaczął złościć się i wołać na oberzystę. W tej chwili wszedł pacholek ze śniadaniem.

– Gadaj, szatański pomociu! Gdzie chłopiec? – wrzasnął wojak i z takim rozmachem rzucił się na sługę, że ten ze strachu zapomniał na chwilę języka.

Wnet jednak urywanymi słowy wybełkotał odpowiedź, której odeń żądano:

– Ledwie wasza miłość wyszedł z oberży, jakiś wyrostek przybiegł i rzekł, jako z woli waszej miłości chłopiec ma zaraz spieszyc do waszej miłości na koniec Mostu po stronie Southwark. Przyprowaodziłem tu posłańca, a on obudził chłopca i powiedział mu, co miał do powiedzenia. Chłopiec burnkął coś, że budzą go „tak wcześnie”, jak się wyraził, ale zaraz oblekł swoje szmaty i wyszedł z onym wyrostkiem. Gadał coś tylko, że wasza miłość dowiódłby lepszych manier, gdyby sam przyszedł, miast słać tu obcego, a więc...

– A więc głupiec z ciebie! Łatwowierny głupiec, bodajbyś wisiał razem z całą rodziną! Może jednak nie stało się nic złego. Może nikt nie zamyślał skrzywdzić chłopca. Wyjdę i przywiode go rychło. Nakryj do stołu. Słuchaj! Kołdry były tak ułożone, jak gdyby leżał ktoś pod nimi. Czy stało się to przypadkiem?

– Nie wiem, proszę łaski waszej miłości. Widziałem, że wyrostek ów kręcił się koło łóżka... ten, znaczy wyrostek, co przyszedł po chłopca.

– Do kroćset! Uczynił to, aby mnie zmylić! Tak! Jasne, że chciał zyskać na czasie. A bodaj cię! Czy ten wyrostek był sam?

– Sam, wasza miłość.

- Pewien jesteś?
 - Pewien, wasza miłość.
 - Przypomnij sobie wszystko... namyśl się, człeku... nie szcędź czasu!
- Pachołek odrzekł po chwilowym zastanowieniu:
- Kiedy on tu przyszedł, nikogo z nim nie było, ale teraz przypomniałem sobie, że jak obaj weszli, w ciżbę na Moście, jakiś mężczyzna o minie wisielca znalazł się skądś i wtedy właśnie, kiedy się do nich zbliżał...
 - Co wtedy? Gadaj! – przerwał gromkim głosem zniecierpliwiony Hendon.
 - Właśnie wtedy wszyscy trzej zniknęli w tłumie i nie widziałem nic więcej, bo mój gospodarz, zawołał mnie i zaczął urągać, że ktoś zapomniał o tej pieczeni, co ją zamówił wielmożny skryba, chociaż wszystkich świętych biorę za świadka, że równie dobrze można mnie obwiniać o to zapomnienie, jak wzywać nie narodzone dziecię przed sąd za grzechy popeł...
 - Precz z moich oczu, głupcze! Oszaleję od twej gadaniny. Czekaj! Dokąd lecisz? Nie możesz ustać chwili na miejscu? Chodziłeś w stronę Southwark?
 - Proszę łaski waszej miłości, tylko tak daleko, jak trzeba było po tę przeklętą łopatkę na pieczeń, chociaż jakom już rzekł waszej miłości, nowo narodzonego dziecięcia nie można nie słuszniej winić niż...
 - Ty jeszcze tutaj? I wciąż gadasz? Precz, bo cię poszatkuje!
- Pachołek wyszedł. Hendon pospieszył za nim, minął go i zbiegając na dół po dwa schody naraz, mrucał do siebie:
- To ten wszawy hultaj, który powiadał się jego ojcem. Utraciłem cię, mój biedny, mały, obłąkany władco... To myśl bolesna, bo takim cię już pokochał! Nie! Nie utraciłem, cię, przez piekło i niebo! Nie utraciłem cię, bo cały kraj przewrócę do góry nogami i znajdę cię na koniec! Biedne dziecko! Tam czeka nań śniadanie... i na mnie... ale ja nie mam apetytu... Ha! Niechaj szczury raczą się jadłem naszym! Prędkiej! Prędkiej! Oto właściwe teraz słowo.
- Szybko torował sobie drogę wśród gwarnych tłumów przelewających się na Moście i kilkakroć mówił do siebie, jak gdyby uporczywie wracała doń myśl szczególnie miła:
- Burczał, lecz poszedł... Tak, poszedł, ponieważ sądził, iż wzywał go Miles Hendon. Kochany chłopiec! Za nic nie uczyniłby tego dla nikogo innego. Wiem to dobrze.

ROZDZIAŁ XIV

LE ROI EST MORT - VIVE LE ROI!

O brzasku tego samego ranka Tom Cauty ocknął się z głębokiego snu i w ciemnościach otworzył oczy. Przez chwilę leżał cicho i próbował powiązać oderwane myśli i wrażenia, aby odnaleźć w nich jaki taki sens. Wreszcie powiedział żywo, lecz przytłumionym głosem:

– Wszystko rozumiem! Tak! Wszystko rozumiem! Ach, chwała Bogu, zbudziłem się wreszcie! Witaj, radości! Precz, moje smutki! Hej! Nan, Bet! Rozkopcie słomę! Chodźcie do mnie i nastawcie uszy, bo opowiem wam rzeczy nie do wiary, najosobliwszy szaleńczy sen, jaki duchy nocy stworzyły kiedykolwiek na podziw człowieczej duszy... Hej, Nan! Hej, Bet!

Mglisty zarys jakiejś postaci pojawił się u boku Toma i obcy głos zapytał:

– Miłościwy pan raczy coś rozkazać?

– Rozkazać?... O, biada mi! Znam twój głos! Powiadaj, ktom zaczą?

– Wy?... Zaprawdę, wczoraj jeszcze byliście, panie mój, księciem Walii, wszelako dziś jesteście najmiłościwiej nam panującym Edwardem, królem Anglii.

Tom zagrzebał twarz w poduszkach i szepnął żałośnie:

– Niestety, to nie był sen. Udajcie się na spoczynek, dobry panie, mnie zaś pozostawcie własnym troskom.

Tom zdrzemnął się znowu i po niejakiem czasie miał rozkoszny sen. Śnił, iż jest lato, on zaś bawi się samotnie na pięknej łące zwanej Łanem Goodmana. Wysoki ledwie na stopę karzełek z rudymi faworytami i garbem na plecach ukazał się nagle i przemówił w te słowa:

– Kop przy tym pniaku.

Tom posłuchał i rychło znalazł dwanaście nowych błyszczących pensów! – skarb przeogromny! Nie na tym wszakże koniec radości, bo karzełek odezwał się znowu:

– Znam cię. Dobry z ciebie chłopiec, godzieneś więc nagrody. Kończą się twoje troski, bo oto nadszedł czas zapłaty. Kop tu co siódmy dzień, a za każdym razem znajdziesz taki sam skarb: dwanaście nowych, błyszczących pensów. Lecz nie powiadaj o tym nikomu i bacznie strzeż sekretu.

Karzełek zniknął, a Tom ze zdobyczą pobiegł co sił w nogach w stronę Offal Court.

– Co wieczora dam ojcu jednego pensa – mówił po drodze. – Uraduję tym jego serce, bo pomyśli, że to pieniądze uzebrane, nie będę więc dostawał w skórę. Jednego pensa dostanie co tygodnia ów dobry kapłan, który mnie nauczał. Dla matki, Nan i Bet zostanie jeszcze cztery pensy. Koniec głodowi i łachmanom! Koniec troskom, obawom i dziakiemu okrucieństwu!

Do swego plugawego domostwa przybiegł (wciąż we śnie) bez tchu prawie, lecz z oczyma gorejącymi radosnym zapałem. Rzucił cztery ze znalezionych pensów na podolek matki i krzyknął:

– To dla was, matko! Wszystkie co do jednego! Dla was, Nan i Bet! I uczciwie do nich doszedłem! Nie uzebrałem ani skradłem!

Uradowana, zdumiona matka przytuliła chłopca do piersi i odrzekła:

– Już późno... Czy Wasza Królewska Mość wstać raczy?

Ach, nie była to odpowiedź, której oczekiwał! Przepadło marzenie senne. Tom się obudził.

Odemknął powieki. Bogato odziany Lord Pierwszy Pokojowiec klęczał u jego wezgłowia. Radość złudnych snów zbladła, a biedny chłopiec uprzytomnił sobie, iż nadal jest więźniem i królem. Komnata pełna była dworzan przybranych w szkarłatne płaszcze (była to barwa żało-

by) i sług szlchetnego rodu. Tom usiadł na łożu i spod ciężkich jedwabnych zasłon spojrzął na dostojne zgromadzenie.

Wnet rozpoczął się ważny proces ubierania, kiedy zaś trwał, dworacy jeden po drugim przyklękali, aby złożyć małemu królowi poranny hołd i wyrazy współczucia z powodu tak bolesnej straty. Przede wszystkim pełniący tego dnia służbę Wielki Koniuszy ujął koszulę i podał ją Lordowi Wielkiemu Nadzorcy Ogarów Jego Królewskiej Mości, ten zaś Drugiemu Panu Pokojowcowi, który podał ją Wielkiemu Łowczemu Lasów Windsorskich, ten zaś Trzeciemu Panu Koniuszemu, który podał ją Podkanclerzemu Królewskiemu Księstwa Lancaster, ten zaś Wielkiemu Szatnemu, który podał ją Trzeciemu Lordowi Namiestnikowi Królewskiemu, ten zaś Strażnikowi Twierdzy Tower, który podał ją Wielkiemu Ochmistrzowi Dworu, ten zaś Dziedzicznemu Wielkiemu Podkomorzemu, który podał ją Lordowi Wielkiemu Admirałowi Anglii, ten zaś Arcybiskupowi Canterbury, który podał ją Lordowi Pierwszemu Pokojowcowi, który przyjął to, co z koszuli pozostało, i wdział na Toma. Biedny, oszołomiony malec przypomniał sobie, jak to kubły idą z rąk do rąk w czasie pożaru.

Każda z kolei część garderoby musiała odbywać uroczystą a długą wędrówkę, Tom zaś nudził się zawiłą ceremonią, i to nudził tak bardzo, że z radosną ulgą postrzegł wreszcie, iż jego długie, jedwabne pończochy rozpoczynają podróż wzdłuż szeregu dworzan. Domyślił się wtedy, iż rzecz cała zbliża się do pomyślnego zakończenia. Ale radość była przedwczesna. Lord Pierwszy Pokojowiec przyjął pończochy i zamierzał oblec nimi łydki Toma, gdy nagle rumieniec wykwitł mu na lica i dygnitarz ów spiesznie zwrócił pończochy do rąk Arcybiskupa Canterbury, a wskazując palcem coś na jednej z nich, spojrzął wymownie i szepnął: – Patrzajcie, szlchetny panie! – Arcybiskup Canterbury zbladł, potem poczerwieniał i podając pończochy Lordowi Wielkiemu Admirałowi szepnął: – Patrzajcie, szlchetny panie! – Lord Wielki Admirał wręczył pończochy Dziedzicznemu Wielkiemu Podkomorzemu i ledwie mu tchu starczyło, aby wyjąkać: – Patrzajcie, szlchetny panie! – Pończochy wracały teraz wzdłuż szeregu do Wielkiego Ochmistrza Dworu, Strażnika Twierdzy Tower, Trzeciego Lorda Namiestnika Królewskiego, Wielkiego Szatnego, Podkanclerzego Królewskiego Księstwa Lancaster, Trzeciego Pana Koniuszego, Wielkiego Łowczego Lasów Windsorskich, Drugiego Pana Pokojowca, Lorda Wielkiego Nadzorcy Ogarów Jego Królewskiej Mości, a przez cały czas towarzyszyły im pełne zgrozy i zdumienia szepty: – Patrzajcie! Patrzajcie! – dopóki wreszcie nieszczęsna część garderoby nie znalazła się w rękach pełniącego tego dnia służbę Wielkiego Koniuszego, który przez chwilę przyglądał się z pobladałą twarzą temu, co wywołało tak wiele zamieszania, po czym wyszeptał ochryplym głosem:

– Na mą duszę! Brak skuwki przy sznurówce! Do Tower z Pierwszym Panem Nadzorcą Pończoch Jego Królewskiej Mości!

Powiedziawszy to wsparł się na ramieniu Lorda Wielkiego Nadzorcy Ogarów Jego Królewskiej Mości, aby odzyskać nadwątlone siły, w czasie gdy dobywano ze schowka mowę pończochy ze sznurowadłami bez uszkodzeń.

Wszystko jednak musi mieć swój koniec, w odpowiedniej więc chwili przywieziono Toma do stanu, w którym mógł powstać z łoża. Powołany do tego dworzanin nalewał wodę, drugi kierował czynnością mycia się, trzeci zaś czekał w pobliżu z ręcznikiem, powoli więc Tom przebrnął wszystkie stadia porannych ablucji i mógł skorzystać z usług Nadwornego Cyrulika. Kiedy wreszcie uwolnił się z rąk owego mistrza swego kunsztu, urodziwy był niczym dziewczyna i wdzięcznie wyglądał w płaszczyku i spodenkach ze szkarłatnego atlasu oraz berecie przystrojonym szkarłatnym piórem. Ruszył teraz do Małej Jadalni i uroczyście kroczył pośród rzeszy dworzan, którzy cofając się, aby monarsze dać wolną drogę, przyklękali na jedno kolano.

Po śniadaniu dygnitarze dworscy pod eskortą pięćdziesięciu panów straży przybocznej ze złożonymi toporkami w dłoniach powiedli Toma z monarszą pompą do sali tronowej, gdzie

mały władca przystąpił do rozstrząsania ważnych spraw państwowych. Jego „wuj”, lord Hertford, zajął postereunek obok tronu, aby świątymi radami wspierać umysł miłościwego pana.

Grono znakomitych panów wybranych przez zmarłego króla na egzekutorów jego ostatniej woli zjawilo się, aby prosić Toma o aprobatę swych zarządzeń. Była to czcza formalność albo raczej formalność niezupełnie formalna, gdyż nikogo nie obwołano jeszcze protektorem. Arcybiskup Canterbury zdał sprawę z dekretu Rady Egzekutorów tyczącego obrzędów pogrzebowych zmarłego miłościwego pana i na zakończenie odczytał podpisy egzekutorów, a mianowicie: Arcybiskup Canterbury, Lord Kanclerz Anglii, William, lord St. John, John lord Russel, Edward hrabia Hertford, John wicehrabia Liesle, Cuthbert biskup Durham...

Tom nie słuchał, gdyż zaniepokoił go jeden z poprzednich punktów dokumentu, po namyśle zwrócił się więc do lorda Hertforda i zapytał szeptem:

- Na jaki to dzień wyznaczono pogrzeb?
- Na dzień szesnasty przyszłego miesiąca, miłościwy panie.
- To szaleństwo! Czy on dostoi?

Biedaczek, nie oswoił się jeszcze z dworskim obyczajem! Przywykł do widoku nędzarskich zwłok z Offal Court, które spiesznie uprzątało z drogi. Ale lord Hertford szepnął słów parę i rozwiął wnet niepokój małego monarchy.

Sekretarz Stanu przedstawił uchwałę Wielkiej Rady, wyznaczającą na godzinę jedenastą dnia następnego przyjęcie cudzoziemskich ambasadorów, i prosił króla o zgodę.

Tom pytającym wzrokiem zerknął na Hertforda, ten zaś szepnął:

– Miłościwy pan raczy twierdząco skinąć głową. Ambasadorowie przybywają, aby wyrazić współczucie swych monarchów z powodu bolesnej straty, która dotknęła Waszą Królewską Mość i królestwo Anglii.

Tom uczynił, jak mu kazano. Drugi sekretarz jął czytać projekt ustawy tyczącej wydatków na dwór zmarłego króla, które to wydatki w ciągu minionych sześciu miesięcy wyniosły osiem tysięcy funtów szterlingów – sumę tak olbrzymią, że Tom aż stęknął. Stęknął po raz drugi, gdy wyszło na jaw, iż z sumy tej dwadzieścia tysięcy funtów stanowi dług dotychczas nie spłacony. Stęknął po raz trzeci, gdy okazało się, że szkatuła monarsza świeci pustkami, a dwanaście setek królewskiej służby znalazło się w znacznych kłopotach skutkiem zatrzymania należnych im zasług. Tom przemówił wówczas żywo i z obawą:

– Jawnie schodzimy na psy! Stanowczo i koniecznie trzeba zmniejszyć dwór i odprawić wielu służby, którzy są przecie do niczego i narażają tylko na stratę czasu, bo dręczą ciało i duszę człowieka rozlicznymi posługami niepotrzebnymi nikomu, prócz lalki, która nie może radzić sobie sama, bo nie ma mózgu ani rąk zdalnych do roboty. Dobrze pamiętam pewien domek, który stoi przy targu rybnym, niedaleko Billingsgate...

Tom poczuł nagle silny ucisk na ramieniu, zapłonął się tedy i powstrzymał szalony język. Nikt jednak nie dał poznać po sobie, że zwrócił uwagę na tę dziwaczną mowę albo tym bardziej zafrasował się z jej racji.

Sekretarz Stanu prawil dalej, że zmarły miłościwy pan nakazał swą ostatnią wolę, aby hrabiego Hertforda podnieść do książęcej godności, bratu zaś jego, rycerzowi Tomaszowi Seymour, nadać stanowisko para, a także syna Hertforda uczynić hrabią oraz pomniejszych godnościami nagrodzić kilku innych wiernych sług królewskich. Rada postanowiła tedy zebrać się dnia szesnastego miesiąca lutego, aby nadać i potwierdzić formalnie te godności. Jakkolwiek zaś zmarły miłościwy pan nie nakazał na piśmie, aby wyniesionym nadać włości niezbędne do uświetnienia ich nowych tytułów, Rada znając dokładnie osobiste życzenia zmarłego uważa za stosowne (za wolą i zgodą miłościwego pana) nagrodzić Seymoura „majętnością niosącą pięćset funtów rocznie”, a syna Hertforda „majętnością niosącą osiemset funtów, jako też trzystoma funtami rocznego dochodu z pierwszych wakujących dóbr biskupich”.

Tom miał już na końcu języka, że godziłoby się wprzód spłacić długi nieboszczyka króla, a później dopiero trwonić jego pieniądze, lecz baczny na wszystko Hertford na czas dotknął

jego ramienia i uchronił chłopca od nowego nietaktu. Monarsza zgoda została zatem udzielona bez głośnych komentarzy, lecz ze znaczną dozą wewnętrznej niechęci. Tom rozmyślał przez chwilę nad szczególną łatwością, z jaką czyni teraz zdumiewające i wspaniałe cuda, i do głowy strzelił mu wyborny koncept. Mógłby przecie uczynić matkę księżną Offal Court i nadać jej jakieś włości! Wnet jednak nadciągnęły smutne refleksje; został królem tylko z imienia. Ci poważni starcy i dumni wielmoże władają nim, a dla nich przecie matka Toma Cauty jest tylko wytworem chorego mózgu; propozycji jego wysłuchaliby z pobłażaniem i wnet wezwaliby medyka.

Nudna narada wlokła się leniwie. Czytano petycje, proklamacje, nadania i wszelkiego rodzaju niezrozumiałe, pompatyczne dokumenty dotyczące spraw państwowych. Wreszcie Tom westchnął z głębi piersi i szepnął sam do siebie:

– Za jakie ciężkie grzechy Bóg pozbawił mnie pól, świeżego powietrza, słonecznych blasków? Czemu więzi mnie tutaj, każe być królem, doświadcza tak srodze?

Następnie biedna, skołatana głowa zaczęła się chylić i wnet opadła na ramię. Sprawy państwowe utknęły na martwym punkcie, zabrakło im bowiem na razie najdostojniejszego czynnika – siły potwierdzającej. Cisza zapanowała wokół drzemiącego chłopca, a najmędrsi w królestwie zawiesili obrady.

Za pozwoleniem opiekunów, Hertforda i St. Johna, Tom spędził przed południem przyjemną godzinę z lady Elżbietą i małą lady Jane Grey, chociaż księżniczki były przygnębione straszliwym ciosem, który spadł na dom królewski. Pod koniec ich wizyty „najstarsza siostra” (którą później historia uznała Marią Krwawą) zmroziła chłopca budującą rozmową, która miała dlań jedną zaletę – tę mianowicie, że trwała niedługo. Po tych odwiedzinach Tom spędził czas niejaki w samotności, potem zaś dopuszczono przed oblicze majestatu jakiegoś szczupłego, mniej więcej dwunastoletniego chłopca, którego cały ubiór (kaftan, pończochy i wszystko, z wyjątkiem śnieżnej krezy i koronkowych mankietów) był zupełnie czarny. Chłopiec nie nosił żadnych oznak żałoby, prócz pęczka czerwonych wstążek u ramienia. Zbliżył się nieśmiało z odkrytą, pochyloną głową i przyklęknął przed Tomem, który siedział spokojnie i przez chwilę obserwował przybyłego. Potem powiedział:

– Wstań, chłopcze. Ktoś zacz i czego pragniesz?

Chłopiec podniósł się i stanął w swobodnej, wdzięcznej pozie, lecz z troską wypisaną na licach.

– Musicie mnie pamiętać, miłościwy panie – rzekł: – Jestem waszym Chłopcem do Bicia.

– Moim chłopcem?... Chłopcem do bicia?!

– Tak, miłościwy panie. Jam Humphrey... Humphrey Marlow.

Tom pojął, iż ma przed sobą kogoś, o kim winni byli mu wspomnieć opiekunowie. Sytuacja była drażliwa. Co teraz robić? Udać, że zna tego chłopca, aby później zdradzać każdym słowem, iż nigdy dotąd o nim nie słyszał? Nie! To nie zda się na nic!

Dobry pomysł przyszedł mu jednak z pomocą. Takie wydarzenia mogą się zdarzać często, teraz zwłaszcza, gdy doniosłe a pilne sprawy odwoływać będą od jego boku Hertforda i St. Johna, którzy należą wszak do Rady Egzekutorów. Trzeba więc coś obmyślić, żeby w razie potrzeby samemu stawić czoło niebezpieczeństwu. Tak! To plan rozsądny. Tom postanowił przeprowadzić doświadczenie na owym chłopcu i przekonać się, jakie osiągnie wyniki. Przez chwilę marszczył brwi z namysłem, potem rzekł:

– Teraz wydaje mi się, iż pomnę co nieco... ale umysł mój jest zamglony i nadwreżony cierpieniem...

– Zaiste, mój nieszczęsny władco! – zawołał z uczuciem Chłopiec do Bicia, w myśli zaś dodał:

„Prawdę powiadają, że biedak postradał zmysły. Ale i mnie zmartwienie pomieszało w głowie. Zapominam, co nakazano. Nie wolno przecie zdradzać, iż widzi się, że coś z nim nie w porządku”.

– „Dziwna rzecz, jak pamięć zawodzi mnie ostatnimi czasy – podjął Tom. – Ale nie bacz na to... Powoli odzyskuję zdrowie, a często błaha wskazówka przypomina rzeczy i nazwiska, które mi się wymknęły. („I nie tylko takie – pomyślał – lecz również te, o których nigdy nie słyszałem, jako się zaraz przekona ten chłopiec.) Powiadaj, z czym przychodzisz?

– To sprawa małej wagi, lecz poruszę ją za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości. Dwa dni temu, gdy miłościwy pan pomylił się trzy razy podczas greki... było to na porannej lekcji... miłościwy pan przypomina sobie?

– Ta-ak... tak mi się wydaje... („To niezupełne kłamstwo – pomyślał – bo gdybym w ogóle jął się greki, zbłądziłbym nie głupie trzy razy, lecz przynajmniej czterdzieści.) Tak, teraz pamiętam. Mów dalej.

– Magister rozgniewał się na tę, jako rzekł, niechlujną a głupowatą robotę, zapowiedział więc, że sprawi mi tęgą chłostę... i...

– Tobie sprawi chłostę?! – zdumiał się Tom. – A czemuż ciebie ma bić za moje błędy?

– Ach, miłościwy pan znowu zapomina. Zawsze przecież mnie biją, kiedy miłościwy pan myli się w czasie lekcji.

– Prawda... prawda... zapomniałem... Ty uczysz mnie prywatnie... kiedy się więc pomylę... magister sądzi, że źle wykonałeś swe zadania... i... i...

– O miłościwy panie! Cóż powiadacie? Ja, najnędzniejszy z waszych sług, was miałbym uczyć!

– Gdzie zatem twoja wina? Cóż to za zagadka? Czym ja oszalał naprawdę, czy ty? Tłumacz jasno, mów dalej.

– Ależ, miłościwy panie, nie wymaga to zgoła tłumaczenia. Nikomu nie wolno profanować plagami świętej osoby księcia Walii. Kiedy zatem on zbłądzi, ja odbieram plagi, a to jest rzecz słuszna i godziwa, jako że taki jest mój urząd i z tego żyję.

Tom spojrział uważnie na flegmatycznego chłopca i pomyślał:

„Wielki Boże! To rzecz szczególna i zajęcie wielce osobliwe. Dziwne zaiste, że nie zgodzili chłopca, którego by zamiast mnie chesali i odziewali. Ach, gdyby to uczynili, chętnie odbierałbym plagi we własnej osobie i uważał zamianę za nader korzystną!”

Po chwili rzekł głośno:

– Powiedz, biedaku, czy odebrałeś już tę przyobiecana chłostę?

– Nie, proszę łaski miłościwego pana. Termin jej wyznaczono na dzisiaj, ale może wypadłoby darować mi karę jako rzecz niestosowną w okresie żałoby, która tak nagle spadła na nas wszystkich. Nie wiem, czy tak być powinno, odważyłem się więc przyjść tutaj, aby przypomnieć Waszej Królewskiej Mości, iż miłościwy pan przyobiecać raczył, że wstawi się za mną...

– Do nauczyciela? Żeby ci darował plagi?

– Tak! Miłościwy pan pamięta!

– Jak widzisz, odzyskuję pamięć. Uspokój się, chłopcze. Nikt nie tknie twego grzbietu; to już moja sprawa.

– O, dzięki! Dzięki wam, dobry panie! – zawołał chłopiec i znów przykleknął na jedno kolano. – I tak pozwoliłem sobie na wiele, mimo to jednakowoż... jednakowoż...

Tom spostrzegł, że mały Humphrey waha się i jąka, dodał mu więc odwagi i zachęcił do dalszej przemowy powiedziawszy, iż „jest dzisiaj nad wyraz łaskawy”.

– A zatem rzekę wszystko, co leży mi na sercu. Ponieważ miłościwy pan nie jest już księciem Walii, lecz królem, miłościwy pan może rozkazać wszystko, a nikt nie ośmieli się powiedzieć: nie! Nie ma tedy przyczyny, dla której miłościwy pan miałby się dręczyć nudnymi studiami, nie zaś spalić książki i zająć się sprawami mniej nużącymi. W takim przypadku będę zrujnowany, a wraz ze mną moje siostry, sieroty.

– Zrujnowany? Przepraszam! A jakim to cudem?

– Grzbietem na chleb zarabiam, proszę łaski Waszej Królewskiej Mości! Umrę z głodu, jeżeli grzbiet mój będzie próżnować. Jeżeli miłościwy pan zaniecha nauk, przepadnie mój urząd, bo Chłopiec do Bicia będzie wówczas zbędny. O, nie wypędzajcie mnie, dobry panie!

Tom wzruszył się tym patetycznym wybuchem rozpaczy, rzekł tedy z ładu monarszą szczodropliwością:

– Nie frasuj się, chłopcze. Urząd twój będzie wiecznie należał do ciebie i twych potomków.

Powiedziawszy to dotknął ramienia chłopca płazem swego, mieczyka i zawołał:

– Wstań, Humphreyu Marlow, Dziedziczny Chłopcze do Bicia przy królewskim domu Anglii. Przepędź troski! Niebawem wrócę znów do książki, a że uczyć się będę lichy, niezmiernie się pomnożą zadania twego urzędu i, prawdę rzekłszy, trzeba będzie w trójnasób zwiększyć ci zasługi.

Wdzięczny Humphrey odpowiedział z zapalem:

– O, dzięki, dobry, szlachetny panie! Monarsza wasza hojność prześcignęła najśmielsze moje sny i marzenia. Ach! będę już szczęśliwy po wszystkie dni, później zaś szczęśliw będzie cały ród Marlowów!

Tom był dość sprytny, aby zorientować się, że ma przed sobą chłopca, który bardzo może mu się przydać. Zachęcał więc Humphreya do rozmowy, ten zaś bynajmniej nie był jej niechętny i radował się szczerze wiarą w to, że przyczynia się do kuracji Toma. Za każdym bowiem razem, gdy Chłopiec do Bicia kończył przypominać miłościwemu panu szczegóły jakichś wydarzeń w królewskiej komnacie do nauki albo w innych okolicach pałacu – z radością postrzegał, że Tom łatwo i jasno „odświeża sobie w pamięci” wszystkie te przypadki. Nim minęła godzina, Tom był dobrze naszpikowany cennymi wiadomościami o rozmaitych osobistościach i rzeczach związków mających z królewskim dworem. Postanowił zatem co dnia czerpać z owej krynicy wiedzy i wydał rozkaz, aby Humphreya wpuszczano do królewskiej komnaty, ilekroć się zgłosi, jeżeli oczywiście władca Anglii nie będzie w owym czasie udzielał posłuchania ważniejszym osobom.

Wnet po odprawieniu Humphreya przybył hrabia Hertford z nowym dla Toma zmartwieciem. Oznajmił mianowicie, że zasiadający w Radzie Egzekutorów lordowie obawiają się, że przesadne wieści o stanie nadwątlonego zdrowia króla mogą przeniknąć z pałacu i rozpowszechnić się w mieście. Wobec tego lordowie uważają za wskazane i najlepsze, aby miłościwy pan za dzień lub dwa zechciał spożywać obiady publicznie, gdyż jego czerstwy wygląd i śmiały krok wraz z troskliwie strzeżonym opanowaniem ruchów i swobodnym wdziękiem manier skutecznie położą kres pogłoskom (jeżeli istotnie niepomyślne wieści zdołały się już rozprzestrzenić) niż jakiegokolwiek inne posunięcia, które można by obmyślić.

Następnie „wuj” zaczął z wielką delikatnością pouczać Toma, jak należy się zachować przy okazji publicznych wystąpień, a czynił to pod bardzo przejrystą maską „przypominań” rzeczy od dawna znanych. Ku wielkiej jednak swej radości przekonał się, że Tomowi niewiele trzeba pomocy w tym względzie. Chłopiec skorzystał znacznie z niedawnych nauk Humphreya, który napomknął, że za kilka dni miłościwy pan zacznie spożywać obiady publicznie, czego dowiedział się od mknącej na chryżych skrzydłach plotki dworskiej. Ale Tom zachował tę wiadomość na własny użytek.

Widząc, że król zaczyna odzyskiwać pamięć, lord Hertford odważnie podjął kilka prób i niby to mimochodem badał, jak daleko sięga poprawa. W tych i owych punktach (tam gdzie zachowały się ślady rozmów z Humphreym) wyniki były doskonałe, ogólnie zaś biorąc dostojny lord uradował się i nabrał nadziei na przyszłość. Aby rzec prawdę, tak pięknie żywił nadzieje, że odważył się przemówić wielce ufny tonem:

– Jestem głęboko przekonany, że jeżeli miłościwy pan raczy teraz wyteńczyć jeszcze trochę pamięć, rozwikłamy zagadkę wielkiej pieczęci – straty, która zaledwie wczoraj miała niepo-

ślednią wagę, dzisiaj zaś jest bez znaczenia, jako że wraz z żywotem nieboszczyka króla dobiegła również kresu kadencja pieczęci. Czy Wasza Królewska Mość zechce podjąć próbę?

Tom poczuł się niby rozbitek na szerokim morzu. Jakaś wielka pieczęć była rzeczą absolutnie mu nie znaną. Biedak wahał się przez chwilę, potem zaś podniósł wzrok i spytał naiwnie:

– A jak wyglądała ta wielka pieczęć, szlachetny panie?

Hrabia drgnął niemal niepostrzeżenie i pomyślał:

„Niestety! Myśli jego błędzą znowu po bezdrożach. Nierozsądnie postąpił zmuszając go do umysłowego wysiłku...”

Potem zręcznie skierował rozmowę ku innym sprawom, zamierzał bowiem zatrzeć w pamięci Toma obraz nieszczęsnej pieczęci, co zresztą było celem nader łatwym do spełnienia.

ROZDZIAŁ XV

TOM W ROLI KRÓLA

Dnia następnego przybyli zagraniczni ambasadorowie z przepysznyymi orszakami, a Tom przyjmował ich zasiadłszy na tronie w przerażająco uroczystym stroju. Splendor tej sceny radował zrazu oko i wyobraźnię chłopca, lecz audyencja była długa i nudna, podobnie zresztą jak większość mów, a więc to, co rozpoczęło się jako przyjemna rozrywka, przeradzało się stopniowo w nudę i tęsknotę do dawnego życia. „Król” rzucał od czasu do czasu słowa, szeptane mu do ucha przez Hertforda, i jak umiał, starał się wywiązać z zadania, był jednak nowicjuszem w tych sprawach i czuł się za mało swobodnie, aby osiągnąć coś więcej niż powodzenie zaledwie znośne. Minę miał wystarczająco królewską, ale trudno mu było poczuć się królem. Uradował się więc z serca, gdy ceremonia dobiegła końca.

Znaczną część tego dnia „zmarował” – tak określał to w myślach – na prace związane ze swą monarszą godnością. Nawet dwie godziny poświęcone godnym władcy zabawom i ćwiczeniom okazały się raczej uciążliwe, bo pełne były ograniczeń i etykietalnych ceremonii. Za czysty zysk „miłościwy pan” uważał tylko godzinę Spędzoną sam na sam z Chłopcem do Bicia, który dostarczał nie tylko rozrywki, lecz również cennych wiadomości.

Trzeci dzień królowania Toma Cauty minął podobnie jak dni poprzednie. Chmury rozprasały się z wolna. Chłopiec czuł się nie tak skępowany jak na początku. Powoli przywykał do nowych warunków i nowego otoczenia. Łańcuchy uwierały go jeszcze, lecz nie zawsze i wszędzie. Z każdą godziną czuł, że coraz mniej go onieśmiewają i wprawiają w zakłopotanie obecność i hołdy możnych.

Gdyby nie jedna groźba – obiad spożywany publicznie – Tom bez obawy witałby nadejście dnia czwartego. Obiad miał rozpocząć ów dzień. W programie były także znacznie donioślejsze sprawy, tego bowiem dnia „król” musiał przewodniczyć posiedzeniu Rady, która wysłucha jego poglądów i rozkazów dotyczących polityki, jaką należy podjąć wobec rozlicznych cudzoziemskich nacji rozrzuconych blisko i daleko na całej ogromnej powierzchni globu. Tego również dnia lord Hertford będzie formalnie powołany na ważny urząd Lorda Protektora. Na dzień czwarty wyznaczono ponadto wiele innych spraw znacznej wagi, lecz wszystko to niewiele znaczyło wobec groźby obiadu. „Król” sam siedzie do stołu, a wiele oczu będzie weń wlepionych i wiele ust szeptem będzie komentować jego zachowanie lub błędy – gdyby miał nieszczęście jakowys błąd popełnić.

Nic jednak nie mogło powstrzymać tego czwartego dnia, a więc dzień czwarty nadszedł.

Tom zbudził się zgnębiony, roztargniony; nastrój ten trwał i chłopiec za nic nie mógł się zeń otrząsnąć. Zwykle poranne obowiązki wlokły się bez końca, srodze nużyły chłopca i silniej niż dotychczas przejmowały go bolesną świadomością niewoli.

Późnym przedpołudniem „król” znalazł się w wielkiej sali audiencyjnej, gdzie rozmawiając z lordem Hertfordem czekał przykładowie uderzenia godziny wyznaczonej na uroczyste przyjęcie wielu dygnitarzy i znamienitych dworzan.

„Miłościwy pan” zawędrował jakoś do okna i począł przyglądać się ciekawie ruchowi na szerokim gościńcu za pałacowymi bramami. Nie była to zresztą czcza ciekawość, gdyż biedak z całego serca pragnął znaleźć się w zgiełku drogi publicznej i zażyć swobody. Niebawem spostrzegł zbliżającą się od strony miasta straż przednią gwarnego, wrzaskliwego tłumu wzburzonych mężczyzn, kobiet i dzieci z najpodlejszego i najuboższego gminu.

– Ha, chciałbym wiedzieć, co się tam wyprawia! – powiedział z całym zainteresowaniem, jakim chłopcy darzą zazwyczaj takie wydarzenia.

– Jesteście królem – odparł uroczyście Hertford i skłonił się kornie. – Czy miłościwy pan przyzwoli mi działać?

– Ach tak, tak! Z całą przyjemnością! – żywo zawołał chłopiec, w myślach zaś dodał z głębokim zadowoleniem: „Królowanie to nie sama tylko nuda; ma ona również dobre i przyjemne strony”.

Hrabia przywołał pazia i wysłał go wnet z rozkazem do kapitana straży:

– Zatrzymać tłum i zbadać, dokąd ciągnie i z jakiego powodu. Taka jest wola króla.

W niewiele sekund później długi rząd zakutych w lśniącą stal gwardzistów wysunął się z bramy i przed czołem cizby stanął łańcuchem od skraju do skraju gościńca. Wkrótce przybył goniec z meldunkiem, iż motłoch podąża za mężczyzną, kobietą i małą dziewczeczką, którzy mają być straceni za zbrodnie przeciw pokojowi i dostojeństwu królestwa.

Śmierć, i to śmierć gwałtowna czeka tedy nieszczęsnych. Myśl ta bólem ścisnęła serce Toma. Współczucie owładnęło nim bez reszty i na bok odsunęło wszelkie inne względy. Nie brał pod uwagę podeptanego prawa ani cierpienia czy strat, na które zbrodnicza trójka naraziła zapewne swe ofiary. Widział jedynie szafot i straszny, bezlitosny los nad głowami skazańców. Z wielkiego żalu zapomniał na chwilę, iż nie jest królem, lecz ledwie złudnym jego cieniem, nim więc pojąć zdążył, co czyni, rzucił rozkaz:

– Przywiedźcie ich tutaj!

W tej chwili oblał się pąsem i na końcu języka miał już takie lub inne usprawiedliwienie, lecz spostrzegł, iż rozkaz nie dziwi bynajmniej „wuja” ani posługującego pazia, stłumił więc słowa, którymi chciał się tłumaczyć. Paż z całą powagą złożył głęboki ukłon i tyłem wycofał się z komnaty, aby ponieść, gdzie należy, wolę króla. Tom odczuł dreszcz pychy i raz jeszcze uświadomił sobie wielkie korzyści monarszego stanu. Rzekł do samego siebie:

– Zaiste, tak to było, kiedym czytywał powieści z ksiąg starego księdza i wyobrażałem sobie, iżem jest królewiczem, który stanowi prawa i wszystkim rozkazuje, mówiąc: „Zrób to, zrób tamto”, a nikt nie poważy się przeciwieć jego woli.

Drzwi otwały się szeroko, jeden po drugim zaczęły padać szumne tytuły, a noszące je osobistości podążały za nimi i wnet komnatę do połowy wypełnił szlachetnie urodzony tłum i piękne szaty. Ale Tom nie dostrzegł prawie przybycia tych ludzi, bo całkowicie go zaprzętała inna, o wiele ciekawsza sprawa. Niedbale siedział na okazałym karle i raz po raz niecierpliwie zerkał na drzwi, nie tając bynajmniej żywego zainteresowania. Dostojne zgromadzenie zauważyło to i nie chcąc niepokoić monarchy zaczęło traktować się nawzajem mieszkanką spraw publicznych i dworskich ploteczek.

Wkrótce rozległ się odgłos miarowych kroków żołnierskich i przed obliczem monarszym stanęli skazańcy pod opieką wiceszeryfa i eskortą oddziału gwardzistów królewskich. Wiceszeryf ukląkł przed miłościwym panem, potem wstał i usunął się na stronę. Skazańcy padli również na kolana, lecz pozostali na klęczkach; gwardziści zajęli posterunki za fotelem władcy. Chłopiec ciekawie przyglądał się więźniom. Mgliste wspomnienia poruszył w nim wygląd i strój mężczyzny.

„Wydaje mi się, iż widziałem już tego człeka... ale gdzie lub kiedy... nie pomnę...”

Takie były myśli Toma.

W tej chwili mężczyzna, szybko spojrzawszy w górę i równie szybko spuściwszy wzrok, nie mógł bowiem znieść groźnego blasku majestatu. Ale jeden rzut oka na tę twarz wystarczył!

– Teraz wszystko jasne – mruknął chłopiec do siebie. – To ten nieznajomy, co to wyłowił z Tamizy Gilesa Witta i ocalił mu życie w ów chłodny, wietrzny pierwszy dzień Nowego Roku... Śmiały, piękny czyn... Ha, szkoda, że ten człowiek dopuścił się czegoś podlejszego lub zamieszał w jakąś sromotną sprawę... Nie zapomniałem owego dnia ani czasu, a to z tej racji, że w godzinę później (wraz z uderzeniem jedenastej) dostałem od babci Canty takie rzetelne i sumienne lanie, że w porównaniu z nim wszystko, co oberwałem dawniej albo później, można uważać za pieszczoty.

Tom rozkazał teraz, aby kobietę i dziewczynkę usunąć na czas pewien z komnaty, potem zwrócił się do wiceszeryfa z pytaniem:

– Jakie przestępstwo, proszę waszmości, popełnił ten mężczyzna?

Urzędnik ukląkł i odpowiedział:

– Miłościwy panie, trucizną pozbawił życia waszego poddanego.

Współczucie Toma dla więźnia oraz uznanie dla śmiałego wybawcy tonącego chłopca zostały zachwiane.

– Czy dowiedziono mu tego? – zapytał.

– Jasno, jak na dłoni, miłościwy panie.

– Bierzcie go, bo rzetelnie zarobił na śmierć. Szkoda. Waleczne miał serce... hm... hm... to jest, chciałem rzec, iż wygląda na to...

Z nagłą energią więzień złożył ręce i załamał je rozpaczliwie, a jednocześnie zwrócił się do „króla” w takie oto błagalne, trwożne, urywane słowa:

– O królu mój i panie! Jeżeli możesz zmiłować się nad człowiekiem zgubionym, zmiłuj się nade mną! Jestem niewinny, a to, o co mnie obwiniają, zostało dowiedzione błędnie... Nie mówię wszakże o tym... Wyrok zapadł przeciw mnie i zmieniony już być nie może... Ale w niedoli mej błagam o łaskę, bo los mój to więcej niż znieść zdołam... Łaski, łaski, miłościwy panie! Ulituj się, królu, i rozkaż, błagam, aby mnie powieszono!

Tom zdumiał się. Nie takiego oczekiwał zakończenia.

– Dziwna to zaiste łaska! Czy nie taki los ci przeznaczony?

– Ach, nie, nie! Miłościwy panie! Zapadł wyrok, aby g o t o w a ć m n i e ż y w c e m !

Odpowiedź ta wywarła tak piorunujące wrażenie, że chłopiec omal nie porwał się z karła. Niebawem jednak przyszedł do siebie i wykrzyknął:

– Niechaj się stanie wedle twojej woli, nieszczęsny! Gdybyś nawet wytruł setki ludzi, nie powinienes ginąć tak okropną śmiercią!

Więzień skłonił czoło aż do podłogi i wybuchnął stokrotnym dziękczynieniem, wreszcie powiedział z uczuciem:

– Gdyby, uchwaj Boże, miało was kiedyś spotkać nieszczęście, miłościwy panie, niechaj dobroć wasza dla mnie będzie owego dnia waszą obroną i nagrodą!

Tom zwrócił się do hrabiego Hertforda i powiedział:

– Czy to być może, szlachetny panie, aby na tak okrutną śmierć skazano tego człowieka?

– Takie jest prawo, miłościwy panie... dla trucicieli. W Niemczech fałszerzy monet gotuje się żywcem w oleju... nie rzuca ich z nagłą, lecz na powrozie z wolna opuszcza w olej: naj-przód stopy, potem golenie, potem...

– Och, zamilczcie, proszę, szlachetny panie, słuchać tego nie mogę! – zawołał chłopiec i przesłonił dłonią oczy, jak gdyby ujrzał ów potworny obraz. – Błagam was, szlachetny panie, by niezwłocznie wydać rozkazy i znieść ten przepis prawa... Ach! Niech biednych ludzi nie dręczą więcej tą torturą!

Twarz Hertforda pojaśniała wielkim zadowoleniem, był on bowiem człowiekiem o szlachetnym i miłosiernym sercu – rzecz niepospolita w jego stanie i w owym wieku okrucieństwa.

– Szlachetne słowa miłościwego pana przypieczętowały los owego prawa. Historia zapamięta to ku chwale domu królewskiego – rzekł lord Hertford.

Wiceszeryf zamierzał wyprowadzić więźnia, lecz Tom dał mu znak, iż ma czekać, i powiedział:

– Waszmość dokładniej wejrzy w tę sprawę. Więzień twierdzi, że zbrodni jego dowiedziono błędnie. Powiadaj, co ci o tym wiadomo.

– Podczas procesu okazało się, miłościwy panie, jako ten człowiek wszedł do jednego domu w wiosce Islington, gdzie leżał pewien chory... Trzech świadków rzekło, iż stało się to o godzinie dziesiątej z rana, dwóch zaś, iż kila minut po dziesiątej. Chory był w owym czasie

sam i spał. Wnet człowiek ten wyszedł z domu i ruszył swoją drogą. Chory zaś zmarł w godzinę później w kurczach i srogich wymiotach.

– Czy widział ktoś, jak ten człowiek podawał truciznę? Czy może ją znalazł?

– Na Boga, nie, miłościwy panie.

– Skąd tedy wiadomo, że to było otrucie?

– Proszę łaski miłościwego pana, medycy orzekli, iż nikt nie kona z podobnymi objawami prócz człeka otrutego.

W owym wieku ciemnoty był to dowód przekonywający, Tom więc uznał straszną jego moc i rzekł:

– Medycy znają swe rzemiosło; zapewne mają duszność. Sprawa zły bierze obrót dla tego nieszczęsnego człeka.

– Ale to nie wszystko, miłościwy panie. Jest rzecz inna i gorsza. Liczni świadkowie zeznali, iż pewna Wiedźma, która później wyniosła się gdzieś z wioski, przepowiedziała i niejednemu raz mówiła im na osobności, jako ten chory umrze od trucizny! Mówiła jeszcze więcej! Że truciznę zada nieznajomy z ciemnymi włosami i odziany w strój plebejski a znoszony; na pewno więzień ów odpowiada temu wizerunkowi. Miłościwy panie, raczcie wziąć pod rozwagę niepoślednią ważkość tego świadectwa tyczącego faktu pr e p o w i e d z i a n e g o !

W owym wieku przesądów był to argument nieodpartej mocy. Tom pojął, że sprawa załatwiona, jeżeli bowiem takie świadectwo jest coś warte, to winy owego człeka dowiedziono. Chcąc wszakże dać skazanemu ostatnią szansę rzekł:

– Jeżeli możesz powiedzieć coś na swą obronę, mów!

– Nic, co się liczyć może, miłościwy panie. Jestem niewinny, wszelako nie mogę się tym wykazać. Nie mam przyjaciół, lecz gdybym ich miał, zdołałbym dowieść, jako dnia owego nie byłem w Islington. Zdołałbym także dowieść, że o wymienionej godzinie znajdowałem się o milę od tej wioski, byłem bowiem przy Starych Schodach w Wapping. Ponadto zaś, miłościwy panie, zdołałbym dowieść jeszcze więcej: to mianowicie, że gdy, jak powiadają, odbierałem życie, naprawdę życie ratowałem. Tonący chłopiec...

– Zamilcz! Szeryfie, jakiego dnia dokonano zbrodni?

– O dziesiątej z rana albo kilka minut po dziesiątej pierwszego dnia Nowego Roku, Wasza Kró..

– Niechaj więzień odejdzie. Tak król rozkazał!

Ten niegodny monarchy wybuch wywołał znowu gorący rumieniec, lecz chłopiec pokrył swój nietakt najlepiej, jak potrafił, mówiąc:

– Gniew mój zbudziła myśl, iż człowiek ma zostać powieszony z przyczyny tak błałego, bzdurnego dowodu.

Stłumiony pomruk uznania zaszemrał nad dostojnym zgromadzeniem. Nie było to uznanie dla rzuconego przed chwilą rozkazu, gdyż niewielu chyba spośród obecnych chciałoby darzyć uznaniem lub pochwałą łaskę dla skazanego już więźnia. Nie! Przychylne szepty odnosiły się do bystrości i rozwagi, jaką Tom wykazał. Wiele pochlebnych uwag wypowiadały ciche głosy:

– To nie król szalony. Musi mieć przecie zdrowe zmysły.

– Jak rozumnie stawiał pytania... Jak podobne do jego dawnej natury było to nieoczekiwane kategoryczne rozstrzygnięcie sprawy.

– Dzięki Bogu, niemoc miłościwego pana przeminęła. To nie niezguła, lecz prawdziwy król! Narodził się podobnym do swego rodzica!

Atmosfera przesycona była aplauzem, Tom musiał więc złowić uchem część tych pochwał. Pod ich dobroczyнным wpływem poczuł się znacznie pewniej i ocenił jak należy doskonałe skutki swojego systemu.

Ale chłopięca ciekawość wzięła wnet górę nad miłymi myślami i uczuciami. „Król” chciał się dowiedzieć, jakich to niecnych czynów dopuściła się niewiasta i mała dziewczeczka, z królewskiego tedy rozkazu dwie wystraszone i szlochające istoty zostały postawione przed obliczem majestatu.

– Czegóż się one dopuściły? – zapytał Tom zwracając się do wiceszeryfa.

– Proszę łaski miłościwego pana, ciąży nad nimi zarzut srogiej zbrodni i zbrodni tej jasno dowiedziono. Zaczyn sędziowie orzekli zgodnie z prawem, jako winne mają być powieszono. Zaprzedały się diabłu. Taka oto jest ich zbrodnia.

Chłopiec wzdrygnął się. Nauczono go odrazą do osób winnych tak grzesznego uczynku. Mimo to jednak nie chciał odmawiać sobie rozrywki, jaką było zaspokojenie ciekawości, pytał więc dalej:

– Gdzie to się stało i kiedy?

– O północy, w grudniu, w ruinach kościoła, miłościwy panie.

Tom wzdrygnął się znowu.

– Kto był tam obecny?

– Tylko one, miłościwy panie, i... i... t e n t r z e c i .

– Czy przyznały się do winy?

– Nie, miłościwy panie, wszystkiemu zaprzeczą.

– A zatem rzeknij, jako rzecz wyszła na jaw?

– Rozmaici świadkowie widzieli, że się tam kręciły, co od razu wzbudziło podejrzenia, proszę łaski miłościwego pana. Później zaś straszne skutki potwierdziły owe aż nazbyt słuszne podejrzenia. W szczególności okazało się podczas procesu, że grzeszne istoty skorzystały z uzyskanej tym sposobem złej mocy, aby wywołać i sprowadzić burzę, która spustoszyła całą ich okolicę. Przeszło czterdziestu świadków dowiodło tej burzy, a można by ich zaiste powołać i tysiąc, bo każdy przecież musi pamiętać burzę, od której wszyscy ucierpieli.

– Ha, poważna sprawa...

Tom rozważał przez chwilę to niecne łotrństwo, później zaś zapytał:

– Czy ta kobieta ucierpiała też od burzy?

Kilka sędziwych głów spośród zgromadzenia kiwnięciem wyraziło uznanie dla głębokiej mądrości pytania. Szeryf nie dostrzegł jednak konsekwencji tego śledztwa i odpowiedział ze szczerą prostotą:

– W samej rzeczy, ucierpiała, miłościwy panie, i to, jak wszyscy prawią, najzupełniej słusznie. Rozpadła się jej chata, ona zaś została z dzieckiem bez dachu nad głową.

– Mniemam, iż moc wyrządzenia sobie samej tak niezmiernej krzywdy drogo była okupiona. Oszukano by tę niewiastę, gdyby zapłaciła bodaj ćwierć pensa, to jednak, iż oddała duszę własną i dziecięcia, jasno dowodzi, jako jest szalona. Jeżeli zaś jest szalona, nie wie, co czyni, a zatem nie grzeszy.

Sędziwe głowy kiwnęły znowu z uznaniem dla rozsądku „króla”, a ktoś mruknął:

– Jeżeli miłościwy pan sam jest szalony, jak to wieść głosi, szaleństwo jego mogłoby snadnie wzbogacić wiele zdrowych umysłów, gdyby za łaską boską oszaleć mogły w taki sposób.

– Ile lat ma to dziecko? – brzmiało następne pytanie.

– Dziewięć, Wasza Królewska Mość.

– Powiedzcie mi, szlachetny panie, czy zgodnie z prawami Anglii może ono zawierać umowy lub sprzedawać samo siebie? – zwrócił się Tom do wielce uczonego sędziego.

– Prawo nie zezwala dziecku na załatwianie spraw znacznej wagi ani na uczestnictwo w tych sprawach, mniema bowiem, miłościwy panie, iż słaby umysł nie zdolny jest sprostać dojrzałszemu ani zdradliwym planom, jakie mogą powziąć ludzie starsi. D i a b e ł może kupić dziecko, jeżeli taka jest jego wola, dziecko zaś wyrazi zgodę, lecz nie może uczynić tego Anglik, w takim bowiem przypadku kontrakt byłby nieważny i nie obowiązujący.

– Wygląda mi to na rzecz okrutną, niechrześcijańską i obmyśloną zgoła opacznie, iż prawo angielskie wzbrania Anglikowi przywileju, którym tak szczerze obdarowuje diabła! – zawołał chłopiec ze świętym oburzeniem.

Taki osobliwy pogląd na całokształt sprawy wywołał liczne uśmiechy, a wielu obecnych zachowało go w pamięci, aby powtarzać później jako dowód oryginalności króla oraz jego powrotu do zdrowych zmysłów.

Starsza z winowajczyń przestała szlochać i z niezmiernym zainteresowaniem oraz wzmagającą się nadzieją nasłuchiwała słów władcy, który zauważył to i zaraz odczuł litość dla biednej niewiasty pozbawionej przyjaciół, a znajdującej się w tak groźnej sytuacji.

– W jaki sposób udało się im sprowadzić burzę? – zapytał po chwili.

– Ściągały z nóg pończochy, miłościwy panie.

Zdumiało to chłopca, a zarazem do białości rozpałiło w nim ciekawość.

– Rzecz zdumiewająca! – zawołał żywo. – Czy zawsze wywołuje to tak okropne skutki?

– Zawsze, miłościwy panie, a przynajmniej wtedy, gdy kobieta pragnie tego oraz wyrzeknie odpowiednie słowa na głos albo też w myśli.

Tom zwrócił się żywo do niewiasty i rzekł popędliwym tonem:

– Daj dowód twojej mocy. Chcę zobaczyć burzę!

W przesądnym zgromadzeniu tu i ówdzie pobladły nagle lica, a wszyscy, choć nie okazali tego, uczyli silną pokusę, aby jak najszybciej znaleźć się z dala od niebezpiecznego miejsca. Ale „król” nie dostrzegł tego, bo głuchy był i ślepy na wszystko, prócz oczekiwanej klęski żywiołowej, zauważywszy zaś na twarzy niewiasty wyraz zdziwienia i pomieszania, dodał wnet wielce wzburzony:

– Nie bój się... nie poniesiesz za to kary... Ba! Odejdiesz wolno i nikt cię nie tknie. Dowiedz swej mocy!

– O królu mój i panie! Nie mam żadnej mocy! Fałszywie mnie oskarżono.

– Powstrzymuje cię lęk nikczemny. Okaż waleczne serce, a nie ucierpisz zgoła. Wywołaj burzę! Ach, choćby najmniejszą burzę! Nie chcę wielkiej niszczącej nawałnicy, lecz mówiąc szczerze, wolę coś mniej groźnego. Uczyni to! Ocalisz życie! Wolno odejdiesz z dziećciem i z łaską monarszą, która, jak to królestwo długie i szerokie, ochroni cię od ludzkiej złości i wszelakiej krzywdy.

Kobieta padła na podłogę i przysięgała ze łzami, iż nie posiada mocy czynienia cudów. Z wdzięcznością ocaliłaby życie dziecka, radośnie zaś oddała własne, gdyby posłuszeństwo rozkazowi króla zapewnić mogło tak niezmierną łaskę.

Chłopiec nalegał. Kobieta powtarzała wciąż to samo. Wreszcie Tom przemówił:

– Myślę, że ta niewiasta mówi prawdę. Gdyby m o j a matka znalazła się na jej miejscu i posiadała moc diabelską, na pewno bez wahania sprowadziłaby burzę i kraj cały zmieniła w ruinę, aby okupić za tę cenę moje tak bardzo zagrożone życie. Sądzić wypada, że inne matki uczynione są na podobną modłę. Wolnaś, dobra niewiasto, ty i twoje dziecię, albowiem wierzę, że jesteś niewinna. A teraz, gdy zyskałaś przebaczenie, możesz wszak nie obawiać się niczego. Ściągnij pończochy! Jeżeli zaś uczynisz burzę, będziesz bogata!

Ocalona biedaczka wielkim głosem wyrażała wdzięczność i bez wahania wykonała rozkaz. „Król” przyglądał się pełen wielkich nadziei, lecz mimo wszystko trochę wystraszony. Dworzanie nie ukrywali niepokoju ni trwogi. Kobieta obnażyła własne nogi i nogi swej córeczki. Niewątpliwie czyniła wszystko, co w jej mocy, aby szlachetny czyn królewski nagrodzić trzęsieniem ziemi, lecz wszystkie te starania nie wiodły do niczego. Tom westchnął ciężko i powiedział:

– Ha, dobra niewiasto, nie trudź się, albowiem widać jasno, iż moc twa odeszła. Idź tedy w pokoju swoją drogą, a gdyby kiedy wróciła twa władza, nie zapomnij o mnie i sprowadź mi burzę.

ROZDZIAŁ XVI

OBIAD DWORSKI

Pora obiadu zbliżała się nieuchronnie, lecz – rzecz szczególna – myśl o tym niepokoiła Toma tylko nieznacznie i bynajmniej nie budziła grozy. Doświadczenia poranne natchnęły go cudowną pewnością siebie, mały, biedny kot-włóczęga bardziej przywykł po czterech dniach do osobliwej sytuacji, niż człowiek dojrzały mógłby tego dokonać w ciągu całego miesiąca. Trudno o bardziej zdumiewający przykład łatwości, z jaką dziecko przystosowuje się do warunków.

Jako ludzie uprzywilejowani, pospieszmy do wielkiej sali bankietowej i korzystając z czasu, w którym Toma sposobią do uroczystego wystąpienia, spojrzymy, co się tam dzieje.

Jest to przestronna komnata ze złożonymi kolumnami i pilastrami oraz malowidłami na suficie i ścianach. Przy drzwiach nieruchomo niczym posągi stoją gwardziści odziani malowniczo i zbrojni w halabardy. Wysoką galerię biegnącą wokół całej sali zajmuje kapela oraz mnóstwo przystrojonych odświętnie obywateli płci obojga. Pośrodku komnaty, na wzniesieniu, stoi stół Toma. Oddajemy jednak głos dawnemu kronikarzowi:

„Do komnaty wkroczył szlachcic z laską marszałkowską, za nim drugi, który dzierżył obrus. Obydwaj przyklęknęli trzykrotnie z niezmierną rewerencją, po czym obrus został rozestłany i panowie owi wyszli, uprzednio znowu przyklękawszy. Potem wkroczyło dwu innych. Jeden niósł także laskę, drugi solnicę, talerz i chleb. Naprzód przyklęknęli jako dwaj poprzedni, a rozstawiwszy na stole wszystko, co było do rozstawienia, oddalili się z tą samą ceremonią. Wreszcie weszło dwu bogato strojnych możnych panów, z których jeden miał nóż do krajania mięsa. Obydwaj skłonili się z niezwykłym wdziękiem, po czym zbliżywszy się do stołu, potarli go chlebem i solą, a tak byli przejęci, jak gdyby król asystował temu we własnej osobie”.

Tak zakończyły się uroczyste przygotowania. Potem gdzieś z dala, w echami grzmiących korytarzach rozbrzmiał dźwięk trąby i niewyraźne okrzyki: – Miejsce dla króla! Przejście dla miłościwego pana!... – Odgłosy te powtarzały się raz po raz i coraz bliżej, aż wreszcie tuż, tuż zabrzmiały grzmiące surmy i donośny głos: – Przejście dla króla! – W tej chwili ukazał się wspaniały orszak, który niby barwny łańcuch zaczął wysuwać się z podwoi. Ale oddajmy znowu głos kronikarzowi:

„Naprzód szli panowie szlachta, baroni, hrabiowie, rycerze Orderu Podwiązki, a wszyscy odziani byli pięknie i głowy mieli odkryte. Następnie kroczył kanclerz między dwojgiem mężów, z których jeden niósł królewskie berło, drugi miecz koronacyjny w szkarłatnej pochwie usianej złocistymi liliami herbowymi, a zwrócony ostrzem ku górze. Wreszcie szedł król we własnej osobie, a widok jego powitały grzmiące kotły i fanfara dwunastu tręb, zasię lud na galeriach powstał z miejsc i zakrzyknął: – Boże, chroń króla! – Za monarchą postępowało wielu przydzielonych do jego osoby dworzan szlchetnego rodu, a z prawa i z lewa pięćdziesięciu panów straży przybocznej ze złocistymi toporkami w rękach”.

Wszystko to było piękne i przyjemne. Puls Toma bił żywo, oczy gorzały radosnym blaskiem. Chłopiec poruszał się z należytych wdziękiem i swobodą, a było to dlań tym łatwiejsze, że nie zastanawiał się, co i jak robi, gdyż myśli miał oczarowane i pochłonięte osobliwymi widokami i dźwiękami. Nikt zresztą nie może być zupełnie pozbawiony uroku, gdy ubrany jest w strojne, dobrze dopasowane szaty, do których przywykł nieco, zwłaszcza jeżeli

o szatach tych w danym momencie nie myśli. Chłopiec dobrze zapamiętał otrzymane wskazówki, toteż na powitanie odpowiedział lekkim skinieniem strojnej w pióra głowy i uprzejmym zdaniem:

– Dziękuję ci, wierny mój ludu.

Zasiadł u stołu nie zdejmując beretu, czym nie stropił się wcale, albowiem jedzenie z głową nakrytą jest jedynym królewskim przywilejem stanowiącym jak gdyby pomost łączący monarchów z różnymi Canty. Żadna ze stron nie ma w danym razie przewagi nad drugą, obie bowiem od dawna oswojone są z tym obyczajem. Orszak rozproszył się i utworzył kilka malowniczych grup, które stały z odkrytymi głowami.

Przy skocznych dźwiękach kapeli łucznicy gwardii przybocznej, „najroślejsi i najmocniejsi mężowie w Anglii, dobierani ze względu na postawę...” ...pozwólmy jednak opowiedzieć o tym kronikarzowi:

„Łucznicy gwardii przybocznej wkroczyli z głowami odkrytymi, odziani zaś byli w szkarłat zdobny na plecach złotymi różami. Kilkakroć wychodzili oni i wchodzili, a za każdym razem wnosili jedno danie ułożone na talerzu. Dworzanin szlachetnego rodu przyjmował one dania w takiej kolejności, w jakiej były przynoszone, i ustawiał na obrusie, a Stolnik (z obawy jakowejś trucizny) dawał każdemu łucznikowi popróbować kęs z tego właśnie talerza, który ów podawał”.

Obiad udał się na ogół, chociaż Tom zdawał sobie sprawę, iż setki oczu śledzą każdy kęs w drodze do jego ust i z zainteresowaniem obserwują, jak „król” przeżuwa. Zainteresowanie to nie mogłoby chyba wzrosnąć, gdyby jadło było groźnym materiałem wybuchowym i lada chwila miało rozsadzić biesiadnika, a szczątki jego rozrzucić po sali. Tom baczył, by się nie spieszyć, a zwłaszcza nie robić nic własnoręcznie, lecz czekać, aż właściwy dworzanin uklęknie i za monarchę wykona ową czynność. Chłopiec przebrnął przez wszystko bezbłędnie, co było triumfem całkowitym i wspaniałym.

Obiad dobiegł wreszcie końca, a Tom wraz ze swym barwnym poczem opuścił salę przy wesołych fanfarach trąb, grzmocie hołdów i huraganie wiwatów. Pomyślał wówczas, że jeśli poznał już najgorsze strony publicznego spożywania obiadu, to chętnie poddawałby się tej próbie nawet po kilka razy dziennie, byle tylko za tę cenę wykupić się od pełnienia innych, znacznie dokuczliwszych obowiązków monarchy.

ROZDZIAŁ XVII

„KRÓL FU-FU PIERWSZY”

Miles Hendon ruszył spiesznie ku przyczółkowi mostowemu po stronie Southwark i bacznie rozglądał się dokoła, miał bowiem nadzieję, iż postrzeże niebawem osoby, których szuka. Spotkało go jednak rozczarowanie. Rozpytując ludzi odkrył pewne ślady w Southwark, lecz dalej trop się urywał i dzielny wojak nie wiedział, co począć. Mimo to nie szczędził starań do końca dnia, a noc zastała go zdrożonym, na poły wycieńczonym z głodu i równie dalekim od ziszczenia swych pragnień jak na początku wędrówki. Miles zjadł kolację w gospodzie „Pod Rycerskim Płaszczem” i poszedł do łóżka umyśliwszy, iż wyruszy wcześniej z rana i troskliwie przeszuka całe miasto. Leżąc bezsennie, dumął, układał plany i dochodził powoli do następujących wniosków:

Chłopiec, jeżeli tylko zdoła, ujdzie z rąk tego hultaja, swego szanownego rodzica. Czy w takim przypadku wróci do Londynu i odnajdzie dawne swe kryjówki? Nie! Nie postąpi tak, gdyż obawiać się będzie wtórnego pojmania. Cóż tedy uczyni? Nigdy nie miał na świecie przyjaciela ani opiekuna, dopokąd nie zetknął się z Milesem Hendonem, oczywiście więc będzie się starał odnaleźć tego przyjaciela, jeżeli poszukiwania nie zmuszą go do wędrówek po niebezpiecznym dlań Londynie. A zatem uda się do Hendon Hall. Ach, uda się tam niezawodnie, bo wie przecie, że Miles zmierza do domu, będzie więc przewidywał, iż go tam zastanie. Tak, sprawa jest jasna! Nie wolno marnotrawić czasu w Southwark, lecz niezwłocznie przez ziemie księstwa Kent spieszyć trzeba do Monks Holm, po drodze zaś przeszukiwać lasy i rozpytywać ludzi.

Powróćmy jednak do zaginionego małego króla.

Ów mężczyzna o wisielczym wyglądzie, który (jak mówił pachołek z gospody) „znalazł się skądś” w bliskości króla i nieznanego wyrostka, nie przyłączył się do nich, lecz krok w krok sunął ich śladem. Nie odzywał się. Lewą rękę miał na temblaku, lewe zaś oko zakryte szeroką zieloną klapką. Utykał trochę i podpierał się dębowym kosturem. Wyrostek wiódł króla krętym szlakiem przez Southwark i wreszcie wyprowadził na szeroki trakt za miastem. Edward zaczął się irytować. Oznajmił, że zatrzyma się w tym miejscu, bo to Hendon winien przyjść do niego, nie on do Hendona. Tak, krokiem nie ruszy się z miejsca. Nie będzie tolerował dłużej takiego lekceważenia. Wyrostek odrzekł na to:

– Będziesz tu marudził, a twój przyjaciel leży ranny w tym tam lesie. Ale rób, jak ci się podoba.

Król zmienił od razu ton i zawołał:

– Ranny? A któż ośmielił się to sprawić? Lecz mniejsza o to! Prowadź, prowadź prędzej, młokosie! Czy podkuto cię ołowiem? Ach, choćby sprawca był książęcym synem, pożałuje okrutnie zbrodni swojej!

Do lasu było dość daleko, lecz odległość tę pokonano szybko. Wyrostek rozejrzał się wokół, dostrzegł zatknietą w ziemię gałąź z przywiązany doń skrawkiem szmaty i poprowadził w gąszcz bacząc na podobne znaki, które odnajdował w pewnych odstępach. Były to niewątpliwie drogowskazy do jakiegoś miejsca stanowiącego cel przewodnika. Niebawem wyszli na polanę, gdzie stały zwęglone ruiny chaty oraz stara stodoła chyląca się do upadku. Wokół nie było śladu życia: panowała śmiertelna cisza. Wyrostek wszedł do stodoły; chłopiec niecierpliwie deptał mu po piętach. W stodole nie było nikogo! Król podejrzliwie spojrzął na przewodnika.

– Gdzież on? – zapytał.

Odpowiedzią był szyderczy śmiech. Król wpadł w szal wściekłości. Porwał polano i gotował się właśnie do ataku na wyrostka, gdy w uszach zabrzmiał mu drugi wybuch szyderczego śmiechu. Śmiał się teraz kulawy hultaj, który przez cały czas podążał w pewnej odległości. Król odwrócił się i rzucił gniewnie:

– Ktoś ty? Co masz tu do czynienia?

– Uspokój się i przestań bredzić – powiedział mężczyzna. – Przebrałem się, ale nie tak znów dobrze, żebyś mógł udawać, że nie poznajesz rodzzonego ojca.

– Nie jesteś moim ojcem. Nie znam cię. Jam król! Jeżeliś ukrył gdzie mojego sługę, oddaj go zaraz lub srodze odpokutujesz za to, cóżes uczynił.

John Canty odparł gniewnym, mocnym głosem:

– Jasno widać, żeś szalony. Nie mam ochoty cię karać, ale będę karał, jeżeli mnie do tego zmusisz. Ta gadanina nic nie szkodzi tutaj, gdzie nie ma ludzi i nikt nie słyszy twoich banialuk. Ale radzę ci przyuczyć język do rozsądnej mowy, aby nie broił, kiedy zmienimy kwatere. Popelniłem morderstwo. W domu nie mogę bałamucić. Nie możesz i ty, bo potrzebny mi jesteś. Z ważnych przyczyn zmieniłem nazwisko. Brzmi ono teraz Hobbs. John Hobbs. Ty masz na imię Jack; wbij to sobie w głowę. A teraz gadaj! Gdzie matka? Gdzie siostry? Nie było ich na umówionym miejscu. Wiesz chyba, dokąd poszły.

Król odparł pośepnie:

– Nie nudź mnie głupimi zagadkami. Moja matka nie żyje, siostry są w pałacu.

Stojący opodal wyrostek wybuchnął urągliwym śmiechem, a chłopiec rzuciłby się na niego, gdyby nie przeszkodził temu Canty czy „Hobbs”, jak sam się teraz nazywał.

– Milcz, Hugonie – powiedział. – Nie drażniłbyś go lepiej. Zmysły ma pomieszane i niepokoją go takie zaczepki. Siadaj tu, Jack; uspokój się. Zaraz dam ci coś do jedzenia.

Hobbs i Hugon zaczęli rozmawiać z cicha, król zaś odsunął się jak najdalej od ich niemiłego towarzystwa. Wycofał się w półmrok przeciwnego kąta stodoły, gdzie, jak się okazało, klepisko na stopę grubo pokryte było słomą. Tam król legł, nakrył się słomą miast kołdrami i popadł w zadumę. Wiele miał trosk, lecz pomniejsze z nich odsunęła w niepamięć ta najdotkliwsza – strata ojca. Imię Henryka VIII budziło w reszcie świata dreszcz grozy oraz wizję potwora, którego nozdrza ziały zniszczeniem, ręce zaś zadawały tylko dotkliwe ciosy i śmierć. Ale dla małego monarchy imię to łączyło się z miłymi jedynie wspomnieniami i obliczem opromienionym dobrotliwym uczuciem. Chłopiec wspominał i tęsknie rozpamiętywał długi szereg tkliwych scen pomiędzy rodzicem a sobą, obfite zasię łyzy dowodziły, jak szczerzy i głęboki ból ścisnął mu serce. Mijało tymczasem popołudnie. Znużony troskami chłopiec zapadł powoli w spokojny, krzepiący sen.

Po pewnym czasie (nie umiałby powiedzieć, jak długo to trwało) król wrócił z trudem do półświadomości i gdy leżał z przymkniętymi powiekami rozmyślając mgliście, gdzie jest i co się z nim dzieje, posłyszał jednostajny szmer, pośepny stukot deszczu po dachu. Na chwilę o władnęło nim miłe uczucie wygody, które minęło jednak, gdy w pobliżu zabrzmiał chór rubasnej wrzawy i grubiańskich śmiechów. Chłopiec rozbudził się nieprzyjemnie zdziwiony i odkrył głowę, by zobaczyć, skąd gwar się dobywa. Przed oczyma jego roztoczył się ponury, osobliwy widok. Na drugim końcu stodoły, pośrodku klepiska jasno płonął ogień, a wokół w czerwonych blaskach zasiadała lub leżała osobliwa kompania. O takich obdartych włóczągach płci obojga, o takich mętach ulicznych król nie czytał nigdy ani ich nie widział w najbardziej koszmarnych snach. Byli to rośli, krzepko zbudowani mężczyźni, na brąz spaleni od słońca i wiatrów, a odziani w niewiarygodne łachmany; dorastający chłopcy o łotrowskich twarzach, ubrani w podobny sposób; ślepi żebracy, których oczy zakrywały bandaż lub klapki, kaleki o kulach i szczudłach, jakiś wyglądający na złoczyńcę wędrowny kramarz ze swymi jukami, szlifierz, kotlarz i cyrulik ze swoimi narzędziami. Wśród osób płci niewieściej były ledwie dojrzałe dziewczęta, kobiety w kwiecie wieku i zwiędłe, pomarszczone wiedźmy, wszystkie jednak mówiły głośno, bezwstydnie i nieprzystojnie. Było tam również troje kro-

stowatyh niemowląt i dwaj przewodnicy ślepców – wychudłe kundle ze sznurkami obwiązanymi dokoła szyi.

Noc już zapadła. Banda skończyła właśnie ucztę. Rozpoczynała się orgia i blaszanka z mocnym trunkiem przechodziła z rąk do rąk. Wnet rozległy się okrzyki:

– Hej, piosenka! Piosenka! Niech śpiewa Nietoperz i Dick Kuternoga!

Jeden ze ślepców powstał i przysposobił się do występu odrzuciwszy klapki, pod którymi kryły się doskonałe oczy, oraz tabliczkę ze wzruszającym opisem przyczyn straszego kalectwa. Kuternoga pozbył się szczudła i na zupełnie pewnych nogach stanął obok kolegi-hultaja. Obydwaj ryknęli hulaszczą śpiewką, przy końcu zaś każdej strofki pomagał im grzmiący chór całej szajki. Nim śpiew się skończył, pijacki entuzjazm sięgnął takich wyzyn, że wszyscy zebrani ryczeli ostatnią strofkę od początku, a potężne ich głosy wstrząsały krokwiemi dachu.

Potem nastąpiła konwersacja, lecz prowadzono ją nie w złodziejskim żargonie piosenki, którym posługiwano się tylko wówczas, gdy słuchały nieprzychylne uszy. W czasie tej rozmowy wyszło na jaw, że „John Hobbs” nie jest zupełnie „nowy”, bo dawnymi laty praktykował już był w tej samej bandzie. Zaczęto go wypytywać o późniejsze koleje. John Hobbs powiedział, iż „przypadkiem” zabił człowieka. Przyjęto to z niemałym uznaniem, kiedy zaś hultaj dodał, że człowiek ten był duchownym, zyskał ogólny poklask i z każdym po kolei musiał się napić. Starzy znajomi witali go radośnie, nowi zaś z dumą wymieniali z nim uściski dłoni. Ktoś zapytał, czemu to dawny kompan „na tak długo zdezerterował”.

– Londyn jest lepszy niż wieś – odrzekł John Canty – i bezpieczniejszy ostatnimi laty, kiedy srogie prawa stosuje się coraz surowiej. Gdyby nie zdarzył mi się ten przypadek, na pewno bym się stamtąd nie ruszył. Postanowiłem zostać w Londynie i nigdy w życiu nie zapuścić się na wieś, ale cóż... ów przypadek pokrzyżował mi plany.

Potem nowo przybyły spytał, ile osób liczy teraz szajka, a Harap, herszt bandy, odrzekł:

– Dwudziestu pięciu tegich zuchów: pajęczarzy, potokarzy, doliniarzy, farmazonów, wliczając w to również ich baby i dziewczuchy. Większość jest tutaj; inni wędrują na wschód zimowym szlakiem. Wszyscy ruszamy ich śladem o świcie.

– Nie widzę Pryszczę w tej godnej kompanii. Gdzie się podziewa?

– Biedny chłopak! Żywi się teraz siarką i to zbyt gorącą jak na gust delikatny. Ubito go w bójce, mniej więcej w środku lata.

– Szkoda! Zuch był wielki z Pryszczę i chłop dorzeczny!

– Taki był właśnie. Jego dziewczucha, czarna Bess, trzyma wciąż z nami, ale jest teraz w drodze na wschód. Ładna sztuczka, przyjemna i prowadzi się jak należy. Nikt nie widział jej nigdy pijanej przez więcej niż cztery dni na siedem.

– Zawsze była porządna... tak... pamiętam ją dobrze... cnotliwa niewiasta, godna wszelkiej pochwały. Jej matka była swobodniejsza i mniej baczyła na pozory. Awanturnica, porywca starucha, ale za to rozum niezwykajny.

– Straciliśmy ją właśnie przez ten rozum. Talent do wróżenia z ręki i przepowiadania na wszystkie inne sposoby przyszłych losów zjednał jej w końcu miano i sławę czarownicy. Prawo upiekło ją żywcem na wolnym ogniu. Do głębi byłem wzruszony, kiedy patrzałem, jak walecznie przyjmuje los okrutny. Ha! Kleła i lżyła tłum, który ze wszech stron gapił się bezwstydnie, a tu płomienie lizwały ją całą, sięgały twarzy, ogarniały skąpe kłaki, trzeszczały nad jej starą, siwą głową. Ale kleła tę tłuszczę! Bracie, mógłbyś dożyć tysiąca lat i nigdy nie posłyszeć tak mistrzowskich przekleństw. Niestety! Sztuka ta zesła wraz z nią do grobu. Pozostały tylko nędzne, mdłe naśladownictwa, wszelako nie ma już prawdziwych bluźnierstw!

Harap westchnął, słuchacze westchnęli ze zrozumieniem. Chwilowe przygnębienie oparowało całą bandę, bo nawet takie najbardziej zatwardziałe wyrzutki społeczeństwa niezupełnie odarte są ze sentymentów i niekiedy potrafią odczuć żywo bolesną stratę lub niedolę. Zdarza się to w znacznych odstępach czasu i okolicznościach szczególnie sprzyjających, jak na

przykład tym razem., gdy talent i kultura schodzi ze świata nie zostawiając dziedzica. Ale mocny trunek obiegnął dokoła kompanię i wnet przywrócił pogodę żałobnikom.

– Czy ucierpieli także inni z naszych? – zapytał Hobbs.

– Niektórzy tak. Zwłaszcza. Nowicjusze, tacy na przykład niezamożni chłopci o chłodzie i głodzie wypędzeni w świat dlatego, że panowie zabrali im pola i zamienili na owcze pastwiska. Chłop taki żebrał, przywiązano go więc do rozwozy wozu i obnażonego do pasa smagano, aż krew płynęła ciurkiem; potem zakuwano go w dyby i chłostano znowu. Chłop żebrał dalej, dostawał więc nowe cięgi i obcinano mu ucho. Chłop żebrał w dalszym ciągu (ha! cóż miał robić, biedny potępieniec), piętnowano go więc na policzkach rozpalonym żelazem i sprzedawano w niewolę. Chłop uciekał; tropiono go, a pochwycawszy wieszano. Krótka to anegdota i szybko się ją opowiada. Inni z nas doświadczyli losu nie tak srogięgo. Chodźcie no, Yokel, Burns i Hodge!... Pokażcie, jak was ozdobiono!

Przywołani wstali, ściągnęli część swych łańców i odsłoniли grzbiety pokryte na krzyż sznurami starych blizn po batogach. Jeden odgarnął włosy i pokazał miejsce, na którym było niegdyś lewe ucho. Drugi również pokazał okaleczone ucho i klejmo na ramieniu – literę V. Trzeci powiedział:

– Nazywam się Yokel. Dawniej byłem dzierżawcą, i to dzierżawcą zasobnym. Miałem Kochającą żonę i dzieci. Teraz inna przypadła mi majątność i zawód odmienny. Żona i dziatki odeszły. Może są w niebie, może... może w tym innym miejscu... ale... ale, dzięki Bogu miłosiernemu, nie męczą się już w Anglii. Moja dobra, Bogu ducha winna stara matka próbowała zarabiać na chleb doglądaniem chorych. Jeden z nich umarł, a że medycy nie umieli powiedzieć czemu, matkę spalono jako czarownicę, a dziatki moje patrzyły na to i zawodziły. Angielskie prawo! Hej, w górę kubki! Hej, wszyscy razem z gromkim okrzykiem wypijmy na cześć litościwego prawa angielskiego, które matkę moją wyzwoliło z angielskiego piekła! Dziękuję wam, kamraci, wszystkim i każdemu z osobna. Żebrałem, chodząc od domu do domu, żona żebrała także. Wlekliśmy ze sobą głodne dziatki. Ale głód jest przecież zbrodnią w Anglii! Odarto więc nas z szat i kańczugami pędzono przez trzy miasta. Hej! Raz jeszcze wypijcie wszyscy na cześć miłościwego prawa angielskiego, bo jego batóg wypił wiele „krwi mojej Mary i błogie wyzwolenie rychło nastąpiło. Leży teraz w kącie księżej grodzi, bezpieczna, wolna od wszelkiej krzywdy. A dziatki... Cóż, kiedy prawo szczyło mnie od miasta do miasta, dziatki kolejno umierały z głodu! Pijcie, kamraci. Wychylcie choć kapkę za biedne dziatki, które nigdy nie uczyniły nikomu nic złego! Żebrałem dalej, żebrałem o skibkę chleba, poszedłem tedy w dyby i straciłem ucho. O, patrzcie, sterczy tu obrzynek! Żebrałem znowu i... spójrzcie na obrzynek drugiego ucha! Żeby dobrze wszystko zapamiętał! Ale żebrałem jeszcze. Sprzedano mnie w niewolę... Tutaj, na policzku pod warstwą brudu... Ha! Jeżeli zmyję ten brud, zobaczycie czerwone „S” wypalone gorącym żelazem! NIEWOLNIK! Czy pojmujecie sens tego słowa? Angielski NIEWOLNIK stoi oto przed wami. Uciekłem od pana, kiedyś zaś pojmą mnie... Przekleństwo Niebios niechaj padnie na prawa kraju, który je stanowią!... Hej, będę wisiał!

Dźwięczny głos zabrzmiał w mrocznej atmosferze:

– Nie będziesz wisiał! Bowiem dzisiaj nastąpi kres owemu prawu.

Wszyscy odwrócili się i ujrzeli dziwną postać małego króla, kiedy zaś chłopiec wstał w krąg światła i ukazał się wyraźnie, zasypano go wnet nawałnicą pytań:

– Kto on? Co to takiego? Ktoś ty, ptaszku?

Nie stropiony, stał w ogniu wielu zdziwionych, pytających spojrzeń i odpowiedział z istic monarszą godnością:

– Jam Edward, król Anglii.

Buchnął huragan śmiechu. Wywołała go po części wzgarda, po części zaś uciecha z tak przedniego żartu. Król oburzył się i rzekł surowym tonem:

– Nieobyczajni włóczędzy! Tak dziękujecie za przyobiecana wam monarszą łaskę!

Chłopiec mówił coś jeszcze gniewnym głosem, gestykulował żywo, lecz słowa jego tłumiła zawierucha śmiechu i szyderczych okrzyków. John Hobbs kilkakrotnie starał się przekrzywić rozgwar, kiedy zaś powiodło mu się to na koniec, wołał:

– Kamraci! To mój syn obłąkany, nieprzytomny, jednym słowem, zupełnie wariat. Nie zważajcie na niego. Wmówił sobie, że jest królem.

– Jestem królem – odparł zwracając się do swego „ojca” – o czym przekonasz się we właściwym czasie, i to na własnej skórze. Przyznałeś się do morderstwa; będziesz za to wisiał.

– Ty mnie wydasz! Ty? Niech no dostanę cię w łapy, a...

– Szaa!... Spokój! – powiedział krępy Harap, który wtrącił się w porę, by ocalić króla, a znaczeniu swej przysługi dodał powagi obalając Hobbsa uderzeniem pięści. – Nie czujesz respektu ani dla królów, ani nawet dla hersztów! Jeżeli jeszcze raz nie uszanujesz mojej obecności, sam cię powieszę.

Potem zwrócił się do małego monarchy:

– A ty, chłopcze, nie groź kamratom, nikomu nie mów o nich złego słowa, weź wody w gębę. Bądź królem, jeżeliś sobie wmówił taką brednię, ale nie krzywdź nikogo z tej racji i nie pleć o tym, bo to przecież zdrada. Zapewne ludzie z nas źli pod tym lub innym, mało ważnym względem, ale żaden nie upadł tak nisko, aby zdradzić własnego króla, bo serca mamy kochające i wierne. Prawdę opowiadam, chłopcze! A teraz wszyscy razem: Niech żyje Edward, król Anglii!

– Niech żyje Edward, król Anglii!

Kompania spod ciemnej gwiazdy odpowiedziała tak gromkim okrzykiem, że zatrzęsa się nędzna rudera. Twarz małego monarchy rozpromienił na chwilę uśmiech zadowolenia, następnie zaś chłopiec powiedział z pełną godności prostotą:

– Dziękuję ci, mój wierny ludu.

To nieoczekiwane zdanie wywołało szaloną wesołość, kiedy zaś nastąpiło wreszcie coś zbliżonego do ciszy, Harap przemówił stanowczym, choć dobrodusznym tonem:

– Pohamuj się, chłopcze, bo rzecz to ni rozsądna, ni godziwa. Wariuj, ile chcesz, jeżeli musisz, ale obierz sobie inny tytuł.

Jakiś kotlarz wystąpił wnet z wrzaskliwą propozycją

– „Fu-Fu Pierwszy”, król pomyleńców!

Tytuł od raz przypadł do gustu, a wszystkie gardziele ryknęły:

– Niech żyje „Fu-Fu Pierwszy”, król pomyleńców!

Wiwatom akompaniowało hukanie, kocia muzyka i wybuchy śmiechu.

– Hołd mu złożyć!

– Koronować!

– Odziać w płaszcz monarszy!

– Berło mu dać!

– Posadzić na tronie!

Takie okrzyki (i co najmniej dwadzieścia innych) wybuchły w jednej chwili i nim nie-szczęśna mała ofiara rozbawionej tłuszczy zdążyła dech złapać, ukoronowano ją cynową misą, odziano w postrzępioną derę, posadzono na baryłce, w rękę zaś wtłoczono kolbę kotlarza zamiast berła. Potem wszyscy padli przed chłopcem na kolana i ocierając oczy brudnymi szmatami i fartuchami, podnieśli chór ironicznych lamentów i szyderczych błagań:

– Zmiłuj się nad nami, o najlepszy z królów!

– Nie depcz lichego robactwa, miłościwy panie!

– Ulituj się nad swymi niewolnikami i pociesz ich monarszym kopniakiem!

– Uraduj nas i ogrzej promieniami gorejącego słońca majestatu!

– Pobłogosław ziemię dotknięciem stopy, abyśmy mogli zlizywać pył z twych śladów i rosnąć w godności własnej!

– Racz plunąć na twe sługi, miłościwy panie, aby dziatki naszych dziątek mówiły o monarszej łasce i na wieki wieków chadzały w dumie i szczęśliwości.

Ale krotochwilny kotlarz zatriumfował tego wieczora i najświetniejsze zyskał laury. Ukląkł przed monarchą i udawał, że całuje stopę, lecz został z obrzydzeniem kopnięty. Wówczas począł obchodzić wesołą kompanię i żebrać o kawałek szmaty, którą zamierzał okryć miejsce dotknięte czcigodną stopą, aby, jak powiadał, uchronić je od zetknięcia z pospolitym powietrzem. Kotlarz mówił ponadto, że zrobi fortunę, gdyż wyjdzie na gościniec i będzie okazywał to uświęcone miejsce za każdorazową opłatą stu szylingów. Był w ogóle tak zabójczo uczesany, że wzbudził zazdrość i podziw całej szajki.

Łzy upokorzenia i gniewu zabłysły w oczach małego króla, który pomyślał w głębi zranionego serca:

„Gdybym wyrządził im najgorszą krzywdę, nie mogliby potraktować mnie okrutniej. A zamierzałem przecież okazać łaskawość, oni zaś odplacili mi tak niegodziwie”.

ROZDZIAŁ XVIII

KRÓLEWICZ WŚRÓD WŁÓCZĘGÓW

Szajka wagabundów wstała o rannym brzasku i ruszyła w drogę. Nad głowami mieli pochmurne niebo, pod nogami śliską ziemię, wokół nasycający powietrze zimowy chłód. Ogólna wesołość zginęła bez śladu. Jedni byli posepni i małowówni, inni gniewliwi i zrzedni. Nikomu nie dopisywał humor, wszystkich zaś dręczyło pragnienie.

Harap powierzył „Jacka” pieczy Hugona, któremu udzielił jakichś zwiezłych wskazówek, a Johnowi Cauty przykazał trzymać się z dala od syna i zostawić go w spokoju. Zapowiedział również Hugonowi, aby nie był dla chłopca zbyt surowy.

Po niedługim czasie chłód złagodniał, mgła zrzędła nieco. Włóczędzy przestali drzeć z zimna i nabrali trochę ducha. Z każdą chwilą byli pogodniejsi, wreszcie zaś poczęli przekomarzać się między sobą albo urągać spotykanym na gościńcu przechodniom. Dowodziło to, iż raz jeszcze budzą się do życia, a wartość jego uciech oceniają należycie. Rzucano się jednak w oczy, iż ludzie tego pokroju budzą grozę, wszyscy bowiem ustępowali im z drogi i pokornie przyjmowali wszeteczne docinki, nie myśląc zgoła 10 właściwej odprawie. Wagabundy porywali bieliznę z płotów, nierzadko w oczach właścicieli, którzy nie próbowali protestować, jak gdyby zadowoleni, że chociaż płoty nie zostały zabrane.

Wkrótce banda urządziła najazd na jakąś małą zagrodę i gospodarzyła tam niby we własnym domu, a drżąca ze strachu wieśniacza rodzina do cna pustoszyła spiżarnie, aby przyjąć śniadaniem nieproszonych gości. Wagabundy głaskali pod brodę gospodynię i jej córki, gdy niewiasty te podawały im jadło, czynili na ich temat nieprzystojne żarty, śmieli się rubaszenie, rzucali nieprzystojne słowa. Gospodarza i jego synów obrzucali kośćmi lub resztkami jadła, od których gradu wieśniacy musieli się wciąż uchylać, celne zaś „strzały” witane były huraganem oklasków. Na zakończenie goście posmarowali masłem głowę jednej z córek, gdy ta obruszyła się na zbytne poufałości, kiedy zaś odchodzili, zapowiedzieli, że wrócą i spalą chatę wraz z mieszkańcami, jeżeli władze usłyszą choćby jedno słówko o najeździe.

Około południa, po długim i nużącym marszu, banda zatrzymała się na postój za żywo-plotem, na krańcach sporego miasteczka. Odpoczynek trwał godzinę, później wagabundy rozproszyli się po okolicy, aby z rozmaitych stron wkroczyć do tej miejscowości i zająć się tam przeróżnymi rzemiosłami. „Jacka” posłano z Hugonem. Przez czas pewien chłopcy myszkowali tu i ówdzie, a Hugon pilnie, lecz bez powodzenia szukał jakiejś korzystnej sposobności. Wreszcie powiedział:

– To podłe miejsce i nic nie widać w nim do ukradzenia. Będziemy żebrać.

– Będz i e m y , do kroćset! Pracuj w swym fachu, jeśli ci z tym wygodnie. J a nie będę żebrał.

– Nie będziesz! – zawołał Hugon i ze zdziwieniem spojrział na króla. – Z pozwoleniem, od kiedy to się nawróciłeś!

– Co ty wygadujesz?

– Co wygaduję? Alboś przez całe życie nie żebrał na ulicach Londynu?

– Ja? Ty błażnie!

– Oszczędzaj komplementów, to zapas na dłużej ci starczy. Twój ojciec powiada, że od małego trudnisz się żebranią. Ha, pewnie to kłamstwo. Co? Może jesteś dość bezczelny, aby powiedzieć, że on skłamał– drwił wyrostek.

– Ten człowiek, którego zwiesz moim ojcem? Tak! Skłamał.

– Słuchaj, nie posuwaj dobrej zabawy w fiksata zbyt daleko. Baw się dla przyjemności, dopóki ci to nie szkodzi. Jak powiem twemu ojcu, co wygadywałeś, dostaniesz tęgie wały.

– Możesz się nie trudzić. Sam mu wszystkie powiem.

– Dalibóg, podziwiam twoją hardość, lecz wcale nie zachwycam się rozsądkiem. W tym życiu aż za dużo jest batów i kijów; nie trzeba starać się o nie z własnej woli. Ale dajmy spokój tym sprawom. Ja wierzę jednak twojemu ojcu. Nie wątpię, że potrafi on kłamać, nie wątpię, że kłamie w razie potrzeby, ale w danym wypadku nie widzę żadnej potrzeby. Człowiek rozsądny nie szafuje bez celu czymś tak przydatnym jak łgarstwo. Słuchaj teraz. Uroiłeś sobie, że poniechasz żebraniny, co tedy będziesz czynić? Może rabować kuchnie?

Król odrzekł niecierpliwie:

– Daj spokój bredniom. Nudzisz mnie.

– Takiś to, bratku – warknął zagniewany Hugon. – Nie chcesz żebrać. Nie chcesz rabować. Niech i tak będzie. Powiem ci tedy, co musisz robić. Posłuchysz za wabia, kiedy ja będę żebrał. Odmów teraz, jeżeli myślisz, że możesz sobie na to pozwolić!

Chłopiec miał już na ustach pogardliwą odpowiedź, lecz Hugon nie dopuścił go do głosu.

– Milcz! – syknął. – Widzisz? Nadchodzi jakiś złęczyna z pocziwą gębą. Teraz upadnę niby tknięty wielką chorobą. Kiedy nadbiegnie ten nieznajomy, podnieś lament, padnij na kolana i udawaj, że beczysz. A potem wrzeszcz, jak gdybyś miał w kałdunie wszystkich szatanów rozpaczy, i wołaj: – O dobry panie! To mój nieszczęśliwy brat straszną dotknięty niemocą. Biedneśmy bardzo sieroty! Przez miłosierdzie boskie, rzućcie dobrotliwym i łaskawym wzrokiem na chorego, opuszczonego w niedoli nędzarza. Sięgnijcie, panie, do swych niezmiernych bogactw i ofiarujcie jednego małego pensa istocie ciężko doświadczonej przez Boga i bliskiej nieuchronnej zguby! – Masz tak lamentować i lamentować, dopóki, rozumiesz, nie wydusimy z niego pensa; inaczej gorzko tego pożałujesz!

Hugon zaczął stękać, jęczeć, przewracać oczyma, chwiać się i zataczać, kiedy zaś nieznajomy był już zupełnie blisko, wyrostek runął mu pod nogi, gdzie wił się i skręcał w ulicznym pyle, jak gdyby znosił niewypowiedziane męki.

– Boże! Ach, Boże! – zawołał miłosierny przechodzień. – Jak ten biedak strasznie cierpi. Zaraz, pomogę ci wstać, nieszczęśliwy chłopcze.

– Bóg pobłogosławi was, szlachetny panie, za waszą iście książęcą łaskawość, ale w czasie takiego ataku srogi ból sprawia mi każde dotknięcie. Ten mój brat opowie waszej wielmożności, jakie przechodzę katusze, gdy nawiedzają mnie te paroksyzmy. Dajcie pensa, szlachetny panie, jednego pensa, abym kupić mógł trochę jada, a potem zostawcie mnie, o panie, własnym mym troskom.

– Jednego pensa! Zaraz dostaniesz trzy, biedaku! – zawołał nieznajomy i z nerwowym pośpiechem wydobyl z kieszeni trzy monety. – Masz, chłopcze! Daję ci ze szczerego serca. Chodź no tutaj, mój mały, pomóż zanieść twego chorego brata do tamtego oto domu, gdzie...

– Nie jestem jego bratem – przerwał król.

– Co? Nie jesteś jego bratem?

– Czy słyszeliście go, dobry panie? – jęknął Hugon, a na swój prywatny użytek zgrzytnął zębami. – Wypiera się rodzzonego brata! Brata jedną nogą stojącego w grobie.

– Chłopcze, twarde masz zaiste serce, jeżeli on jest istotnie twoim bratem. Fe, wstyd! Przecież biedaczek nie może ruszyć nogą ani ręką. Powiadasz, że to nie twój brat, któż zacz tedy?

– Żebak i złodziej! Wyłudził od was pieniądze, zarazem jednak opróżnił wam kieszenie. Jeżeli chcecie dokonać cudownego uzdrowienia, zmierzcie go łaską i resztą pozostawcie Opatrzności.

Ale Hugon nie czekał na cud. W jednej chwili zerwał się i pomknął niby wichrem niesiony, a nieznajomy dobroczyńca ruszył za nim wołając gromko: – Łapaj złodzieja!

Król, wielce wdzięczny Niebiosom ze swe wyzwolenie, uciekał w przeciwnym kierunku i nie zwalniał kroku, dopóki nie znalazł się z dala do niebezpieczeństwa. Wybrał pierwszą napotkaną drogę i rychło zostawił za sobą miasteczko. Przez parę godzin umykał, ile sił w nogach, i trwożnie oglądał się przez ramię wypatrując pościgu, wreszcie jednak opuściły go wszelkie obawy, a miejsce ich zajęło miłe poczucie bezpieczeństwa. Teraz chłopiec uprzytomnił sobie, że jest głodny, a zarazem bardzo zmęczony, zajrzał więc do jakiejś chaty, lecz nim zdążył się odezwać, kazano mu milczeć i bez ceremonii przepędzono włóczęgę. Odzienie świadczyło przeciw niemu.

Odszedł zraniony i dotknięty do żywego postanowiwszy nie narażać się więcej na tak lekceważące traktowanie. Ale głód jest władcą dumy, nim więc zmrok zapadł, chłopiec spróbował szczęścia w innej chacie. Tam wszakże spotkał się z jeszcze gorszym przyjęciem, gdyż obrzucono go wyzwiskami i zagrożono aresztowaniem za włóczęgostwo, jeżeli natychmiast nie pójdzie swoją drogą.

Nadciągnęła noc zimna i chmurna, a utrudzony monarcha włókł się wciąż „swoją drogą”. Musiał iść nieprzerwanie, bo za każdym razem, gdy przysiadł, aby wytchnąć nieco, chłód przejmował go do szpiku kości. Wszystkie wrażenia i doznania, które mały król odbierał w czasie tej wędrówki przez dostojny mrok i niezmierną pustkę nocy, były dlań nowe i osobliwe. Od czasu do czasu jakieś głosy zbliżały się, przesuwały obok i topniały w ciszy, że zaś postacie, do których głosy owe należały, majaczyły mgliście niby bezkształtne plamy i nic więcej nie można z nich było dostrzec, chłopiec wyczuwał w tym wszystkim coś nadprzyrodzonego, upiornego, przejmującego dreszczem grozy. Niekiedy migotał gdzieś błysk światła – błysk zawsze daleki, jak gdyby pochodzący z innego świata. Niekiedy słychać było dźwięk owczego dzwonka – brzęk zawsze cichy, odległy, niewyraźny. Stłumione porykiwanie bydląt nadpływało z nocnym wiatrem w zamierającej, żalobnej tonacji. Czasami rozpaczliwe wycie psa zabrzmiało gdzieś na rozległych przestrzeniach pól i lasów. Wszystkie te niezmiernie dalekie dźwięki budziły w małym królu wrażenie, że życie i jego sprawy odsunęły się odeń, on zaś samotny i pozbawiony oparcia stoi pośrodku niezmiernego pustkowi.

Edward włókł się pośród posepnych majaków tych nowych przeżyć i od czasu do czasu wzdrygał się posłyszawszy nad głową cichy szelest uschłych liści, który tak bardzo przypominał ludzkie szepty. Wtem ujrzał w bliskości słabe światełko ręcznego kaganka. Szybko cofnął się w mrok i czekał. Kaganek migotał w otwartych wrotach stodoły. Król stał przez czas pewien. Nic nie było słychać; nikt się nie poruszał. Biedak zmarzył tak okropnie, stojąc bez ruchu, a gościnnie otwarta stodoła była tak kusząca, że postanowił wreszcie wszystko rzucić na szalę i wejść do środka. Ruszył z miejsca szybko i ukradkiem, kiedy jednak przekraczał próg, usłyszał z sobą ludzkie głosy. Błyskawicznie skoczył za jakąś znajdującą się w stodole baryłkę i tam przycupnął. We wrotach ukazali się dwaj parobcy, z których jeden niósł kaganek. Parobcy zajęli się jakąś robotą i przez cały czas rozmawiali, kiedy zaś kręcili się ze światłem tu i ówdzie, król rozglądał się bacznie i dostrzegł po drugiej stronie klepiska dość wyraźny zarys sąsiada. Zamierzał oczywiście dotrzeć tam po omacku, kiedy wreszcie sam pozostanie. Zauważył również leżący w połowie drogi stos der końskich i zdecydował, iż na jedną noc powoła je do służby dla korony angielskiej.

Parobcy skończyli wkrótce swą pracę, wyszli z kagankiem i zaryglowali wrota. Drżący z chłodu chłopiec skoczył tak szybko, jak pozwalały na to ciemności, w stronę stosu der, chwycił kilka z nich i trafił omackiem do upatrzonego sąsiada. Z dwóch der umościł posłanie, a okrył się pozostałymi dwiema. Był teraz zadowolonym z losu monarchą, jakkolwiek derki były stare, cienkie i nie dość ciepłe, a ponadto wydawały przejmujący koński odór, tak uporczywy, że niemal duszący.

Król był wprawdzie głodny i zziębnięty, lecz również tak strudzony i senny, że niebawem zmęczenie i sen zaczęły brać górę nad głodem i chłodem i chłopiec zapadł w stan półświado-
mej drzemki. Wtem, w chwili gdy bliski był zupełnej utraty zmysłów, poczuł wyraźnie, że

coś go dotknęło. Zbudził się. Strach dławił go bezlitośnie. Zimna groza tajemniczego dotknięcia w ciemnościach powstrzymała prawie bicie serca. Edward leżał bez ruchu; nasłuchiwał tłumiąc oddech. Ale nic się nie poruszało. Znikąd nie dochodził żaden dźwięk. Chłopiec nasłuchiwał ciągle i czekał, jak wydawało mu się, bardzo długo, wciąż jednak nic nie poruszało się ani odzywało. Wreszcie zaczął znowu zapadać w drzemkę i w tej chwili raz jeszcze poczuł tajemnicze dotknięcie! Ach, to muśnięcie czegoś bezdźwięcznego a niewidzialnego było okropne, przerażające, dławiło upiornym lękiem. Co teraz robić? Oto pytanie istotne, lecz pytanie, na które Edward nie znajdował odpowiedzi. Czy porzucić wygodne, przytulne schronisko i uciekać przed tą mglistą grozą? Ale dokąd? Król nie mógł przecież wydostać się ze stodoły, nieznośną zaś była mu myśl, że będzie się tłuc w ciemnościach w tę i ową stronę pomiędzy czterema ścianami więzienia, a zjawa będzie włóczyła się za nim i przy każdym zwrocie dręczyła ohydny, lekkim muśnięciem w policzek lub ramię. Czy nie lepiej pozostać na miejscu i jak noc długa znosić tę potworną śmierć za życia! Nie! Cóż zatem należy uczynić? Ach, jest tylko jedno wyjście i Edward wiedział dobrze, że musi się uciec do niego! Trzeba wyciągnąć rękę, odnaleźć owo „coś”.

Łatwo było to wymyślić, lecz trudniej zmusić się do podjęcia próby. Mały monarcha po trzykroć zagłębiał rękę w zdradliwe mroki, lecz za każdym razem cofał ją wnet ze zdławionym okrzykiem strachu, nie dlatego, żeby coś napotkał, lecz z obawy, iż lada chwila napotkać coś musi. Za czwartym razem sięgnął trochę dalej i dłonią pogładził lekko przedmiot miękki a ciepły. Skamieniał ze zgrozy! Myśli miał w takim stanie, że mógł wyobrazić sobie tylko, iż to coś jest świeżym, nie ostygłym jeszcze trupem. Pomyślał, że umrze raczej, niż po raz drugi dotknie tej ohydy. Ale myśląc tak zbłądził, gdyż nie był świadom wszechwładnej mocy ludzkiej ciekawości. Niebawem, drżącą dłonią macał znowu w mrokach, wbrew rozsądkowi, pomimo woli macał uparcie, dopóki nie natknął się na pęczek długich włosów. Zadrżał, lecz mimo to przesunął dłonią po włosach, a natrafiwszy na coś, co wydało mu się ciepłą liną, sunął wyżej i wyżej, aż wreszcie znalazł nieszkodliwe ciele. Lina nie była wcale liną, lecz cielecym ogonem!

Chłopcu wstyd było, iż najadł się strachu i przebył tyle cierpień z powodu tak błahego, jak drzemiące ciele. Niepotrzebnie jednak czuł się upokorzony, bo obawiał się przecież nie cielecia, lecz tej nierealnej okropności, którą ciele reprezentowało, a w owych dawnych, przesądnych czasach każdy inny chłopiec męczyłby się i zachowywał tak właśnie, jak on męczył się i zachowywał.

Król był szczerze zadowolony nie tylko dlatego, że tajemnicza istota okazała się cieleciem, lecz również dlatego, że zyskał towarzystwo cielecia, czuł się bowiem samotny i opuszczony, serdecznie więc witał kompanię i przyjaźń nawet tak niegodnego zwierzęcia. Ponadto od istot pokrewnych doznał tylu zniewag i przykrości, że prawdziwą pociechę stanowiła dlań bliskość drugiego stworzenia boskiego, które nie miało zapewne wspanialszych przymiotów ducha, lecz w każdym razie obdarzone było miękim sercem i łagodnym usposobieniem. Wobec tego monarcha postanowił zlekceważyć różnicę pozycji i nawiązać przyjazne stosunki z cieleciem.

Gładząc ciepły, gładki grzbiet (ciele leżało bowiem blisko i łatwo go było dosięgnąć), król wpadł na pomysł, że przypadkowego sąsiada wykorzystać może na rozmaite sposoby. Zaraz też przesłał swe łoże, umieścił je bliżej cielecia, następnie zaś przytulił się do miękkiego grzbietu i nakrył derami nowego przyjaciela oraz siebie. Po paru minutach zrobiło mu się tak miło i ciepło, jak to bywało niegdyś w puchach książęcego łoża w Pałacu Westminsterskim.

Wnet nadciągnęły przyjemne myśli, a życie zarysowało się w różowych barwach. Edward był wolny od piętna niewoli i zbrodni, wolny od towarzystwa niecnym, gburowatych łotrów; było mu ciepło, miał dach nad głową, jednym słowem był szczęśliwy. Wzmagał się nocny wiatr. Dął w potężnych porywach, od których dygotała i trzeszczała stara stodoła. Chwilami opadał z sił i zawodził tęsknie koło węglów i przyciesi. Ale wszystko to brzmiało w uszach

małego monarchy niby słodka muzyka, zwłaszcza teraz, gdy było mu wygodnie i ciepło. Niechaj wiatr dmie i szaleje, niechaj huczy i szumi, jęczy i wyje; mały włóczęga nie martwi się zgoła, lecz z przyjemnością słucha tej muzyki. Bliżej tylko przesuwa się do skromnego przyjaciela. Jest mu coraz milej, cieplej, wygodniej. Rozkosznie wędruje ze świadomości w głęboki sen bez marzeń, pełen spokoju i powagi. W oddali ujadają psy, żałośnie skarży się puszczyk, wiatr szaleje z nie słabnącą mocą, po dachu bębnią strumienie ulewnego deszczu, lecz władca Anglii śpi snem nie przerwany. Cieleń śpi również, jest bowiem stworzeniem prostodusznym, nie bardzo więc troszczy się o nawałnicę ani też nie onieśmiela go wspólne posłanie z królem.

ROZDZIAŁ XIX

KRÓLEWICZ WŚRÓD WIEŚNIAKÓW

Edward ocknął się wczesnym rankiem i spostrzegł, że jakiś zmokły, lecz przemyślny szczur zakradł się w nocy i na jego piersi legł niczym w wygodnym łóżku. Niebawem jednak zaniepokojony czmychnął. Chłopiec uśmiechnął się i rzekł:

– Nie bój się, głupie stworzenie. Równie jestem samotny jak ty. Wstyd by mi było skrzywdzić istotę tak bezradną, jakom i ja bezradny. Ponadto wdzięczny ci jestem za dobry omen, jeżeli bowiem król upadł tak bardzo, że nawet szczury czynią sobie zeń legowisko, zapowiada to niezawodnie odmianę fortuny, gdyż jasno widać, że niżej zejść już nie może.

Chłopiec wstał i opuścił sąsiek, lecz w tej chwili usłyszał dziecinne głosy. Otworzyły się wierzaje i do stodoły weszły dwie małe dziewczynki, kiedy zaś spostrzegły niespodziewanego gościa, zaraz przestały chichotać i gwarzyć, zatrzymały się i stały bez ruchu, ciekawie go oglądając. Wnet jednak zaczęły szeptać pomiędzy sobą i zbliżywszy się nieco, przystanąły, aby patrzeć i szeptać znowu. Pomału nabrały odwagi i głośno poczęły omawiać szczególnego gościa.

– Przyjemną ma twarz – powiedziała jedna.

– I ładne włosy – dodała druga.

– Ale nędznie jest odziany.

– I jaki mizerny.

Zbliżyły się znowu, trwożliwie obchodząc go półkolem i obserwując z rozmaitych stron niczym jakieś dziwnego gatunku zwierzę. Przez cały czas zachowywały się jednak trwoźnie i niepewnie, jak gdyby podejrzewały, iż zwierzę to może być niebezpieczne i przy sposobności potrafi łąsać. Wreszcie zatrzymały się tuż przed nim, dla bezpieczeństwa ujęły się za ręce i do woli przypatrywały mu się naiwnymi oczyma. Potem jedna z dziewczynek zebrała całą odwagę i zapytała z prostotą:

– Ktoś ty, chłopczyku?

– Król – padła poważna odpowiedź.

Dzieweczki drgnęły z lekka, szeroko otworzyły oczy i przez pół minuty gapiły się w niemym podziwieniu.

Wkrótce jednak ciekawość przemogła.

– K r ó l? Jaki król?

– Król Anglii.

Dzieweczki spojrzały na siebie, potem na owo dziwo, potem znowu na siebie – spojrzały ze zdumieniem i powątpiewaniem, następnie jedna z nich powiedziała:

– Czy słyszałaś, Margery? On mówi, że jest królem. Czy to może być prawda?

– Naturalnie, Prissy! On przecież nie kłamie. A widzisz, Prissy, gdyby nie mówił prawdy, toby kłamał. Tak, na pewno. Pomyśl tylko. Wszystko, co nie jest prawdą, musi być kłamstwem i nic innego nie wymyślisz.

Argument był poważny, ścisły, wyczerpujący, Prissy nie miała więc oparcia dla swoich wątpliwości. Zamyśliła się na chwilę, potem zaś przywróciła jego tytuł i honory mówiąc:

– Jeżeli naprawdę jesteś królem, to wierzę ci.

– Naprawdę jestem królem.

Odpowiedź ta przesądziła sprawę. Monarsza godność małego władcy została uznana bez kwestii i dyskusji, a dziewczeczki jęły zaraz wypytywać, jak to się stało, że król tutaj się znalazł, czemu jest ubrany tak nie po królewsku, dokąd się wybiera i w ogóle o wszystkie sprawy dziwnego gościa. Niewysłowioną ulgę przynosiło biednemu chłopcu opowiadanie o swych troskach słuchaczkom, które – jak dobrze zdawał sobie sprawę – nie będą drwić ni powątpiewać. Toteż z przejęciem mówiąc o swych przygodach, na czas pewien zapomniał nawet o głodzie, a poczciwe dziewczeczki słuchały z głębokim, najtkliwszym współczuciem. Kiedy jednak chłopiec doznał do ostatnich wydarzeń i powiedział, jak długo obywać się musiał bez jadła, słuchaczki przerwały gościowi w pół słowa i niezwłocznie zaprowadziły go do chaty, aby zająć się śniadaniem.

Król był teraz pogodny i zadowolony. W duchu mówił:

„Kiedy odzyskam wreszcie należne mi prawa, zawsze czcić będę małe dzieci wspominając, jak te dziewczątka wierzyły mi i ufały, gdy ciężkie przeżywałem troski, a ludzie starsi, którzy uważają się za mądrzejszych, wyszydzały mnie i obwoływały kłamcą”.

Matka dziewczątek przyjęła króla uprzejmie i z wielkim współczuciem, gdyż opłakany wygląd i niewątpliwy obłęd biednego chłopca wzruszał niewieście serce. Była wdową, i to wdową niezamożną, doświadczyła zatem, dosyć trosk, aby nauczyć się litości dla nieszczęśliwych. Sądziła, że mały szaleniec uszedł jakimś sposobem rodzinie lub opiekunom, próbowała więc wy badać, skąd przybył, potem zaś podjąć kroki zmierzające do wrócenia mu domu. Ale liczne wzmianki o bliskich miasteczkach i wsiach i wszelkie pytania w tym względzie nie przydawały się na nic, bo wyraz twarzy chłopca i jego odpowiedzi wskazywały jasno, iż wieśniaczka mówi o rzeczach zupełnie mu obcych. Z przejęciem i prostotą opowiadał o stosunkach dworskich i wielokroć głos mu się załamywał, gdy wspominał zmarłego króla, swego ojca, kiedy jednak rozmowa schodziła na sprawy popołitsze, biedak przestawał się interesować i milkł niezwłocznie.

Wdowa stropiła się znacznie, lecz nie dawała za wygraną. Zajęta gotowaniem wymyślała nowe wciąż podstępny, aby zaskoczyć chłopca i dobyć zeń prawdziwe tajemnice. Zaczęła coś o krowach, lecz gość nie okazał zainteresowania; później o owcach, z tym samym wynikiem. Niewiasta uznała więc za mylny swój domysł, że ma przed sobą pastuszką. Dalej przyszła kolej na manufaktury, na tkaczy, kotlarzy, kowali, jednym słowem rzemieślników i wszelkie rzemiosła; potem na dom wariatów, więzienia i dobroczyenne przytułki. Nic jednak nie pomagało i zawód spotykał wdowę przy każdym z tych tematów. Ale był to zawód niezupełny, wiódł bowiem do wniosku, że zagadka zwięzła się obecnie do zajęć domowych. Tak! Kobieta nie miała wątpliwości, że jest na właściwym tropie. Mały szaleniec musiał służyć w jakimś domu! Ale sprawa zamiatania nudziła go wyraźnie, rozpalanie ognia nie ożywiało, a szorowanie i czyszczenie nie mogło obudzić entuzjazmu. Zaczyna niewiasta traciła nadzieję i dla formy raczej poruszyła temat gotowania. Ale ku jej zdziwieniu i szczerzej radości twarz króla rozjaśniła się od razu!

„Ach, wytropiłam cię nareszcie!” – pomyślała wdowa dumna, iż wielkiego dzieła dokonała tak przemyślnie i chytrze, zarazem zaś z tak niecodziennym taktem.

Mogła teraz dać wytchnienie strudzonemu językowi, gdyż język królewski natchniony męką głodu i cudnymi woniami, które płynęły z buchających parą garnków i rynek, rozwiązał się snadnie i wygłosił tak płynną orację o przeróżnych smakowitych daniach, że niewiasta pomyślała, nim minęły trzy minuty:

„Na pewno miałam słuszność. On pomagał w kuchni”.

Następnie król rozszerzył jadłospis i rozprawiał o nim z takim znawstwem i przejęciem, że poczciwa niewiasta rzekła do siebie:

– Dalibóg, skąd on zna tyle potraw, i to potraw wykwinnych, które są przywilejem stołów ludzi znacznych a majątnych? Ach, rozumiem, ten obdarty włóczęga musiał służyć w kuchni

pałacowej, zanim postradał zmysły! Tak! tak! Był zapewne popychadłem przy kuchmistrzu samego króla! Zaraz zrobię z nim próbę.

Niewiasta gorąco pragnęła dowieść niezbitcie swej teorii, powiedziała więc królowi, aby przez chwilę pilnował kuchni, przy czym napomknęła, że może dodać według własnego gustu jedno lub dwa dania. Potem wymknęła się z izby, dzieciom zaś dała znak, by poszły za nią. Król mruknął do siebie:

– Dawnymi czasy inny angielski monarcha otrzymał to samo zlecenie. Nie uchybia więc mej godności czynność, do której zniżył się sam Alfred Wielki. Postaram się wszakże lepiej niżeli on wywiązać z zadania, bo Alfred pozwolił wszak przypalić się plackom.

Intencja była chwalebna, lecz nie odpowiadało jej wykonanie, bo ten król, podobnie jak tamten, zamyślił się wnet, a dumając o swych sprawach dopuścił do podobnej katastrofy – do przypalenia potraw. Gospodyni wróciła jednak na czas; uchroniła śniadanie od całkowitego zniszczenia i rychło zbudziła króla z zadumy, nie szczędząc mu gwałtownych i gorzkich wymówek. Niebawem jednak zauważyła, jak martwi to, że zawiódł zaufanie, zmiękła więc łatwo i cała zamieniła się w dobroć i łagodność dla małego nędzarza.

Chłopiec podjadł z apetytem i do syta, co oczywiście dodało mu sił i ducha. Śniadanie to było osobliwe z tej przyczyny, że obie strony rezygnowały z należnego ich pozycji przywileju, wszelako żadna nie była świadoma zaszczytu, który ją spotyka. Poczciwa niewiasta miała zamiar nakarmić małego włóczęgę podanymi w kąciku resztkami jadła, jak postąpiłaby oczywiście z każdym innym żebrakiem albo z psem. Ale była skruszona udzielonym tak niedawno surowym napomnieniem, czyniła więc wszystko, co w jej mocy, aby dać chłopcu zadośćuczynienie, i pozwoliła mu zasiąść do rodzinnego stołu, przy którym – niby równy z równymi – jeść miał razem z osobami o tyle wyżej stojącymi. Król szczerze był wzruszony, iż zawiódł zaufanie ludzi przychylnych, chcąc tedy dać im zadośćuczynienie, postanowił zniżyć się do poziomu skromnej rodziny zamiast rozkazać gospodyni i jej córkom, by stojąc posługiwały mu, kiedy on zajmie ich stół i śniadać będzie w samotnym majestacie, słusznie przysługującym jego urodzeniu i godności. Każdemu z nas dobrze robi, jeśli niekiedy rezygnuje ze swojej dumy. Zaczyna niewiasta radowała się dzień cały, iż tak wspaniałomyślnie potraktowała jakiegoś tam włóczęgę. Król zaś był również zadowolony z siebie, ponieważ dobrowolnie poniżył się wobec skromnej, ubogiej wieśniaczki.

Po śniadaniu wdowa powiedziała królowi, żeby zmył naczynia. Rozkaz ten oburzył go zrazu i chłopiec bliski był buntu, niebawem jednak pomyślał:

„Alfred Wielki pilnował pieczenia placków, niewątpliwie zatem zmywałby również naczynia. Mogę i ja popробować”.

Robota powiodła się nieszczerólnie, co zdziwiło króla, bo czyszczenie drewnianych misek i łyżek wydawało mu się rzeczą prostą, okazało się zaś pracą nudną i wielce męczącą. Wreszcie jednak ją skończył. Edwardowi pilno już było w dalszą drogę, nie tak łatwo wszakże opuścić mógł towarzystwo skrzętnej gospodyni. Białogłowa wynajdywała mu wciąż takie lub inne pomniejsze zadania, z których wywiązywał się wedle najlepszych chęci i z niejakim nawet powodzeniem. Potem zasadziła go wraz z małymi dziewczynkami do obierania zimowych jabłek, lecz król był bardzo niezręczny i wdowa odwołała go z tej funkcji, dając mu w zamian nóż rzeźnicki do naostrzenia. Potem zatrudniła chłopca przy gręplowaniu wełny na czas tak długi, że biedak pomyślał, iż dobrego króla Alfreda zaćmił i daleko pozostawił w tyle. O heroicznym pracach małego króla przy gospodarstwie domowym miło będzie kiedyś czytać w dziełach i opowiadaniach historycznych. Doszedłszy do tego wniosku Edward zamierzał zrzec się dalszych czynności, gdy wnet po wczesnym obiedzie gospodyni wręczyła mu koszyczek kociąt do utopienia. W każdym razie miał właśnie zgłosić dymisję, gdyż mniemał, że w jakimś miejscu trzeba przeprowadzić linię graniczną, a topienie kociąt uważał za powód bardzo po temu właściwy. W tej chwili jednak wynikła przeszkoda w postaci Johna Canty, z kramarskimi jukami na plecach, i Hugona.

Dwaj hultaje zbliżali się właśnie do furty od strony drogi, gdy król dostrzegł ich, zanim oni go zdążyli zauważyć. Nie rzekł więc nic o przeprowadzeniu linii granicznej, lecz chwycił koszyk z kociętami i bez słowa wyszedł cichaczem na podwórze gospodarskie. Tam zostawił kocięta w szopie i szparko umknął ścieżką, którą odkrył na tyłach zagrody.

ROZDZIAŁ XX

KRÓLEWICZ I PUSTELNIK

Król skrył się teraz za osłaniającym go od domu żywopłotem i gnany śmiertelnym strachem umykał co sił w stronę odległego lasu. Ani razu nie spojrzął za siebie, dopokąd nie znalazł się na skraju zbawczego boru, gdzie odwrócił się śmiało i dostrzegł majaczące w dali dwie postacie. To mu wystarczyło. Powstrzymał się od badania tych postaci krytycznym okiem i zwolnił kroku dopiero w głębokim cieniu gęstwiny. Wówczas przystanął, gdyż poczuł się stosunkowo bezpieczny. Nasłuchiwał bacznie; wokół panowała cisza głęboka i dostojna – ba! nawet groźna i przytłaczająca. Natężony słuch chwycił z rzadka jakieś dźwięki; tak jednak odległe, stłumione i tajemnicze, że wydawać się mogły nie dźwiękami prawdziwymi, lecz jęczącymi i zawodzącymi echemi dźwięków dawno zmarłych. A więc odgłosy te były jeszcze bardziej przerażające niż cisza, którą od czasu do czasu zakłócały.

Edward zamierzał zrazu pozostać do końca dnia tam, gdzie się zatrzymał, lecz chłód owionął wkrótce jego spotniałe ciało i wędrowiec musiał podjąć marsz, aby się nieco rozgrzać. Ruszył na przełaj lasem sądząc, iż niebawem przedrze się do jakiejś drogi. Rozczarował się wszakże, bo szedł i szedł przed siebie, a im głębiej się zapuszczał, tym gęszcz stawał się większy. Po jakimś czasie półmrok zaczął ciemnieć i król uprzytomnił sobie, że noc zapada. Zadrzał na myśl o przepędzeniu jej w tak upiornym miejscu, próbował więc przyśpieszyć kroku, lecz posuwał się coraz wolniej, bo nie widział już dobrze i nie mógł wyszukiwać dogodniejszej drogi, wobec czego potykał się wciąż o korzenie albo wikłał w pnączach i kolczastych krzewach.

Ach, jakież był szczęśliwy, gdy zauważył nareszcie odblask światła! Zbliżał się ostrożnie, przystając często, aby rozejrzeć się i posłuchać. Światło płynęło z nie oszklonego otworu okiennego w małej chatynce. Król posłyszał głos i zrazu poczuł ochotę, aby uciec i skryć się bezpiecznie, rychło jednak zmienił zamiar, gdyż głos ów niewątpliwie odprawiał modły. Chłopiec zakradł się pod jedyne okienko chatki, wspiał się na palce i sięgnął wzrokiem do wnętrza. Izba była ciasna, podłogę stanowiła naturalna powierzchnia ziemi mocno ubita od długiego użytkowania. W kącie znajdowało się posłanie z sitowia nakryte jedną lub dwiema starymi derkami. Opopadał widać było wiadro, dzban, misę oraz parę garnków i patelni, dalej zaś stała krótka ława i zydel na trzech nogach. Na palenisku tliły się zwęglone polana. Przed ołtarzykiem, który oświetlała jedyna świeczka, klęczał wiekowy mężczyzna, a obok niego, na starej drewnianej skrzynce, leżała czaszka ludzka i otwarta księga. Mężczyzna był rosły i kościstej budowy, włosy i brodę miał śnieżnobiałe, a okrywała go sięgająca od ramion do pięt opończa z owczych skór.

– Święty pustelnik! – szepnął król do siebie. – Zaiste, tym razem dopisało mi szczęście.

Pustelnik powstał z klęczek. Edward zastukał. Odpowiedział mu basowy głos:

– Wyjdź, atoli grzechy zostaw za sobą, gdyż miejsce, w które wkraczasz, jest święte!

Król wszedł i przystanął. Pustelnik zwrócił w jego stronę błyszczące, niespokojne oczy i zapytał:

– Ktoś zacz?

– Król – padła prosta odpowiedź.

– Pozdrowienie ci, królu! – krzyknął starzec radośnie, potem zaś począł krzątać się, gorączkowo i ustawicznie powtarzając: – Pozdrowienie ci, pozdrowienie! – Postawił ławę przy

ognisku, usadowił na niej gościa, rzucił kilka polan na żar, a wreszcie zaczął chodzić nerwowym krokiem tam i z powrotem.

– Pozdrowienie ci! Wielu nawiedzało ten święty przybytek, wszelako niegodni byli i zostali odprawieni. Atoli król, którzy odrzuca koronę i wżgardziwszy czczym blaskiem swej godności obleka łachmany, aby poświęcić żywot pobożnym praktykom i umartwieniu ciała, godzien jest! Radośnie będzie powitany i znajdzie tu przytułek do końca dni, dopokąd śmierć go nie przywoła.

Król próbował mu przerwać i udzielić wyjaśnień, lecz pustelnik nie zwracał nań uwagi, a nawet zdawał się nie słuchać.

Dalej mówił podniesionym głosem i z wzrastającym zapalem:

– I będziesz tu żył w pokoju. Nikt nie odnajdzie twej kryjówki, aby niepokoić cię błaganiami o powrót do onego pustego i szalonego życia, które Bóg rozkazał ci porzucić. Będziesz się tu modlił, będziesz zgłębiał Pismo, będziesz rozmyślał nad pustką i uludą tego świata oraz wzniosłymi rozkoszami życia, które ma nadejść. Będziesz karmił się okruszynami chleba i ziołami i codziennie biczował ciało dla oczyszczenia ducha. Będziesz nosił włosienicę na gołej skórze, będziesz pił tylko wodę i znajdziesz tu pokój, tak, pokój doskonały, bo wszyscy, którzy przybędą, aby cię odnaleźć, odejdą swoją drogą poniżeni i nie odszukają cię, i nie będą nękać.

Starzec przechadzał się wciąż tam i z powrotem, zaprzestał wszakże mówić głośno i począł szeptać. Król skorzystał ze sposobności, aby wyłuszczyć swą sprawę, co uczynił z wymową, której natchnieniem była obawa i niepewność. Ale pustelnik nie troszczył się o nic i dalej szeptał do siebie. Wreszcie, mamrocząc wciąż, zbliżył się do chłopca i powiedział z przejęciem:

– Szszaa!.. Wyznam ci wielką tajemnicę.

Pochylił się, aby rozpocząć zwierzenia, lecz opamiętał się w porę i zaczął bacznie nasłuchiwać. Po chwili ruszył na palcach w stronę otworu okiennego, wysunął głowę, rozejrzał się w mrokach, potem wrócił na palcach i przysunąwszy twarz do twarzy króla, szepnął:

– Jestem archaniołem!

Król drgnął nerwowo i pomyślał:

„Daj Boże, abym znalazł się znowu wśród złoczyńców, teraz bowiem wpadłem w moc szalonego!”

Obawy jego rosły i wyraźnie odmalowały się na twarzy. Pustelnik ciągnął stłumionym, pełnym przejęcia tonem:

– Jak sądzę, wyczuwasz moją aurę! Na obliczu twym widnieje groza. Nikt nie może znaleźć się w tej aurze i nie zareagować w taki właśnie sposób, jest to bowiem aura samych niebios. Ja udaję się tam i powracam w mgnieniu oka. Archaniołem zostałem obwołany przed pięciu laty przez aniołów, którzy przyszli tu, do mojej pustelni, aby nadać mi tę krew mrozącą godność. Obecność ich napełniła izbę jasnością nie do zniesienia. Ach, królu, aniołowie klękali przede mną! Tak! Uklękli, albowiem większy jestem od nich! Przechadzałem się później po niebiańskim dworze i wiodłem rozmowy z patriarchami. Dotknij mej dłoni, nie obawiaj się – dotknij! Oto dotknąłeś ręki, którą ścisnął był Abraham i Izaak, i Jakub! Ja bowiem przechadzałem się po złotych dziedzińcach i twarzą w twarz stałem przed Bogiem Ojcem!

Efektowną pauzą zakończył przemówienie, potem zaś zmienił nagle wyraz twarzy, znowu zaczął chodzić i podjął energicznie a gniewliwie:

– Tak, jestem archaniołem! Jestem tylko archaniołem, ja, który mogłem zostać papieżem! Tak! To czysta prawda! Przed dwudziestu laty zapowiedź ta we śnie spłynęła ku mnie z niebios! Ach, tak! Miałem zostać papieżem i winienem zostać papieżem, bo niebu tak się podobą, ale król rozwiązał mój świątobliwy zakon i ja, biedny, ciemny, osamotniony mnich, poszedłem w świat, bezdomny i odarty z wielkich przeznaczeń.

Powiedziawszy to, zaczął znowu coś pomrukiwać i w bezradnym gniewie tłuc się pięścią po czole. Od czasu do czasu miotał straszne przekleństwo albo wykrzykiwał patetycznie:

– Ha! Zostałem tylko archaniołem, ja, który winienem być papieżem!

Miotał się tak przez godzinę, a biedny mały król siedział i cierpiał. Potem szaleństwo minęło nagle i starzec zmienił się cały w pocziwość. Mówił łagodnym głosem i zstąpiwszy z obłoków gwarzył tak prosto i po ludzku, że wnet zupełnie podbił serce monarchy. Sędziwy mnich przysunął ławę bliżej ognia, wygodniej usadowił gościa, wprawną, troskliwą ręką opatrzył mu sińce i lekkie zadrapania i zabrał się do warzenia stawy na wieczerzę. Przez cały czas gawędził miło, niekiedy zaś głąskał chłopca po włosach lub policzku tak miękko i pieszczotliwie, że rychło cała niechęć i strach zbudzony przez archanioła obrócił się w szacunek i sympatię dla człowieka.

Ten pomyślny stan rzeczy utrzymywał się w ciągu wieczerzy. Po modlitwie przed ołtarzykiem pustelnik ułożył chłopca na pościeli w sąsiedniej małej komorze, a do snu otulił go czule i troskliwie, niby rodzona matka. Pogłąskał króla na dobranoc, kiedy zaś rozstał się z nim, zasiadł przy ognisku i bez celu i sensu począł trącać pogrzebaczem zalegający wokół żar. Nagle przerwał to zajęcie, kilkakrotnie stuknął palcami w czoło, jak gdyby chciał przypomnieć sobie myśl, która uleciała z głowy. Nie powiodło mu się to widać, bo gwałtownie zerwał się z ławy, wszedł do sypialni gościa i zapytał:

– Tyś król?

– Ta-ak... – brzmiała półsenna odpowiedź.

– Jaki król?

– Angielski.

– Angielski? Tedy Henryk nie żyje?

– Niestety! Jam syn jego.

Pustelnik zmarszczył się posepnie. Z mściwą energią załamał kościste ręce. Przez chwilę stał dysząc szybko, raz po raz przełykając ślinę. Potem rzekł ochryplym głosem:

– Czy wiesz, że to on wygnał w świat nas, bezdomne włóczęgi?

Nie było odpowiedzi. Starzec, nachyliwszy się, bacznie obserwował pogodną twarz chłopca i nasłuchiwał jego równomiernego oddechu.

– Śpi, śpi głęboko – mruknął, a posepną chmurę na jego twarzy zastąpił wyraz złośliwego zadowolenia.

Uśmiech przemknął po wargach uśpionego. Pustelnik odwrócił się i mruknął:

– W jego sercu gości tedy radość.

Zaczął teraz myszkować po komorze, jak gdyby szukał czegoś tu i ówdzie. Niekiedy przystawał. Nasłuchiwał. Niekiedy odwracał głowę i zerkał w stronę pościeli. Przez cały zaś czas szeptał i mamrotał coś pod nosem. Wreszcie znalazł to, czego zdawał się szukać: zardzewiały stary nóż rzeźnicki i oselkę. Potem wszedł chyłkiem do swojej stancji, usiadł przy ognisku i cichaczem jął ostrzyć nóż. Mruczał wciąż, mamrotał, pokrzykiwał. Wiatr wzdychał wokół samotni, tajemnicze odgłosy nocy napływały z dali. Błyszczące ślepki co śmielszych myszy i szczurów zerkały na starca ze szpar i szczelin, lecz on, niebaczny na nic, co działo się wokół, pracował dalej pilnie, zaciekle.

Niekiedy, lecz bardzo rzadko, przeciągał wielkim palcem po ostrzu noża i z satysfakcją kiwał głową:

– Ostrzejszy – szeptał. – Tak, coraz ostrzejszy.

Nie zdawał sobie sprawy z upływu godzin. Pracował spokojnie, zabawiając się własnymi myślami, które od czasu do czasu wypowiadał głośno:

– Jego rodzic skrzywdził nas srodze, zniszczył... a teraz upadł w płomień piekieł! Ha! Upadł w płomień piekieł! Uszedł nam... taka była wola boża... Ha! Taka była wola boża, nie wolno tedy biadać. Ale nie uszedł płomieniom... Ha! Nie uszedł płomieniom. Żrącym, bezlitosnym, okrutnym płomieniom. Płomieniom, które trwają wiecznie!

Starzec pracował tak, pracował i pracował mamrocząc, dławiąc się niekiedy zduszonym chichotem, nie, kiedy zaś rzucając znowu słowa:

– Rodzic jego winowajcą wszystkiego. Ha! Jestem archaniołem, a gdyby nie on, zostałbym papieżem.

Król poruszył się. Pustelnik bezszelestnie skoczył w stronę posłania, ukląkł z nożem w podniesionej ręce, schylił się nad leżącym kształtem ludzkim. Chłopiec drgnął znowu. Na chwilę uchylił powiek, lecz w jego nie widzących oczach myśl nie zabłysła, a wnet spokojny oddech oznajmił, iż głęboki sen powrócił.

Pustelnik przyglądał się przez czas niejaki i nasłuchiwał bez ruchu, nie oddychając prawie. Potem opuścił pomału rękę, odpełznął na stronę i rzekł do siebie:

– Północ dawno minęła. Niedobrze, by krzyknął teraz, przypadkiem bowiem mógłby ktoś przechodzić w pobliżu.

Znowu jął myszkować po swej norze. Tu podejmował strzep szmaty, tam jeden kawał rzemienia, ówdzie drugi. Potem wrócił na dawne miejsce i działając z niepoślednią ostrożnością, zdołał spętać kostki chłopca nie budząc go ze snu. Z kolei próbował związać mu ręce. Kilkakrotnie starał się złożyć je na krzyż, lecz król odrzucał zawsze na bok prawe ramię albo lewe, i to w chwili, kiedy więzy były już przysposobione. Wreszcie jednak, gdy starzec bliski był rozpacz, Edward sam skrzyżował ręce i w jednej chwili spowiły go nowe pęta. Pustelnik założył bandaż pod brodę śpiącego, okręcił go wokół głowy i mocno zawiązał, potem zaś zręcznie supłał i łączył ze sobą węzły, a czynił to tak sprawnie i delikatnie, że podczas wszystkich jego zabiegów mały król spał spokojnie i nie poruszył się nawet.

ROZDZIAŁ XXI

HENDON PRZYBYWA Z ODSIECZĄ

Starzec wymknął się z komory – chyłkiem, ukradkiem, niby kot. Przyniósł niską ławę. Usiadł na niej. Połowę ciała miał w przymglonym migotliwym blasku, połowę w cieniu. Pożądliwym wzrokiem wpił się w uśpionego chłopca. Cierpliwie odbywał wartę nie zważając na upływ czasu. Ostrzył nóż bez pośpiechu, pomrukując i chichocząc. Wyglądem i postawą przypominał potwornego szarego pająka olbrzyma, który delektuje się widokiem nieszczęsnego owada, tkwiącego bezradnie w pętach sieci.

Po długim czasie starzec (patrzył on, wciąż nie widząc, gdyż myślami krążył w krainie sennej ułudy) spostrzegł nagle, iż chłopiec ma oczy otwarte – szeroko otwarte! – i zmrożony przerażeniem spogląda na nóż. Uśmiech zadowolonego szatana wypełnił na wargi pustelnika, który rzekł, nie zmieniając pozy ni zajęcia:

– Synu Henryka VIII, azaliś się modlił?

Chłopiec szarpnął się bezradnie w więzach i spomiędzy zaciśniętych szczęk dobył z trudem zduszony dźwięk, który starzec uznał widocznie za odpowiedź twierdzącą.

– Módl się tedy po raz wtóry. Odmawiaj modlitwę za konających!

Dreszcz wstrząsnął ciałem jeńca; twarz mu spopieliała. Potem mały król zaczął znowu walczyć o wolność. Szamotał się zaciekle, gwałtownie, rozpaczliwie, lecz bezskutecznie próbował potargać więzy. Przez cały czas stary ludojad uśmiechał się nad nim, kiwał głową, cierpliwie ostrzył nóż i mamrotał niekiedy:

– Chwile są cenne. Cenne a nieliczne. Odmawiaj tedy modlitwę za konających.

Chłopiec jęknął rozpaczliwie, zaprzestał daremnych wysiłków i leżał dysząc. Z oczu pociekły mu łzy i jedna za drugą spływały po twarzy, lecz wzruszający ten obraz nie wywarł wrażenia na okrutnym starcu.

Zaczęło świtać. Pustelnik zauważył to i powiedział ostro tonem jak gdyby nerwowego podniecenia:

– Nie myślę przeciągać dłużej tego szaleństwa! Noc już minęła. Noc wydaje się chwilą, jedną chwilą, chociażby nawet trwała przez rok cały! Pomście burzyciela Kościoła Powszechnego, zamknij konające oczy, jeżeli obawiasz się widoku...

Reszta utonęła w nieartykułowanym pomruku. Starzec padł na kolana, ścisnął nóż w dłoni, pochylił się nad jęczącym chłopcem...

Lecz słuchajcie! W pobliżu pustelni ozwały się głosy. Nóż wypadł z ręki pustelnika, który narzucił owczą skórę na skrepowaną ofiarę i zerwał się z klęczek, cały drżący. Gwar wzmagął się, głosy przemawiały coraz donośniej, coraz gniewniej. Rozległ się dźwięk razów i wołanie o pomoc, potem stukot oddalających się szybkich kroków, a w tej samej chwili grzmiące, długie kołatanie do drzwi pustelnika i okrzyk:

– Hej, tam! Otwierać! Prędeż, do stu diabłów!

Nigdy bardziej upragnione tony nie zabrzmiały niebiańską muzyką w uchu małego monarchy! Głos ów należał do Milesa Hendona!

Zgrzytając zębami z bezsilnej wściekłości, pustelnik wyszedł spiesźnie z komory, zamknął za sobą drzwi, niebawem zaś król usłyszał następującą rozmowę, toczoną w „kaplicy”:

– Cześć i pozdrowienie, wieloebny ojczu. Gdzie jest chłopiec... mój chłopiec?

– Jaki chłopiec, przyjacielu?

– Jaki chłopiec! Nie powiadaj mi łgarstw, mości księżu, ani próbuj mnie zwodzić! Brak mi po temu ochoty. W bliskości twojej chaty przychwyciłem łotrów, którzy skradli mi go, jak sądzę, i zmusiłem ich do szczerych wyznań. Powiedzieli, że on jest znowu na wolności, a ślad jego wytropili aż do twego progu. Pokazywali nawet odciski jego stopy. Nie wykręcaj się więc i słuchaj, świętobliwy ojcze, jeżeli mi go nie oddasz, to... Gdzie jest chłopiec?

– Ach, dobry panie, masz, być może, na myśli owego króla, wagabundę w łachmanach, który przywłókł się wczoraj wieczorem. Jeżeli takich, jak ty, interesować może los takich, jak on, dowiedz się, iż wysłałem go w pewnej sprawie. Rychło powinien wrócić.

– Jak rychło? Jak rychło? Hej, nie trać no czasu! Czy mógłbym go doścignąć? Jak rychło ma wrócić?

– Nie musisz go ścigać, bo niebawem nadejdzie.

– Niech i tak będzie, spróbuję zaczekać. Ale, słuchaj!... Ty go gdzieś wysłałeś? Ty! To oczywiście kłamstwo! On nie poszedłby przecie! Wyrwałby ci siwą brodę, gdybyś pozwolił sobie na taką zniewagę. Zełgałeś, przyjacielu, zełgałeś na pewno! On nie poszedłby nigdzie ani na twój rozkaz, ani na rozkaz żadnego człowieka.

– Żadnego człowieka... Słusznie! Zapewne by nie poszedł. Ale jam nie człowiek.

– Co? Kto żeś tedy, na miłosierdzie boże?

– To tajemnica, bacz więc, abyś jej nie zdradził. Jestem archaniołem.

Miles Hendon wydał okrzyk zdumienia bardzo zbliżony do przekleństwa, następnie zaś rzekł:

– Teraz rozumiem jasno jego posłuszeństwo! Wiem, iż za nic nie ruszyłby ręką ani nogą, by posłużyć zwykłemu śmiertelnikowi, lecz mój Boże, nawet król słuchać musi rozkazów archanioła! Niechaj więc... Szszaa!... Co to za hałas?

Podczas tej rozmowy król znajdował się w pobliżu i na przemian trząsał się ze strachu albo drżał z radosnego podniecenia. Przez cały czas również wkładał wszystkie swe siły w trwożne jęki, żywiąc ciągle nadzieję, iż odgłosy te sięgną ucha Hendona. Ale raz po raz przekonywał się z goryczą, że wierny sługa nie słyszy albo przynajmniej nie zwraca uwagi. Ostatnie pytanie Milesa było dlań tedy niby ożywcze tchnienie z szerokich pól dla konającego. Edward wyteżył siły i całą energię włożył w jęk, który ozwał się w chwili, kiedy pustelnik mówił:

– Hałas? Słyszę tylko szum wiatru.

– Zapewne... zapewne... Tak, niewątpliwie wiatr szumi. Przez cały czas słychać niewyraźnie... Oo!... Znowu! To nie wiatr! Jakiś osobliwy szelest! Chodź, zbadamy jego przyczynę!

Król bliski był radosnego szaleństwa. Pełen nadziei, nateżał z całej mocy utrudzone płuca, lecz zwarte szczęki i tłumiąca głos owcza skóra wniwecz obracały wszelki wysiłek. Serce zamarło w biedaku na dźwięk słów pustelnika:

– Ach, odgłos ów pochodzi ze dworu, jak sądzę, z tamtej kępy zarośli. Chodź, ja powiodę.

Król słyszał, jak Hendon ze starcem wychodzą rozmawiając. Słuchał milknącego w oddali tupotu kroków. Potem zaś został sam z przygniatającą, posępną, straszną ciszą.

Zdawało mu się, iż wiek minął, nim złowił uchem zbliżające się znowu głosy i kroki, którym towarzyszył tym razem nowy dźwięk – niewątpliwie stuk kopyt. Potem usłyszał słowa Hendona:

– Nie będę dłużej czekać. Nie mogę dłużej czekać. Na pewno zabłądził w gęstym lesie. W którą poszedł stronę? Prędszej! Pokaż mi, w którą poszedł stronę?

– Chłopiec... Ale poczekaj... pójdę z tobą...

– Dobrze, bardzo dobrze! Zaiste, lepszy jesteś, niż mi się zrazu wydawało. Ha! Nie ma chyba drugiego archanioła o sercu tak prawym jak twoje. Pojedziesz wierzchem, prawda? Czy wolisz dosiąść malutkiego osiołka przeznaczonego dla chłopca, czy też obejmiesz swymi świętobliwymi udami boki tego niecnego zwierza, muła, którego nabył dla siebie? Ach, oszukano by mnie przy tym kupnie, gdybym nawet za muła zapłacił tyle, ile wynosi mie-

sięczny lichwiarski procent od miedzianej ćwierćpensówki pożyczonej pozbawionemu pracy kotlarzowi!

– Nie, dosiądz swego muła i poprowadź osła. Pewniej czuję się na własnych nogach, pójdę więc pieszo.

– Bądź tedy łaskaw zająć się mniejszym z moich bydłał, gdy ja postawię życie na kartę i uczynię wszystko, co w ludzkiej mocy, aby dosiąć większego.

Nastąpił teraz rwetes, na który składały się zmieszane dźwięki wierzgnięć, razów, tupania, narowistych skoków i grzmiąca tyrada przekleństw, zakończona pełną goryczy apostrofą do muła. Przemowa ta złamała widocznie opór krnąbrnego zwierzęcia, bo działania nieprzyjacielskie ustały po jej zakończeniu.

Spętany mały król z beznadziejną rozpaczą słuchał głosów i kroków, które oddalały się i cichły. Na chwilę opuściła go reszta nadziei, sroga zaś troska w kleszcze ujęła serce.

„Jedyny mój przyjaciel został oszukany i odszedł – pomyślał chłopiec. – Pustelnik wróci i...”

Zakończył głębokim westchnieniem i począł szamotać się w więzach tak zaciekle, że zrzucił wreszcie duszące brzemie owczej skóry.

W tej chwili posłyszał, że drzwi się otwarły. Skrzypnięcie ich mroziło go do szpiku kości. Wydało mu się, że czuje już nóż na gardle. Z wielkiego przerażenia zamknął powieki i wnet otworzył je z wielkiego przerażenia. Przed spętanym więźniem stali John Canty i Hugon.

Gdyby król mógł poruszyć szczękami, wyrzekłby niezawodnie:

– Bogu niech będą dzięki!

Po chwili jeniec uwolniony był z pęt, ci zaś, co go ujęli, spieszenie wlekli biedaka przez las, z obydwu stron mocno trzymając za ręce.

ROZDZIAŁ XXII

OFIARA ZDRADY

Znów z wagabundami i złoczyńcami wałęsał się „król Fu-Fu Pierwszy” – cel grubiańskich żartów i głupich drwin, czasami zaś (gdy Harap się odwrócił) ofiara mściwych kuksańców, które spadały nań z rąk Johna Canty i Hugona. Naprawdę nie cierpieli go tylko Canty i Hugon. Inni lubili biednego chłopca albo przynajmniej podziwiali jego dumę i odwagę. Przez dwa lub trzy dni Hugon, którego trosce i pieczy powierzono małego króla, czynił wszystko, aby wyrządzić mu jak najwięcej przykrości, wieczorami zaś, podczas tradycyjnych pijaństw, zabawiał kompanię kosztem swego pupila i poniewierał nim stale, lecz zawsze jak gdyby niechcący. Dwukrotnie nastąpił na nogę króla – oczywiście przez nieostrożność – on zaś, jak przystało monarszej dumie, nie raczył zauważyć zniewagi i przyjął ją z pogardliwym chłodem. Kiedy jednakże Hugon spróbował tej rozrywki po raz trzeci, król powalił go uderzeniem kija, ku serdecznej uciechu całej bandy. Pohańbiony tak wyrostek zapłonął gniewem i wstydem, zerwał się i chwyciwszy pałkę skoczył gwałtownie na małego przeciwnika. W tej chwili powstał krąg wokół gladiatorów, rozpoczęły się zakłady, zabrzmiały podburzające okrzyki. Ale biedny Hugon nie miał żadnych szans zwycięstwa! Zaciekle i niezdarne wymachiwanie pałką, na sposób walczącego terminatora, nie na wiele przydać się mogło w zapasach z ręką kształconą przez najpierwszych mistrzów Europy w walce drewnianym rapierem lub imitującą koncerz żerdką oraz we wszelkich sztuczkiach szermierczego kunsztu. Stojąc w pozie pełnej swobodnego wdzięku, baczny na wszystko mały król chwycił i parował grad potężnych razów, a czynił to tak sprawnie i lekko, że tłum niesfornych widzów szalał z podziwu. Kiedy zaś bystre oko wytrawnego szermierza dostrzeżało od czasu do czasu lukę i szybki jak błyskawica cios spadał niezwłocznie na czerep wyrostka, w stodole zrywał się taki huragan śmiechu i oklasków, że aż miło było słuchać. Nim upłynęło piętnaście minut, Hugon zemknął z pola zbity, posiniaczony i wydrwiony bez miłosierdzia. Rozbawiona tłuszcza porwała na ręce nie tkniętego zwycięzcę pojedynku i w triumfie poniosła go na honorowe miejsce u boku herszta, gdzie z wielką pompą koronowano bohatera na „króla Kogutów Bojowych”, zarazem zaś odwołano i unieważniono uroczyste poprzedni, szydery tytuł, grożąc banicją z szajki każdemu, kto od tej chwili poważy się nazwać nim młodego zucha.

Wszelkie wysiłki zmierzające do wykorzystania Edwarda z pożytkiem dla szajki nie wiodły do niczego, gdyż hardy chłopiec uparcie odmawiał usług, ba! przy lada sposobności próbował ucieczki. Pierwszego dnia po powrocie wpuszczono go do nie strzeżonej kuchni, on zaś nie tylko wrócił stamtąd z próżnymi rękoma, lecz na dobitkę czynił wszystko, by zaalarmować domowników. Wysłano go z kotlarzem, aby pomagał mu w pracy, król jednak nie chciał pracować, groził majstrowi jego własną kolbą lutowniczą, w rezultacie zaś prosta sprawa powstrzymania zwinnego chłopca od ucieczki zatrudniła na długo zarówno kotlarza, jak Hugona. Król ciskał gromy monarszego gniewu na głowy wszystkich, którzy ograniczali go w swobodach lub zmuszać próbowali do tych czy innych zajęć. Pod strażą Hugona wysłano go, aby żebrał wspólnie z jakąś niechlujną wiedźmą i schorowanym niemowłędem, wynik wszakże nie był zachęcający, gdyż buntownik oznajmił stanowczo, iż nie będzie prosił o jałmużnę i w ogóle nie chce mieć do czynienia z żebrakami.

Minęło kilka dni, a nędze włóczęgowskiego życia, jego trudy, brud, ohydne i wulgarne łostrostwo stopniowo i z dnia na dzień coraz bardziej dręczyły jeńca, który pojął wreszcie, iż ucieczkę spod noża pustelnika można w najlepszym razie uważać za chwilowe odroczenie wyroku śmierci.

Nocą, w marzeniach sennych, Edward zapominał o tych sprawach, zasiadał znów na tronie, znowu był władcą. Tym bardziej oczywiście cierpiał w chwilach przebudzenia i każdego poranka między powrotem do niewoli a walką z Hugonem udręki chłopca były srozsze i dotkliwsze.

Nazajutrz po owym pojedynku Hugon zbudził się z sercem wezbranym pragnieniem pomsty. Miał obmyślane dwa plany. Po pierwsze, chciał poniżyć niezłomnego ducha i „urojona” królewską godność osobliwego chłopca, po drugie zaś, gdyby pierwszy plan zawiódł, chciał obciążyć wroga taką lub inną zbrodnią, potem zaś wydać go zdradą w nieubłagane szpony prawa.

W związku z pierwszym swym planem miał zamiar „klejmem” naznaczyć nogę króla, słusznie bowiem mniemał, że pognębi go to i udręczy do najwyższego stopnia, kiedy zaś „klejmo” dojrzeje, będzie można przy pomocy Johna Cauty zmusić chłopca, aby na gościńcu wystawiał obrażenie na widok publiczny i błagał o jałmużnę. „Klejmem” zwano w złodziejskim żargonie sztucznie wywołany wrzód. W tym celu „operator” przyrządzał maść czy synapizm z niegaszonego wapna, mydła oraz rdzy zeszkrobanej ze starego żelastwa i nasmarowawszy tą mieszaniną kawał skóry, mocno przywiązywał do łydki „pacjenta”. Kataplazm taki spalał naskórek i dobywał na jaw ohydne żywe mięso. Następnie nogę mazano krwią, ta zaś po zupełnym wyschnięciu barwiła okolice rany na ciemny, obrzydliwy kolor. Po zabiegach tych wystarczyło nałożyć opatrunek z brudnych szmat, i to nałożyć go w sposób rozmyślnie niedbały, dzięki czemu okropna rana była widoczna i budzić mogła współczucie przechodnia.

Hugon zapewnił sobie pomoc kotlarza, któremu król wygrażał niegdyś jego własną kolbą, i obydwaj wzięli chłopca na włóczęgę, kiedy zaś oddalili się od biwaku szajki tak, że nie było ich stamtąd widać, przewrócili ofiarę i kotlarz trzymał ją, a Hugon sprawnie i mocno przywiązywał kataplazm do łydki.

Król szamotał się i kipiąc gniewem obiecywał, że każe powiesić swych oprawców, kiedy odzyska berło. Ale Hugon i kotlarz krzepko trzymali chłopca, bawili się jego bezowocną walką i drwili z gróźb lub przekleństw. Szarpanina trwała, dopóki nie zaczął działać synapizm, który wnet dokonałby kompletnego dzieła, gdyby nie wyłoniła się przeszkoda. Ale przeszkoda wyłoniła się, bo na scenę wkroczył nieoczekiwanie ów „niewolnik”, który wygłosił niegdyś mowę przeciw angielskiemu prawodawstwu, teraz zaś położył kres niecnemu przedsięwzięciu zrywając kataplazm i bandaże.

Król chciał pożyczyć od wybawcy pałkę i na miejscu przetrzepać kaftany dwóch łądaków, ale chłop odmówił stanowczo, twierdząc, że awantura mogłaby tylko przyczynić kłopotu, rozprawę zaś odłożyć wypada do wieczora, kiedy zgromadzi się cała kompania i nikt obcy nie poważy się wtrącić lub przeszkodzić. Potem „niewolnik” zaprowadził skłóconą trójkę do obozowiska i złożył odpowiednie sprawozdanie hersztowi. Ten wysłuchał wszystkiego, podumał trochę i oznajmił, że szaleńca nie należy zmuszać do zebrania, ponieważ jest bez wątplenia godzien czegoś lepszego i bardziej zaszczytnego. Powiedziawszy to Harap niezwłocznie awansował chłopca: przeniósł go z grupy żebraczej i przydzielił do kradzieży!

Hugon nie posiadał się z radości. Próbował już uczynić wroga złodziejem i próby się nie powiodły, lecz tym razem nie będzie oczywiście takich trudności, chłopiec nie ośmieli się bowiem zlekceważyć wyraźnego rozkazu wydanego mu bezpośrednio przez naczelnego wodza. Wobec tego Hugon chciał urządzić wyprawę tego jeszcze popołudnia, a w czasie tej wyprawy popchnąć towarzysza w łapy prawa. Zamierzał jednak uczynić to przemyślnie i stworzyć pozory przypadku, gdyż „król Kogutów Bojowych” był już popularny i szajka mogłaby potraktować nie nazbyt uprzejmie osobnika raczej niepopularnego, który dopuścił się zdrady tak haniebnej, jak wydanie towarzysza wspólnemu wrogowi – sprawiedliwości.

Wszystko układało się pomyślnie. We właściwym czasie Hugon ze swą ofiarą ruszył do pobliskiego miasteczka, gdzie bez pośpiechu przemierzali jedną uliczkę po drugiej. Hugon baczenie wyglądał sposobności, która pozwoli mu spełnić podły zamiar, król zaś nie mniej

baczenie wyglądał sposobności, która pozwoli mu uskoczyć na bok i raz na zawsze wyzwolić się z haniebnej niewoli.

Obydwaj odrzucali rozmaite niezłe na pozór sposobności, każdy z nich bowiem postanowił w tajnikach serca, iż tym razem działać musi „na pewniaka” i nie pozwoli gorącym pragnieniom uwikłać się w przedsięwzięcie, które groziłoby niepowodzeniem.

Wyczekiwana okazja trafiła się najprzód Hugonowi. Ukazała się jakaś kobieta z koszykiem i pękata paczką w koszyku. Niedobra radość zabłysła w oczach wyrostka, gdy szepnął do siebie:

– Ha, do stu diabłów! Dobra będzie robota, jeżeli zdołam mu to podrzucić. Wtedy niech już Bóg ma w swej pieczy „króla Kogutów Bojowych!”

Hugon czekał i obserwował. Na pozór był spokojny, lecz wewnętrznie drżał z podniecenia. Czekał, aż niewiasta przejdzie mimo i zbliży się wreszcie chwila zupełnie odpowiednia. Potem ozwał się stłumionym głosem:

– Czekaj tu, póki nie wrócę – a powiedziawszy to ruszył chyłkiem w ślad zdobywcy.

Radość przepęliła serce Edwarda, który sądził, iż tym razem wymknie się na pewno, jeżeli pościg odwiedzie Hugona na wystarczającą odległość.

Ale stało się inaczej, Hugon zaszedł niewiastę od tyłu, porwał paczkę i zawrócił owijając w biegu swą zdobycz starą derką, którą nosił przewieszoną przez ramię. Kobieta zaraz podniosła wrzask: – Łapaj złodzieja! – Zauważyła kradzież, bo koszyk zelżał nagle, choć oczywiście nie widziała rabusia. Nie zatrzymując się Hugon wetknął zawiniątko w ręce króla i warknął:

– Goń mnie teraz z innymi i krzycz: – Łapaj złodzieja! – ale bacz, abyś powiódł ich złą drogą!

W jednej chwili wyrostek dopadł węgła domu i pomknął krętą ścieżyną, niebawem zaś ukazał się znowu na ulicy i przystanął za słupem, skąd z niewinną i obojętną miną obserwować zaczął dalszy rozwój wydarzeń oraz ich wyniki.

Znieważony tak król rzucił na ziemię paczkę, a derka spadła z niej właśnie w chwili, gdy nadbiegła okradzona niewiasta i liczniejszy co chwila tłum depczący jej po piętach. Kobieta jedną dłonią chwyciła Edwarda za przegub ręki, drugą porwała swe zawiniątko i jęła obrzucać przekleństwami chłopca, który bez skutku próbował się wyrwać.

Hugon widział już dosyć: wróg został pojmany, prawo dostanie go teraz w łapy! Chichocząc z uciechy porzucił posterunek i krętym szlakiem ruszył wesoło w stronę obozowiska, układając po drodze prawdopodobną wersję tego przypadku, przeznaczoną dla szajki Harapa.

Król szamotał się dalej, wrywał z rąk kobiety i od czasu do czasu wołał z oburzeniem:

– Puść mnie, głupia niewiasto! Nie ja przecie okradłem cię z twej mizernej własności!

Tłum cisnął się wokół, wygrażając „złodziejowi”, miotając nań obelgi. Śniady kowal w skórzanym fartuchu i z rękawami zawiniętymi do łokci sięgnął po chłopca i zagroził, że dla nauki sprawi mu tęgie cięgi. W tej chwili drugi rapier błysnął w powietrzu i z przekonującą siłą spadł płazem na ramię kowala, a dziwaczny właściciel miecza ozwał się przyjacielskim tonem:

– Na Boga, zacni ludzie, postępujmy szlachetnie, bez czczych gniewów i złośliwych słów. Rzecz tę winno zbadać prawo, nie rozstrzygajmy jej prywatnie, nieoficjalnie. Puść chłopca, dobra niewiasto.

Kowal ocenił spojrzeniem krzepką postać wojaka i odszedł pomrukując coś pod wąsem i rozcierając ramię. Kobieta niechętnie uwolniła rękę chłopca. Tłum nieprzyjaznym wzrokiem mierzył obcego, lecz przezornie nie otwierał ust. Król skoczył żywo ku wybawcy; policzki pokraśniały mu, oczy zabłysły.

– Bardzo długo mitrężyłeś, rycerzu Milesie – zawołał – lecz przybywasz w samą porę! Posiekaj mi ten motłoch na strzępy!

ROZDZIAŁ XXIII

KRÓLEWICZ WIĘZNIEM

Hendon uśmiechnął się z przymusem, schylił i szepnął królowi do ucha:

– Ciszej, ciszej, królewiczu, rozsądniej obracaj językiem albo raczej nie obracaj nim wcale. Zaufaj mi, a wszystko skończy się pomyślnie.

Potem dodał w myśli:

„Rycerzu Milesie! Przebóg, do cna zapomniałem, iżem pasowany! Dziwne to, dziwne. Wielki Boże, jak kurczowo pamięć jego trzyma się dziwactw i tworów chorej wyobraźni!... Tytuł mój to mamidło bez treści i sensu, ale zyskanie go jest czymś mimo wszystko. Większy to chyba zaszczyt zasłużyć na godność widmowego rycerza w owym Królestwie Snów i Cieniów, niż zostać uznanym za człowieka wystarczająco podłego, by piastować godność hrabiego w niejednym z prawdziwych królestw na ziemi”.

Tłum rozstąpił się, aby przepuścić konstabla, który zbliżył się i miał właśnie położyć dłoń na ramieniu króla, gdy Hendon powiedział:

– Powoli, dobry przyjacielu, nie używaj raczej ręki. Chłopiec pójdzie z dobrej woli. Ja za to odpowiadam. Prowadź tedy, ruszymy twym śladem.

Konstabl z okradzioną niewiastą i jej tobołkiem otwierał pochód, Miles i król postępowali za nim, tłum zaś tworzył straż tylną. Monarcha był usposobiony buntowniczo, lecz Hendon rzekł doń przyciszonym głosem:

– Zastanów się, miłościwy panie! Prawa są zdrowym tchnieniem twego majestatu, czy źródło praw może je zatem negować, a zarazem żądać poszanowania ich przez krynice wypływające z tegoż źródła? Niewątpliwie jedno z twych praw zostało złamane, kiedy więc król zasiądzie znów na tronie, nigdy chyba nie sprawi mu przykrości myśl, iż w czasie gdy był na pozór osobą prywatną, lojalnie obrócił się w obywatela i poddał autorytetowi sądu.

– Słusznie prawisz, lecz nie mów nic więcej, a wnet obaczysz, iż w wypadku, w którym król Anglii domaga się od poddanego, aby cierpiał z woli prawa, sam chętnie ucierpi, gdy już znalazł się w pozycji poddanego.

Kobieta wezwana do złożenia zeznań przed sędzią pokoju zaprzysięgła, iż mały więzień stojący u kratki sądowych jest osobnikiem, który dopuścił się kradzieży. Ponieważ nie zgłosił się nikt, kto mógłby zadać kłam tym zeznaniom, wina króla była dowiedziona. Z kolei rozwinięto paczkę, kiedy zaś ukazała się jej zawartość – tłuste, pieczone prosię – sędzia zafrasował się srodze, Hendon zbladł, a ciałem jego wstrząsnął dreszcz zgrozy, tylko nieświadom konsekwencji chłopiec stał niewzruszony. Sędzia zadumał się i po wiele mówiącej pauzie zwrócił się do niewiasty z pytaniem:

– Ile, waszym zdaniem, warta jest ta skradziona własność.

Zapytana skłoniła się i rzekła:

– Trzy szylingi i osiem pensów, szlachetny panie. Gdybym opuściła choć jednego pensa, nie podałabym wartości zgodnie z sumieniem.

Sędzia zmierzył publiczność zatroskanym wzrokiem. Potem skinął na konstabla i rozkazał:

– Opróżnij sąd i zawrzyj drzwi!

Rozkaz został wykonany. W izbie sądowej zostało tylko dwu sług prawa, obwiniony, oskarżycielka i Miles Hendon. Ten ostatni stał sztywny i poblady. Na czole jego ukazywały

się wielkie krople zimnego potu, spływały, łączyły się ze sobą i strumyczkami ciekły po twarzy. Sędzia zwrócił się raz jeszcze do oskarżycielki i przemówił pełnym współczucia tonem:

– To biedny, nieoświecony chłopiec, być może srodze nękany głodem, bo czasy obecnie ciężkie są dla ubogich. Zważ tylko, że nie ma on złej twarzy, kiedy jednak głód nęka... Dobra niewiasto! Dowiedz się, iż każdy, kto skradnie cudzą własność wartą więcej niż trzynaście i pół pensa, ma być za to powieszony! Tak chce prawo!

Mały król zadrżał. Z wrażenia szeroko otworzył oczy. Pohamował się jednak i zachował spokój. Kobieta nie dokonała tej sztuki. Drżąc z przerażenia porwała się na nogi i zawołała:

– Ach, biada mi! biada! Cóżem uczyniła. Boże miłosierny! Za skarby świata nie chciała-bym powiesić tego biedaczka. Ach, ratujcie mnie, szlachetny panie! Cóż mam czynić? Cóż mogę uczynić?

Sędzia zachował sędziowską powagę i odparł rzeczowo:

– Niewątpliwie wolno ci skorygować wartość, jako że nie wpisano jej jeszcze do protokołu.

– Ach, na litość boską, oceńcie tedy proszę na osiem pensów i niechaj błogosławiony będzie dzień, który uwolni me sumienie od tego straszego brzemienia!

Z wielkiej uciechy Hendon zapomniał o wszelakich formach etykiety i zdumiał króla oraz zranił jego godność, bo porwał małego przyjaciela w ramiona i mocno przycisnął go do piersi. Wdzięczna sędziemu kobieta skłoniła się uprzejmie i wyszła ze swym prosięciem, a konstabl, otworzywszy oskarżycielce drzwi, pospieszył za nią do wąskiej sieni. Sędzia jął pisać coś w księdze protokołów. Hendon, czujny jak zawsze, pomyślał, iż warto by było się dowiedzieć, czemu to stróż prawa wyszedł za oskarżycielką? Wymknął się więc cichaczem do mrocznej sieni, zaczął słuchać i złowił uchem następującą rozmowę:

– Prosię jest tłuste i wygląda smakowicie. Kupuję je od ciebie. Oto osiem pensów.

– Aha, osiem pensów! Nie chcesz mnie chyba skrzywdzić? Prosię kosztowało trzy szylingi i osiem pensów w dobrych, uczciwych monetach z czasów ostatniego króla, których stary Henryk, co to niedawno umarł, nigdy nie naruszał ani żadnych szachrajstw nie robił. Figę dostaniesz za osiem pensów!

– Tak tedy wiatr wieje! Zeznawałaś pod przysięgą i zaprzysięgałaś krzywo, kiedyś rzekła, iż prosię warte jest osiem pensów. Chodź teraz ze mną, stań przed szlachetnym panem i ponieś karę za swą zbrodnię! A chłopak będzie wisiał.

– Cicho, cicho, serce moje! Nie mów nic więcej. Już dobrze, dobrze. Dawaj osiem pensów i nie rozgłaszaj owej sprawy.

Niewiasta odeszła z płaczem, natomiast Hendon wrócił chyłkiem do izby sądowej, a wnet za nim zjawił się tam konstabl, który ukrył wprzód zdobycz w jakiejś dziurze. Sędzia pisał jeszcze przez czas pewien, potem wygłosił do złodzieja światłą a dobrotliwą naukę i skazał go na krótki pobyt w areszcie gminnym oraz publiczną chłostę. Oburzony król otwierał już usta (chciał być może rozkazać, aby zacnego pana sędziego ścięto na miejscu i bez zwłoki), lecz zauważył ostrzegawczy znak Hendona i zamknął je, nim zdążył coś powiedzieć. Opiekun ujął chłopca za rękę, skłonił się sędziemu i ruszył śladem konstabla w kierunku aresztu. Kiedy znaleźli się na ulicy, płonący gniewem monarcha przystanął, wyrwał się przyjacielowi i krzyknął:

– Durniu! Czy wyobrażasz sobie, iż żywy wkroczę do aresztu gminnego?

Hendon nachylił się i rzucił dość surowym tonem:

– Może mi je d n a k zaufasz? Milczałbyś lepiej i ryzykownymi słowy nie pogarszał jeszcze naszej sytuacji. Będzie tak, jak Bogu się spodoba, ty zaś nie zdołasz nic przyśpieszyć ani odmienić. Czekaj tedy i bądź cierpliwy, a dość znajdziemy czasu, aby cieszyć się lub lamentować, gdy zdarzy się już to, co się ma zdarzyć.

ROZDZIAŁ XXIV

UCIECZKA

Krótki dzień zimowy zbliżał się ku końcowi. Na pustych uliczkach błąkało się niewielu tylko przechodniów, ci zaś spieszyli prosto przed siebie z zafrasowanymi minami ludzi, którym pilno załatwić ostatnie sprawy i ujść w domowe zacisze, aby schronić się tam przed potężniejącym wciąż wichrem i gęstniejącym mrokiem. Nie oglądali się oni w prawo ni w lewo, nie zwracali uwagi na naszą trójkę, a nawet zdawali się jej nie widzieć. Edward VI zadawał sobie pytanie, czy też widok króla kroczącego do więzienia był już kiedy przyjmowany z tak cudowną obojętnością? Niebawem konstabl wyszedł na opustoszały rynek i ruszył przezeń po przekątnej. Kiedy znalazł się na środku placu, Hendon położył dłoń na ramieniu sługi prawa i ozwał się przyciszonym głosem:

– Zaczekaj chwilę, zacny przyjacielu. Nikt nas tutaj nie podsłucha, a mam ci słów kilka do powiedzenia.

– Wzbrania mi tego obowiązek i noc się zbliża. Nie wstrzymujcie mnie, panie, jeśli łaska.

– Poczekaj jednak mimo wszystko, gdyż rzecz ona blisko cię obchodzi. Odwróć się na moment i udawaj, iż nic nie widzisz. Pozwól zbiec temu biednemu chłopcu.

– Mnieście to rzekli, panie! Aresztuję was w imieniu...

– Nie tak skoro! Nie tak skoro! Bacz na rozsądek i nie popełnij nierozważnego błędu... – Miles zniżył głos do szeptu i syknął w ucho konstabla: – Za prosie kupione kosztem ośmiu pensów możesz zapłacić gardłem, przyjacielu!

Biedny człeczyna zaskoczony zniecka stracił zrazu mowę, później zaś przypomniał sobie o języku, by zacząć błagować i grozić. Hendon był jednak spokojny i cierpliwie czekał, aż przeciwnikowi zbraknie tchu. Wówczas rzekł:

– Podobasz mi się, przyjacielu, niechętnym tedy okiem patrzyłbym na twe nieszczęście. Zważ, że wszystko słyszałem – wszystko! Mogę ci tego dowieść.

Tutaj powtórzył słowo w słowo rozmowę, która odbyła się w sądowej sieni pomiędzy konstablem a pokrzywdzoną niewiastą, na zakończenie zaś dorzucił:

– Cóż, gładko to chyba wywiodłem? Jeżeli więc nadarzy się okazja, równie gładko wywiodę wszystko przed obliczem sądu.

Konstabl oniemiał na chwilę ze strachu i zakłopotania, ale zebrał się w sobie i powiedział z wymuszoną swobodą:

– To się nazywa robić wielką sprawę ze zwykłej psoty. Dla rozrywki droczyłem się przecie z tą kumoszką.

– Czy dla rozrywki zatrzymałeś należące do tej kumoszki prosie?

Konstabl odparł stanowczo:

– Dla niczego więcej, szlachetny panie! Mówię wam, iż to był tylko żart.

– Ha, zaczynam ci wierzyć – odrzekł Hendon szczególnym tonem półszyderstwa. – Ale poczekaj chwileczkę, skoczę na jednej nodze i poradzę się w tej materii pana sędziego, bo to mąż obeznany niewątpliwie z prawem, z żartami, z...

Odchodził kończąc swą przemowę, a sługa prawa wahał się, przestępował z nogi na nogę, raz i drugi zaklął szpetnie, wreszcie zawołał:

– Hola! Hola, szlachetny panie! Zaczekajcie trochę, bo... bo... sędzia... Cóż, to człowiek, który na żartach zna się tyle co nieboszczyk. Zawróćcie, panie, a pomówimy dalej. Do licha.

W paskudną wplątałem się sprawę, i to przez głupią a niewinną pustotę. Jestem ojcem rodziny, a moja żona i maleństwa... Dajcie się przekonać, szlachetny panie! Czegóż ode mnie żądacie?

– Żądam jedynie, abyś był ślepy, niemy i sparalizowany przez czas, w którym rachując powoli, doliczyć można do stu tysięcy – powiedział Hendon tonem człowieka uprzejmie proszącego o drobną i słusznie należną przysługę.

– To śmierć moja! – pośępnie rzekł konstabl. – Ach, dajcie się przywieść do rozsądku, szlachetny panie! Zechciejcie pojąć, że to był tylko figiel, figiel bezsprzecznie i niewątpliwie. A jeśli nawet ktoś uwierzy, iż nie żartowałem, przewina jest taka błaha, że najsurowsza kara, na jaką zasługuję, to napomnienie i przestroga z ust pana sędziego.

Hendon odpowiedział z surową godnością, która jak gdyby zmroziła otaczające go powietrze:

– Ten twój figiel ma nazwę prawną. Wieszli, jakie to miano?

– Nic nie wiedziałem. Zapewne byłem bardzo nieroztropny! Przez myśl mi nie przeszło, że to może mieć nazwę prawną. Ach, wielki Boże, mniemałem, że to coś całkiem nowego.

– Tak. Żart twój ma swe miano. Prawo zbrodnię tę nazwało *Non compos mentis lex talionis sic transit gloria mundi*.

– Wielki Boże!

– I karą za ową zbrodnię jest ŚMIERĆ!

– Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!

– Korzystając z tego, iż biedna niewiasta zbłądziła i znalazła się w srogim niebezpieczeństwie, wyłudziłeś od niej rzecz wartą więcej niż trzynaście i pół pensa, a zapłaciłeś śmiesznie drobną sumkę. W mowie prawa nazywa się to rozmyślnym szalbierstwem, zatajeniem zdrady stanu, nadużyciem władzy *ad hominem expurgatis in statu quo*, karą zaś jest szubienica, bez zamiany na wykup, grzywnę i bez przywileju stanu duchownego.

– Wesprzyjcie mnie, ach, wesprzyjcie, dobry panie! Nogi odmawiają posłuszeństwa waszemu słudze. Zmiłujcie się, zlitujcie! Ocalcie mnie od klęski, a odwróć się zaraz i nie będę widział nic, co się wydarzy.

– To dobrze! Teraz mądryś jest i rozważny. Aha!... Oddasz prosię?

– Oddam, oddam, naprawdę! I nigdy nie tknę już innego, chociażby zesłały mi je niebiosy, a przyniósł archanioł! Umykaj! Przez wzgląd na ciebie ślepym jest, nie widzę nic zgoła. Powiem później, że wdarłeś się, przemocą uwiodłeś mi więźnia. Drzwi są stare, nędzne... Sam wyłamie je pomiędzy północą a świtem.

– Uczyni tak, zacna duszo, a nikomu nie wyrządzisz krzywdy. Sędzia potraktował nie-szczęsną dziecię tkliwie i miłosiernie. Mniemam, iż nie rozgniewa go ta ucieczka, że z jej przyczyny nie będzie lamentował i na pewno nie połamie kości klucznikowi.

ROZDZIAŁ XXV

HENDON HALL

Kiedy Hendon i król uszli wzroku konstabla, wojak polecił miłościwemu panu, aby udał się spieszenie w ustronne miejsce za miastem i zaczekał tam, póki on nie wróci z gospody, gdzie musi uregulować rachunki. W pół godziny później dwaj przyjaciele ochoczo zmierzali na wschód, trzęsąc się niemiłosiernie na lichych wierzchowcach Milesa. Królowi było teraz ciepło i wygodnie, zrzucił bowiem łachmany i odział się w używane szatki, kupione ongi przez przyjaciela na London Bridge.

Hendon umyślił chronić chłopca od przemęczenia, sądził bowiem, iż trudy podróży, niedosypianie i nieregularne posiłki źle wpłyną na obłąkany umysł, a odpoczynek, systematyczny rozkład dnia i umiarkowany ruch niewątpliwie przyspieszą ozdrowienie. Pocziwy wojak pragnął rychłego uleczenia ciężko doświadczonego pupila i tęsknił do chwili, gdy chorobowe złudy opuszczą wreszcie biedną, znękaną głowinę. Postanowił tedy powoli odbywać drogę i niewielkimi etapami zmierzać ku domowi (z którego był wygnany na tak długo), miasto ulegając nakazom niecierpliwości spieszyć bez wytchnienia dniem i nocą.

Kiedy Miles z królem ujechali mniej więcej dziesięć mil, przybyli do sporego miasteczka, gdzie stanęli na nocleg w porządnej gospodzie. Pomiędzy przyjaciółmi zapanowały znów dawne stosunki. Podczas obiadu Hendon stał za królewskim, krzesłem i posługiwał władcy, potem rozdział go z szat, gdy Edward chciał kłaść się do łóżka, sam zaś położył się na podłodze i owinięty derką legł do snu przed drzwiami.

Nazajutrz i dnia następnego Miles i Edward wlekli się niesporo, po drodze zaś mówili o przypadkach, które spotkały ich od chwili rozłąki, a każdy z nich wielką znajdował uciechę w opowieściach drugiego. Hendon prawił o swych długich wędrówkach w poszukiwaniu zguby oraz o tym, jak to archanioł wystrychnął go na dudka, długo prowadził po lesie i wreszcie przywiódł z powrotem do pustelni, gdy stwierdził, że nie zdoła pozbyć się natręta. Potem, staruch zajrzał do komory i chwiejąc się na nogach wyszedł stamtąd wielce zatroskany, miał bowiem nadzieję (jak powiadał), że chłopiec wrócił tymczasem i spokojnie legł na spoczynek, lecz, niestety, stało się inaczej. Hendon czekał w pustelni dzień cały, kiedy zaś utracił wiarę w powrót króla, ruszył na dalsze poszukiwania.

– A najświętobliwszy pośród świętobliwych starców naprawdę i szczerze bolał, iż miłościwy pan nie wrócił – ciągnął wojak. – Widać to było z wyrazu jego twarzy.

– Przebóg, nie wątpię o tym – rzekł król i opowiedział z kolei własne przygody, po wysłuchaniu których Hendon zmartwił się, iż nie uśmiercił archanioła.

W ciągu ostatniego dnia podróży Miles był w coraz to lepszym humorze. Nieustannie mełł językiem. Opowiadał o swym starym ojcu i bracie Arturze oraz wspominał mnogie wydarzenia świadczące o szlachetnych charakterach ojca i brała Artura. Czule i z zapalem prawił o swej Edycie i tak był uradowany, że z braterskim uczuciem potrafił mówić nawet o Hugonie. Nieraz rozwodził się nad spotkaniem, które nastąpi wkrótce w Hendon Hall. Cóż to będzie za niespodzianka! Ile wywoła radości, dziękczynnych modłów, nieopisanego szczęścia!

Okolica była piękna, usiana sadami i zagrodami, a gościniec wiódł przez rozległe pastwiska, których wielkie połacie sfałdowane łagodnymi wyniosłościami i dolinkami przywodziły na myśl wznoszenie się i opadanie falującego oceanu. Gdy minęło południe, powracający syn marnotrawny zbaczał wciąż z drogi, aby przekonać się, czy wyjechawszy na ten lub ów pagó-

rek, zdoła pokonać wzrokiem przestrzeń i dojrzeć zarys domu rodzinnego. A gdy powiodło mu się wreszcie, krzyknął z wielkim przejęciem:

– Tam jest miasteczko, miłościwy panie, a tuż koło miasteczka DWÓR! Widać stąd wieże, miłościwy panie, i ten tam gaik! To park ojcowy! Ach, teraz przekonasz się wreszcie, co znaczy przepych i dostatek! Pomyśl tylko! Dom o siedemdziesięciu komnatami! Dwudziestu siedmiu służby! Odpowiednie to lokum dla takich jak my, prawda? Hej, naprzód, jazda! Cierpliwość moja nie wytrzyma już zwłoki!

Wędrowcy spieszyli, jak mogli, lecz do miasteczka przybyli dopiero po trzeciej. Przemknęli jego uliczkami, a Hendon niestrudzenie obracał językiem:

– Oto kościół, pokryty tym samym co ongi bluszczem. Nie ubyło tego ziela ani go przybyło. Tam jest gospoda, stary „Czerwony Lew”, tam zasię rynek. Ha, oto Maik, a dalej studnia. Nic się nie zmieniło, nic, oprócz ludzi. Tak, dziesięć lat odmieniło ludzi... Wydaje mi się, że tych i owych poznaję, ale mnie nie poznaje nikt zgoła.

Hendon gwarzył nieustannie. Niebawem podróżni dotarli do skraju miasteczka i znaleźli się na krętej, wąskiej drożynie z obu stron wytyczonej wysokim żywopłotem. Szparko przemknęli pół milki i przez wspaniałą bramę, której okazałe kamienne filary zdobne były herbowymi znakami, wjechali w rozległy ogród kwiatowy. W głębi stał godny pałac.

– Witaj w Hendon Hall, królu mój i panie! – zawołał Miles. – Ach, to wspaniały dzień! W pierwszych chwilach radosnego spotkania mój rodzic i brat, i Edyta tak upojeni będą wielkim szczęściem, że dla mnie tylko znajdą słowa i spojrzenia. Może ci się wtedy wydać, iż chłodno zostajesz przyjęty. Lecz nie miej żalu. Wnet się to odmieni. Kiedy im powiem, jakoś mój syn przybrany i że tak wielką darzę cię miłością, przekonasz się, iż przez wzgląd na Milesa Hendona rychło przycisną cię do piersi i na zawsze dadzą ci miejsce w swym domu i sercach.

W tej chwili Hendon zsunął się z muła przed wysokimi drzwiami, pomógł zsiąść chłopcu i ująwszy go za rękę skoczył za próg. Kilka kroków zawiodło go do obszernej komnaty. Wszedł tam, usadowił na zydlu króla z większym pośpiechem niż etykietą i podbiegł do młodego mężczyzny, który siedział za stołem przed sutym ogniem z bierwion.

– Uściskaj mnie, Hugonie! – zawołał. – Powiedz, że cię raduje mój powrót do domu! I powiadom ojca, iż dom nie będzie dla mnie domem, póki nie dotknę rodzicielskiej dłoni, nie ujrzę twarzy, nie posłyszę głosu.

Hugon przez chwilę tylko nie mógł opanować zdumienia. Potem cofnął się i zmierzył intruza poważnym spojrzeniem – spojrzeniem, w którym zrazu było nieco urażonej godności. Wnet jednak wyraz oczu młodego mężczyzny zmienił się, jak gdyby pod wpływem nagłej myśli lub wewnętrzznego nakazu. Była w nim teraz ciekawość, zdziwienie i szczerze albo pozorne współczucie.

– Jak słyszę, rozum masz pomieszany, nieszczęsny wędrowcze – powiedział Hugon cichym łagodnym tonem. – Cierpiałeś niewątpliwie biedę i srogie otrzymałeś razy z ręki losu. Wskazuje na to wygląd twój i ubiór. Za kogo uważasz mnie, przyjacielu?

– Za kogo cię uważam? Ha, tylko za tego, kim jesteś. Uważam, cię za Hugona Hendona – odparł gniewnie Miles.

– Kim tedy wyobrażasz sobie, iż sam jesteś? – ciągnął Hugon tonem równie łagodnym jak poprzednio.

– Wyobraźnia nie ma tu nic do rzeczy! Czy chcesz udawać, że nie poznajesz we mnie brata, Milesa Hendona?

Wyraz przyjemnego zdziwienia rozjaśnił lica młodego mężczyzny, który zawołał:

– Co takiego! Nie żartujesz? Czy zmarli mogą być wróceni życiu? Bogu chwała, jeżeliś rzekł prawdę? Biedny, kochany chłopiec wraca na rodziny łono po tylu długich i żalonych latach! Ach, zdaje się to zbyt piękne, by mogło być prawdą! To jest zbyt piękne, by mogło być prawdą! Miej litość nade mną i błagam, nie żartuj tak okrutnie. Chodźmy do światła! Prędko! Niechaj przyjrzę ci się lepiej.

Hugon chwycił Milesa za ramię, pociągnął do okna, tam zaś zaczął go pochłaniać oczyma od stóp do głów, obracać w tę i ową stronę, żywo obchodzić z rozmaitych stron, aby dokładnie przyjrzeć się gościowi. Wracający w domowe progi syn marnotrawny nie posiadał się z radości, uśmiechał się, śmiał głośno, potrzasał głową i rozprawiał:

– Dalej, bracie, śmiało! Dalej! Niczego się nie obawiaj, bo nie znajdziesz we mnie nic, co zwycięsko nie wytrzyma próby. Oglądaj, badaj mnie, jak długo zechcesz, kochany, stary Hugonku! Jam przecie twój dawny Miles, twój zaginiony brat, prawda? Ach, cóż to za szczęśny dzień! Tak! Mówiłem już, że to dzień wspaniały! Daj no mi rękę! Daj gęby! Ach, umrzeć można od takiego szczęścia!

Miles chciał rzucić się w objęcia brata, lecz Hugon podniósł dłoń, jak gdyby pragnął go powstrzymać, i żałośnie zwiesiwszy głowę na piersi, westchnął boleśnie:

– O Boże miłosierny, dodaj mi sił, ażebym znieść zdołał ten bolesny zawód!

Zdumiony Miles utracił na chwilę mowę, a odzyskawszy ją, wykrzyknął:

– Z a w ó d ! Azalim nie brat twój? Hugon smutno pokręcił głową.

– Zasyłam do niebios modły – rzekł – aby stwierdziły to inne oczy, które dojrzą, być może, niewidoczne dla mnie podobieństwo. Obawiam się, niestety, iż list ów szczerą doniósł prawdę.

– Jaki list!

– List zza morza. Nadszedł sześć lub siedem lat temu. Było w nim, iż brat mój padł na polu chwały.

– To łgarstwo! Przyzwij ojca. On mnie przecie pozna!

– Nie można przyzwać umarłego.

– Umarłego! – głos załamała się wojakowi, wargi zadrżały. – Rodzic mój nie żyje! Straszna wieść! Wniwecz obraca połowę świeżej mej radości! Przywołaj tedy, proszę, naszego brata, Artura. Artur mnie pozna; pozna i pocieszy.

– On też nie żyje.

– Boże, bądź miłościwy człękowi ciężko doświadczonemu! Umarli!... Obydwaj umarli! Zagni odeszli, a oszczędzonym za to ja, niegodny! Ach, błagam cię o litość! Nie powiedz mi tylko, jako lady Edyta...

– Umarła? Nie. Ona żyje.

– Chwała bądź Bogu! Znowum jest szczęśliwy. Spiesz, spiesz, mój bracie! Przywiedźże ją do mnie! Jeżeli ona powie, iż nie jestem sobą... Ale nie powie tego! Ach, Edyta mnie pozna! Szalony byłem, iżem śmiał w to wątpić. Przyrowadź ją i sługi stare. Oni też mnie poznają.

– Wszyscy pomarli. Zostało tylko pięcioro: Piotr, Halsey, Dawid, Bernard i Małgorzata.

Powiedziawszy to Hugon opuścił komnatę. Miles zadumał się. Przez czas pewien stał bez ruchu, następnie począł przechadzać się tam i z powrotem.

– Pięcioro arcyłotrów przeżyło dwadzieścia i dwoje zacnych i poczciwych. Dziwne, dziwne rzeczy – pomrukiwał pod wąsem.

Przechadzając się po komnacie i półgłosem rozmawiając ze sobą Miles zupełnie zapomniał o królu. Niebawem jednak miłościwy pan odezwał się tonem poważnym i szczerze współczującym, choć treść słów jego mogłaby uchodzić za drwiny.

– Nie frasuj się swym przypadkiem, zacny rycerzu. Świat nie uznaje również tożsamości innych osób i lekce sobie waży ich roszczenia. Masz tedy towarzystwo.

– Ach, miłościwy panie – zawołał Hendon i zacerwienił się lekko – nie potępiajcie mnie skoro, lecz zaczekajcie lepiej, a dowiedzie się prawdy. Jam nie oszust i ona to powie. Usłyszycie to z najśłodszych ust w Anglii. Ja mam być oszustem! Ten stary dwór, portrety moich przodków i wszystkie sprzęty stojące tu wokół znam nie gorzej, niż dziecię zna swoją komnatkę. Tutaj się urodziłem. Tutaj mnie chowano. Powiadam prawdę. Wam nie kłamałbym przecie, miłościwy panie. A jeżeli nikt inny nie da mi wiary, błagam, abyście wy chociaż nie wątpili, bo tego strzymać bym nie zdołał!

– Nie zwątpię w ciebie – odrzekł król z dziecięcą prostotą i ufnością.
– Dzięki ci z głębi serca! – wykrzyknął Hendon z zapalem dowodzącym szczerego wzruszenia.

– A czyś ty zwątpił we mnie? – dodał chłopiec z taką samą jak wprzód łagodną prostotą.

Hendon stropił się jak winowajca i szczerze był zadowolony, że mógł uniknąć odpowiedzi, w tejże bowiem chwili otwarły się drzwi i do komnaty wkroczył Hugon.

Za Hugonem ukazała się piękna, bogato przystrojona dama, za nią zaś kilkoro służby w dworskiej barwie. Dama szła powoli. Głowę miała schyloną, twarz niezmiernie smutną. Wzrok utkwiała w ziemi. Miles Hendon podskoczył do niej i zawołał:

– Ach, Edyto, moja najmil...

Ale Hugon powstrzymał go rozkazującym gestem i rzekł:

– Spójrz nań. Znaszli tego człeka?

Na dźwięk głosu Milesa niewiasta drgnęła lekko, zapłonęły jej lica; teraz wszakże znowu była zgnębiona. Przez chwilę stała niema, po tej zaś wiele mówiącej pauzie powoli uniosła czoło i spojrzała w oczy intruza kamiennym, trwożnym wzrokiem. Kropla po kropli krew odpływała z jej twarzy, na której nie pozostało wreszcie nic prócz popielatej, śmiertelnej bladeści.

– Nie znam go – wyrzekła dama głosem równie grobowym jak jej lica i odwróciwszy się z jękiem i stłumionym szlochem wybiegła z komnaty.

Miles Hendon padł na zydeł i ukrył twarz w dłoniach. Wówczas brat jego zwrócił się do służby:

– Przyjrzelście się temu człowiekowi? Czy jest wam znany?

Zapytani przecząco pokręcili głowami, a pan ich rzekł:

– Służba nie zna was, panie. Obawiam się, iż to jakieś nieporozumienie. Jakaście sami widzieli, nie poznała was również moja żona.

– Twoja żona!

W jednej chwili Hugon został przyparty do ściany, a gardziel dławił mu żelazny uścisk.

– Ach, ty niewolniku o lisim sercu! Teraz pojąłem wszystko! Sam napisałeś ów list kłamliwy! W zysku przypadła ci moja ukradziona narzeczona i moje dobra! Precz teraz, abym nie pohańbił uczciwej, wojackiej ręki krwią takiego jak ty niecnoty!

Poczerwieniały, zduszony Hugon zatoczył się na najbliższe karło i kazał służbie chwycić, pętać napastnika. Pachołkowie zawahali się, a jeden z nich powiedział:

– On jest zbrojny, rycerzu Hugonie, my zaś nie mamy oręża.

– Zbrojny jest? Cóż stąd, gdy was taka kupa! Rozkazuję! Hejże na niego!

Miles poradził im jednak, aby działali ostrożnie, potem zaś dodał:

– Znany wam z dawnych czasów i nie odmieniłem się wiele. Chodźcie tu, jeśli wola!

Przypomnienie to nie dodało ducha pachołkom, którzy woleli pozostać na miejscu.

– Precz tedy, nędzni tchórze! Weźcie oręż i strzeżcie drzwi, dopokąd nie wezwę tu straży – zawołał Hugon, a odwróciwszy się w progu, rzekł do Milesa: – Tobie zaś na korzyść wyjdzie, jeśli zaniechasz próżnych prób ucieczki.

– Ucieczki? O to możesz być spokojny. Nie martw się. Miles Hendon jest panem Hendon Hall i wszystkiego, co we dworze tym się znajdzie. Nie wątpisz chyba, że Miles Hendon zostanie w swoim domu.

ROZDZIAŁ XXVI

WYDZIEDZICZONY

Król siedział przez kilka minut zadumany, potem zaś uniósł wzrok i powiedział:

– To dziwne, bardzo dziwne. Trudno mi uwierzyć.

– Nie, to wcale nie dziwne, miłościwy panie. Znam go i te postęпки zgoła są zwyczajne. Od urodzenia był łajdakiem.

– Ach, rycerzu Milesie, nie mówię o tym człeku.

– Nie o nim? O czym tedy? Cóż jest bardzo dziwne? – To, że króla nie brak nikomu.

– Co? Jak? Wydaje mi się, że nie mogę pojąć.

– Doprawdy! Czy nie uderza cię fakt wielce niezwykajny, że kraj nie roi się od szukających mnie gońców, że nie ma proklamacji, które opisują mą osobę? Zniknąłem, przypadłem! Zginęła głowa państwa. Wydarzenie takie winno być chyba przyczyną trosk i niepokoju.

Hendon westchnął i mruknął do samego siebie:

– Biedna, szalona wyobraźnia, wciąż jedynie własnymi zwidami zajęta.

– Mam wszelako plan, który obydwu nam przywróci prawa. Napiszę list w trzech językach – po łacinie, po grecku i po angielsku – a ty jutro z rana co tchu powiesz go do Londynu i nie oddasz nikomu, kromie mojego wuja, lorda Heatforda. Kiedy on ujrzy ten dokument, będzie wiedział wszystko, powie więc, że ja list pisałem, i rychło po mnie przyśle.

– Czy nie najrozumniej, miłościwy panie, zostać tu i poczekać, pokąd nie dowiodę, ktom zasz, i nie umocnię praw do dziedzicznych włości. Wówczas będzie mi o wiele łatwiej...

Król przerwał władcym tonem:

– Zamilcz! Czymże są twoje nędzne włości i błahe zabiegi w porównaniu ze sprawą, od której zależy szczęście narodu i powaga tronu? Posłuchaj mnie, porzuć obawy – dodał łagodniej, jak gdyby przykro mu się zrobiło z powodu takiej surowości. – Przywrócę ci prawa, odzyskasz wszystko, ba! więcej niż wszystko. Ja dobrze zapamiętam i odpłacę.

Powiedziawszy to chłopiec ujął pióro i zabrał się do pracy. Hendon spoglądał nań przez chwilę tkliwym wzrokiem, potem zaś rzekł do siebie:

– Gdyby było ciemno, pomyślałbym, iż w rzeczy samej król przemówił. Trudno zaprzeczyć, że gdy nawiedzą go humory, grzmi i sroży się niczym prawdziwy monarcha. Ciekawe, gdzie się tego wyuczył? Oto męczy się i skrzypi piórem, gryzmołąc pogodnie kulfony bez znaczenia, a wyobraża sobie, że to łacina lub greka. Ha! Jeżeli spryt mi nie dopisze i nie podszeptnie jakiegoś fortelu, dzięki któremu odwiode miłościwego pana od wielkich zamierzeń, będę musiał jutro udawać, że ruszam w tę wariacką drogę, którą dla mnie wymyślił.

Wnet powrócił myślami do wydarzeń ostatniej doby i tak głęboko utonął w zadumie, że gdy król wręczył mu napisany list, biedak przyjął ten dokument i schował do kieszeni nie wiedząc, co czyni.

– Ona zachowała się zdumiewająco, zaiste zdumiewająco! – mruczał do siebie. – Sądzę, że mnie poznała, zarazem jednak sądę, że mnie nie poznała. Sądy te (widzę jak na dłoni) kolidują ze sobą, nie mogę więc ich pogodzić, lecz nie potrafię również drogą rozumowania pozbyć się żadnego z nich albo nawet jednemu zapewnić przewagi nad drugim. Cała kwestia tak się przedstawia: Edyta musiała poznać moją twarz, postawę, głos, bo inaczej przecie być nie mogło. Atoli powiedziała, iż mnie nie poznaje, co uchodzić winno za dowód niezbity, jako że ona nie potrafi kłamać. Lecz, hola! Zdaje mi się, że coś wreszcie świta! Może to on wywarł

na nią wpływ, przykazał jej przeczyć, zniewolił do kłamstwa? Tak! Znalazłem rozwiązanie! Zagadka się wyjaśnia! Widać było, że ona obumiera z trwogi, że działa pod przymusem. Trzeba ją odszukać, odnaleźć, a pod jego nieobecność Edyta powie prawdę szczerze i otwarcie. Przypomni sobie dawne lata, gdy jako dzieci igraliśmy razem. Wspomnienia ułagodzą jej serce i Edyta nie zdradzi mnie więcej, lecz wszystko wyzna. W żyłach jej niej płynie krew zdradziecka. Ach, nie! Zawsze była prawdomówna i uczciwa. Za owych dni minionych miłowała mnie przecie, w tym więc widzę swe gwarancje, bo nie można chyba zdradzić kogoś, kogo się niegdyś kochało!

Szparko ruszył w stronę drzwi, ale otwarły się w tej właśnie chwili i do komnaty weszła lady Edyta. Była bardzo blada, lecz stąpała pewnym krokiem, a postać jej tchnęła wdziękiem i łagodnym dostojeństwem. Twarz miała równie smutną jak uprzednio.

Miles podskoczył ku niej z radosną ufnością, stanął jednak jak wryty, gdy dama powstrzymała go ledwie dostrzegalnym gestem. Edyta usiadła, poprosiła Hendona, by zechciał uczynić to samo. W taki to prosty sposób wyzuła go z uczuć dawnego koleżeństwa i odmieniła w nieznanego, przypadkowego gościa. Zaskoczony tą zdumiewającą niespodzianką Miles sam zwątpił na chwilę, czy naprawdę jest osobą, za którą się uważa.

– Przybyłam tu, aby ostrzec was, panie – rzekła lady Edyta. – Człowieka szalonego nie można ponoć perswazjami wyzwolić z uludy, niezawodnie jednak można mu wytłumaczyć, iż winien unikać zguby. Jak tuszę, wasze majaki, panie, mają dla was pozór szczerzej prawdy, nie są więc karygodne. Lecz nie marudźcie dłużej, nie prawcie tutaj o swych urojonych prawdach, bo to miejsce dla was niebezpieczne.

Przez chwilę spoglądała wymownie w twarz Milesa, potem zaś dorzuciła z naciskiem:

– Tym bardziej niebezpieczne, że wielceście podobni do mężczyzny, na jakiego musiałby wyrosnąć nasz zaginiony chłopiec, gdyby dożył męskiego wieku.

– Na Boga, pani! Jestem wszak tym chłopcem.

– Wierzę głęboko, iż naprawdę tak mniemacie. Bynajmniej nie powątpiewam o waszej uczciwości. Ostrzegam tylko i nic więcej. Małżonek mój jest panem tych okolic, a władza jego prawie nie zna granic. Zależnie od jego woli ludzie zdobywają fortuny lub konają z głodu. Gdybyście nie byli podobni do osoby, którą się mienicie, on pozwoliłby wam zapewne bawić się spokojnie złudnymi marzeniami. Ale, uwierzcie mi, panie, ja znam go dobrze i wiem, co uczyni. Rozgłosi wszystkim, żeście szaleniec, oszust, a wszyscy odpowiedzą zgodnie niczym echo.

Po raz wtóry zmierzyła Milesa wiele mówiącym wzrokiem i podjęła:

– Gdybyście byli naprawdę Milesem Hendonem, gdyby wiedział to on, gdyby wiedziała cała okolica... Baczcie pilnie, co mówię, i rozważcie dobrze... Groziłoby wam, panie, równe niebezpieczeństwo, a kara, która was spotka, byłaby nie mniej pewna. Nawet wówczas z pewnością wyparłby się was i oskarżył – nikt zaś nie zdobyłby się na tak wiele męstwa, ażeby bronić waszej sprawy.

– A wierzę, mocno wierzę – rzekł Miles z goryczą. – Moc, która może nakazać jednemu z wiernych od kolebki druhów zdradzić i wyprzec się drugiego, która zdolna jest nakazać to i zyskać posłuch, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zyska również posłuch tam, gdzie stawką jest chleb i żywot, nie zaś wiotka niby pajęczyna więź przyjaźni i honoru.

Delikatny rumieniec ubarwił przelotnie policzki damy, która spuściła wzrok ku ziemi, rychno jednak podjęła obojętnym tonem:

– Ostrzegłam już was, panie, i jeszcze raz ostrzegam. Uchodźcie stąd albo ten człowiek was zniszczy. To tyrali nie znający miłosierdzia. Najlepiej wiem o tym ja, jego skowana niewolnica! Biedny Miles i Artur, i mój umiłowany opiekun rycerz Ryszard wyzwolili się od niego, a prawdę rzekłszy, lepiej by wam było z nimi niż tutaj w szponach owego nędznika. Roszczenia wasze zagrażają jego tytułowi i majątności; napastowaliście go w jego własnym domu. Biada wam, panie, jeśli tu pozostaniecie. Umykajcie, nie mitręczcie dłużej! Jeżeli brak

wam pieniędzy... oto kiesa... Weźcie ją, błagam, i przekupcie służbę, aby wam nie wzbronila przejścia. O, nieszczęsny! Skorzystaj z przestrogi i umykaj! Umykaj, póki pora!

Dumnym gestem Miles odtrącił kiesę. Podniósł się z zydła, stanął przed lady Edytą.

– Uczyń dla mnie tylko jedno – powiedział. – Zechciej mi spojrzeć prosto w oczy, abym mógł wiedzieć, czy nie spuścisz wzroku. O, tak! A teraz odpowiadaj. Azalim ja Miles Hendon?

– Nie. Ja was nie znam.

– Przysięgnij!

– Przysięgam – odparła cicho, lecz wyraźnie.

– Boże! To nie do wiary!

– Uchodź! Czemu trawisz cenne chwile! Uchodź! Ratuj się!

W tej chwili konstable wpadli do komnaty. Wywiązała się zaciekle walka, w której Hendon uległ wnet i został wywleczony za próg. Króla ujęto również i obydwu odprowadzono w pętach do więzienia.

ROZDZIAŁ XXVII

W WIĘZIENIU

Ponieważ wszystkie cele były zapełnione, dwaj przyjaciele, przykuci do ściany łańcuchami, pozostali w obszernej izbie, gdzie trzymano zazwyczaj osoby obwinione o błahe przestępstwa. Nie brakło im towarzystwa, bo zastali tam nieprzystojną i hałaśliwą bandę dwadzieściora lub więcej więźniów płci obojga i rozmaitego wieku, spętanych kajdanami albo jak oni zakutych w łańcuchy. Król zżymał się na tak niesłychaną obrazę swego majestatu. Hendon natomiast był posepny i milczący. Oszołomił go zupełnie taki rozwój wydarzeń. Do domu wracał jako triumfujący syn marnotrawny i spodziewał się, że będzie witany radośnie. Tymczasem znalazł lodowaty chłód i więzienie. Nadzieja i rzeczywistość różniły się niezmiernie, a różnica ta potężny wywarła skutek. Miles nie potrafił zdecydować, czy to straszliwa tragedia, czy ohydna farsa, i czuł się mniej więcej tak, jak człowiek, którego nagle grom poraził, gdy napawał się widokiem tęczy.

Stopniowo jednak wir bolesnych myśli uspokoił się i uporządkował jako tako, a wówczas myśli te skupiły się wokół Edyty. Miles głowił się nad jej postępowaniem i rozpatrywał je w tym lub innym świetle, lecz nic właściwie nie mógł wyrozumieć. Poznała go czy nie poznała? Ta dręcząca zagadka długo zaprzętała głowę więźnia, który doszedł wreszcie do wniosku, że Edyta poznać go musiała, lecz zaprzeczyła ze względu na interes osobisty. Zapragnął wówczas obrzucić jej imię klątwami, lecz nie potrafił zmusić się do takiego bluźnierstwa, gdyż imię to przez lat wiele było dlań świętością.

Owinięci w brudne i podarte derki więzienne Hendon i król spędzili noc wielce niespokojną. Za łapówkę klucznik zaopatrzył kilku więźniów w trunki, co oczywiście było przyczyną bezecnych śpiewek, wrzasków, bójek, pijatyki. Wreszcie, rychło po północy, jeden z mężczyzn napadł na jakąś kobietę i nim klucznik pospieszył z pomocą, omal nie zabił jej ciosami kajdanków. Dozorca przywrócił ład, uderzeniami pałki obsypując głowę i ramiona napastnika, rozgardiasz tedy ustał i zasnąć mogli ci wszyscy, którym nie przeszkadzały skargi i jęki dwojga pobitych.

W ciągu następnego tygodnia wydarzenia dni i nocy jednostajne były i do siebie podobne. Za dnia przychodzili rozmaici ludzie, których twarze Hendon pamiętał lepiej lub gorzej, aby przyjrzeć się „oszustowi”, wydrwić go albo zelżyć. Nocami zaś powtarzały się stale podobne wciąż pijaństwa i niesnaski. Wreszcie jednak zdarzyło się coś odmiennego. Pewnego dnia klucznik przywiódł sędziwego starca i powiedział doń:

– Hultaj jest w tej izbie. Rozejrzyj no się wokół starymi ślepiami i obacz, czy rzec zdołasz, który to z kompanii.

Hendon podniósł wzrok i doświadczył miłego wrażenia, po raz pierwszy od chwili, gdy przestąpił progi więzienne.

– To czarny Andrzej – mruknął pod wąsem – przez całe życie sługa rodziny ojca, zacny, porządny człowiek o uczciwym, sercu w piersi. Taki był niegdyś, lecz teraz nikomu nie należy ufać, bo ludzie kłamią. I ten mnie pozna, a potem się zaprze tak, jak to wprzód uczynili inni.

Starzec rozglądał się po izbie, jedną po drugiej badał wszystkie twarze, wreszcie powiedział:

– Widzę tu tylko drobnych złodziejasków, śmiecie uliczne. Który to z nich będzie?

Klucznik wybuchnął śmiechem:

– Onże – zawołał. – Rzuć okiem na tę roslą bestię i rzeknij swoje zdanie!

Dziad zbliżył się, długo i uważnie oglądał Hendona, potem zaś potrząsnął głową i powiedział:

– Na Boga! To nie żaden Hendon i nigdy być nim nie mógł.

– Słusznie! Stare oczy nieźle jeszcze widzą. Gdybym ja był rycerzem Hugonem, wziąłbym za kark tego obszarpańca i...

Dozorca zakończył zdanie pantomimą: stanął na palcach, jak gdyby uniósł go urojony powróż i zagulgotał niby człek dławiony.

– Niechaj dziękuje Bogu, jeśli nie spotka go los sroższy – mściwie dorzucił stary sługa Hendonów. – Gdybym ja miał się zająć tym łajdakiem, upiekłbym go żywcem albo nie byłbym prawdziwym mężczyzną.

Dozorca zachichotał miłym śmiechem hieny i powiedział:

– Hej, stary! Powiedz no mu kilka słów prawdy. Nie żałuj sobie! Rozerwij się trochę.

Z tymi słowy ruszył w stronę sieni i wyszedł z izby.

Starzec padł na kolana i szepnął:

– Bogu niechaj będzie chwała, iżście powrócili, szlachetny panie. Siedem lat temu uwieżyłem w wasz zgon, a otoście caży i zdrowy. Poznałem was od pierwszego wejrzenia, alem nie skąpił trudu i potrafiłem zachować kamienne oblicze. Udałem z powodzeniem, iż nie widzę tu nikogo prócz złodziejasków za trzy grosze i ulicznych mętów. Stary jestem i ubogi, rycerzu Milesie, lecz rzeknijcie tylko słówko, a wyjdę stąd i wszem rozgłoszę waszą sprawę, choćbym miał za to dyndać.

– Nie – odparł Hendon. – Tego nie uczynisz. Zginałbyś niechybnie, a niewiele pomógł mojej sprawie. Ale dzięki ci za to, iżeś wrócił mi nieco utraconej wiary, wiary w nasz ród człowieczy.

Od tej pory stary sługa był wielce użyteczny obydwu przyjaciółom, gdyż zaglądał kilka razy dziennie, aby „lżyć oszusta”, i zawsze przemycał takie lub inne przysmaki, którymi uzupełniał wikt więzienny, zarazem zaś znosił świeże wiadomości. Miles dla króla chował smakołyki, bo bez nich miłościwy pan nie przeżyłby zapewne ciężkiej próby, jako że przelknąć nie mógł prostej, ohydnej stawy podawanej więźniom przez klucznika. Andrzej ograniczać się musiał do krótkich wizyt, nie chciał bowiem budzić podejrzeń, za każdym jednak razem potrafił udzielić sporej garści nowin – nowin szeptanych cicho i przeznaczonych dla Hendona, pomieszanych zaś ze znacznie głośniejszymi wyzwickami przeznaczonymi dla reszty słuchaczy.

Tak więc powoli, pomału dobywały się na jaw rodzinne dzieje. Artur umarł przed sześcioma laty. Strata owa wraz z brakiem wieści o Milesie podkopała zdrowie ojca, który mniemał, iż rychło odejdzie ze świata, pragnął więc, aby przed jego zgonem Hugon z Edytą wspólne rozpoczęli życie. Ale Edyta kornie błagała o zwłokę, miała bowiem nadzieję, że Miles wróci. Potem nadszedł ów list, który przyniósł wiadomość o śmierci wojaka. Nowy cios do cna pogiębił rycerza Ryszarda. Nie wątpił on już wtedy, iż niebawem umrze, i wraz z Hugonem mocno przynaglać jął do ślubu, Edyta wyprosiła wszakże miesiąc zwłoki, następnie drugi i trzeci. Wreszcie zaślubiny odbyły się u łoża śmierci rycerza Ryszarda. Nie było to szczęśliwe małżeństwo. W okolicy opowiadano szeptem, że wkrótce po zaślubinach młoda małżonka odkryła w papierach rycerza Hugona kilka brulionów fatalnego listu i zarzuciła mężowi, iż niecnym fałszerstwem przyspieszył nie tylko swe małżeństwo, lecz również śmierć rodzica. Wiele krążyło opowieści o srogim traktowaniu lady Edyty i służby, gdyż po śmierci ojca rycerz Hugon bez ceremonii zrzucił obłudną maskę łagodności i został okrutnym, tyrańskim władcą wszystkich, którzy w ten lub inny sposób dla chleba odeń albo od jego włości zależeli.

Części znoszonych przez starego Andrzeja plotek król słuchał również z żywym zainteresowaniem.

– Krażą pogłoski, że król jest szalony. Ale na litość boską, nie powiadajcie, iż wiecie to ode mnie, bo jak mówią, rozmowa taka kosztować może życie.

Miłościwy pan spojrzał surowo na starca i przemówił:

– Król nie oszalał, dobry mój człowieku, a na korzyść ci wyjdzie, jeżeli zajmiesz się sprawami, które bliżej cię obchodzą niżli ta nielejalna paplanina.

– O co temu chłopcu chodzi? – zapytał Andrzej zdziwiony tak gwałtowną i niespodziewaną napaścią.

Hendon dał mu znak, wobec czego starzec przestał pytać i podjął swą relację:

– Starego króla pogrzebią w Windsorze za dni parę, szesnastego tego miesiąca, a nowego ukoronują w Westminsterze dwudziestego.

– Jak sądzę, muszą go wprzódę znaleźć – wtrącił miłościwy pan, po chwili zaś dodał poufnym szeptem:

– Będą się o to starać, a i ja się postaram.

– Na miłosierdzie...

Starzec nie dokończył zdania, lecz powstrzymany wymownym gestem Hendona wrócił do ploteczek:

– Rycerz Hugon jedzie na koronację, i to jedzie z wielkimi nadziejami. Spodziewa się wrócić z godnością para, bo w znacznych jest ponoć łaskach u Lorda Protektora.

– Jakiego Lorda Protektora? – zdziwił się miłościwy pan.

– Jaśnie oświeconego księcia Somerset.

– Jakiego znowu księcia Somerset?

– Na Boga, jeden jest tylko Somerset, lord Hertford.

Król zapytał surowo:

– Od kiedyż to on jest księciem i Lordem Protektorem?

– Od ostatniego dnia stycznia.

– A któż, za pozwoleniem, nadał mu owe godności?

– On sam i Wielka Rada z aprobatą króla.

Miłościwy pan gwałtownie porwał się z miejsca.

– Króla! – zawołał. – Jakiego króla, zacny człecze?

– Dobrze sobie! Jakiego króla! (Wielki Boże, o co właściwie chodzi temu chłopczkowi?)

Ponieważ mamy tylko jednego króla, nietrudno odpowiedzieć na twoje pytanie. Mówiłem o najmiłociwiej nam panującym królu Edwardzie VI, którego oby Bóg miał w swojej pieczy! Ach, jakież to łaskawy, miłosierny młodzik! Nie wiem, czy jest szalony, czy zdrowy. Bóg z nim! Powiadają zresztą, że lepiej mu dnia każdego. Ale tak czy inaczej, wielbią go ludzkie usta. Wszyscy go błogosławią i modlą się z serca, aby żył długo i długo władał Anglią. Zaczął całkiem po ludzku, bo darował życie staremu księciu Norfolkowi, teraz zaś chce obalić najokrutniejsze prawa, które męczą i gnębią naród.

Na taką nowinę Edward skamieniał ze zgrozy i popadł w głęboką a chmurną zadumę. Nie słuchał już dalej paplaniny starca. Zastanawiał się, czy ów „młodzik” to mały żebrak, którego zostawił był w pałacu odzianego we własne szaty. Nie wydało mu się to podobne do prawdy, bo sama mowa i obejście musiałyby przecie zdradzić prostego chłopca, gdyby nawet próbował udawać księcia Walii. Wówczas przepędzono by oszusta i rozpoczęto poszukiwania prawdziwego królewicza. Czy to możliwe, aby dwór podstawił jakiegoś szlachetnego młodzianka na miejsce prawego dziedzica tronu? Nie! Wuj jego nie pozwoliłby na to. Lord Hertford jest potęgą, która bez wątplenia knowania takie zgnieść by mogła w zarodku i na pewno by zgniotła. Rozmyślania nie wiodły chłopca do niczego, im silniej bowiem pragnął rozwikłać zagadkę, tym bardziej go ona dręczyła, tym mocniej bolała głowa i tym gorzej sypiał. Z godziny na godzinę wzbierała w nim myśl udania się do Londynu, a niewola była coraz trudniejsza do zniesienia.

Wszelkie sztuczki Hendona zawodziły: króla nie można było pocieszyć. Lepiej się to powiodło dwu niewiastom przykutym w sąsiedztwie strapionego chłopca. Pod wpływem łagodności owych kobiet Edward odzyskał spokój i nauczył się nieco wytrwania. Był im też szczerze wdzięczny i tkliwie pokochał swe pocieszycielki, których słodycz i pogoda wywierały nań wpływ dobroczynny. Razu pewnego zapragnął się dowiedzieć, czemu zostały uwięzione, kiedy mu zaś odrzekły, iż są baptystkami, uśmiechnął się i spytał:

– Czy to zbrodnia, za którą dostać się można za kraty? Zmartwiłem się szczerze, bo rychło was utracę; niedługo tu pozostaniecie z powodu tek błahego przewinienia.

Kobiety nie odpowiedziały, lecz coś w wyrazie ich twarzy zaniepokoiło króla.

– Milczycie – zawołał żywo. – Ach, bądźcie dla mnie dobre i rzeknijcie, iż nie grozi wam inna jeszcze kara. Rzeknijcie, proszę, że nie żywicie obaw.

Niewiasty próbowały zmienić temat rozmowy, ale król się zatrwożył i dopytywał jednej z nich:

– Będą cię może chłostać? Nie! Nie dopuszczają się takiego okrucieństwa! Powiedz, że tak nie będzie! Ach, to niemożliwe! To niemożliwe!

Baptystki stropiły się i zmieszały, pojęły jednak, iż nie da się uniknąć odpowiedzi, więc jedna z nich odrzekła głosem zdławionym przez wzruszenie:

– Ach, ranisz nam serca, ty szlachetna duszo! Oby Bóg pozwolił nam znieść mężnie...

– Ach, to wyznanie! – przerwał król. – Będą cię chłostać te łotry bez serca! Lecz nie płacz, nie rozpaczaj, bo tego nie ścierpię. Nie trać odwagi! W porę odzyskam swe prawa! Zdążę uchronić cię od straszliwej kary i uchronię, jak Bóg na niebie!

Kiedy król zbudził się następnego ranka, kobiet owych nie było.

– Już ocalone! – zawołał radośnie, po chwili jednak dodał z żalem: – Biada mi, utraciłem swe pocieszycielki!

Niewiasty pozostawiły małemu więźniowi dowody pamięci! – dwa skrawki wstążki przypięte szpilkami do jego odzienia. Miłościwy pan powiedział, iż na zawsze zachowa te pamiątki, niebawem zaś odnajdzie pocziwe, drogie przyjaciółki i otoczy je szczególną pieczę.

W tej chwili wszedł klucznik z jakimiś swymi podwładnymi i kazał wyprowadzić więźniów na dziedziniec. Edward uradował się niemało. Jakie to szczęście ujrzeć znowu błękit nieba, odetchnąć świeżym powietrzem! Irytował się i użalał na opieszałość więziennych pachółków, na koniec jednak przysłała jego kolej; zdjęto mu żelazne pęta i kazano wraz z Hendonem wychodzić śladem innych więźniów.

Dziedziniec był czworokątny, brukowany, rozległy. Więźniów wprowadzono tam przez potężną, ceglana bramę i ustawiono szeregiem, plecami wspartych o mur. Przed nimi rozciągnięto linę, ponadto strzegli ich konstable. Ranek był chłodny, pochmurny. Nocą spadł puszysty śnieg i pobielił rozległą, pustą przestrzeń, która pod tym całunem wyglądała tym bardziej posepnie. Od czasu do czasu lodowaty wiatr omiatający dziedziniec tam i ówdzie podnosił śnieżne wiry.

Na środku dziedzińca stały dwie kobiety przykute łańcuchami do słupów. Na pierwszy rzut oka król poznał swoje dobre przyjaciółki, wzdrygnął się więc i pomyślał:

„Niestety, nie odeszły wolno, jakem był sądził. Ach, pomyśleć, że kobiety takie jak one zaznać mają kańczuga, i to w Anglii! O hańbo! W Anglii chrześcijańskiej, nie pogańskiej! Będą je chłostać, a ja, którego one pocieszały i traktowały tak serdecznie, będę musiał patrzeć na tę niesłychaną krzywdę. Dziwne to, bardzo dziwne, iż ja, najpierwsze źródło władzy w tym rozległym królestwie, nie jestem pomocą im w żaden sposób. Niechaj jednak strzegą się ci nędznicy, zbliża się bowiem dzień, w którym, zażadam od nich strasznej zapłaty za to niecne dzieło. Za każdy raz, który padnie dzisiaj, poczują sto bizunów”.

Otworzyła się główna brama i tłum ludu zalał dziedziniec więzienny. Tłum ów stłoczył się koło niewiast, skrył je przed wzrokiem króla. Potem przyszedł duchowny, przecisnął się przez cizbę i także w niej utonął. Edward posłyszał głosy, jak gdyby pytał ktoś, a kto inny dawał

odpowiedzi, atoli nie mógł wymiarkować, o czym mowa. Następnie wiele było zamieszania, jakichś przygotowań i przepychania się rozmaitych urzędników przez tę część tłumu, która kupiła się najbliżej kobiet. Zgromadzona ciżba milkła stopniowo. Wreszcie na dziedzińcu zapanowała głęboka cisza.

Padł jakiś rozkaz. Tłum rozstał się, cofnął na dwie strony. Król ujrzał widok, który zmroził go do szpiku kości. Wokół dwóch niewiast wznosił się stos wielkich bierwion, a klęczący mężczyźni stos ów podpalał.

Ofiary pochyliły głowy, twarze zakryły rękoma. Żółtawe języki ognia zaczęły wspinać się po suchych trzeszczących bierwionach, smugi błękitnego dymu odpływały na skrzydłach wiatru. Duchowny wznosił ręce ku niebu i rozpoczął modły. W tej chwili dwie dziewczeczki wbiegły główną bramą i z rozdzierającymi jęki przypadły do niewiast na stosie. Pachołkowie odciągnęli je zaraz. Jedną utrzymali w żelaznym uścisku, druga wszakże wyrwała się wołając, że umrze u boku matki, i nim zdołano ją pochwycić, zarzuciła ramiona na szyję jednej z baptystek. Raz jeszcze odciągnięto szaloną dziewczynę, lecz gorzały już na niej szaty. Kilku mężczyzn przytrzymało ją krzepko i zdarło płonąca suknię, która padła na ziemię niby garść płomieni. Dziewczyna szarpała się, próbowała uwolnić, ustawicznie powtarzała, iż zostanie sama na świecie, i błagała, aby wolno jej było zginąć wraz z matką. Obie dziewczeczki zawodziły i wyrwały się, wnet jednak rozdzierające jęki mąk śmiertelnych stłumiły cały ten zgiełk. Król oderwał wzrok od szalejących dziewcząt i spojrzał na stos, potem zaś odwrócił się, przywarł spopielałą twarz do muru i nie patrzył już na nic.

– To, co ujrzałem w tej jednej, krótkiej chwili – szepnął – nigdy nie ujdzie mi z pamięci, lecz trwać tam będzie zawsze. Pokąd nie umrę, widzieć to będę za dnia i śnić o tym po nocy. Ach, czemuż Bóg nie dał mi wprzód oślepnąć!

Hendon obserwował króla i myślał z zadowoleniem:

„Obłąd jego przemija. Biedak odmienił się i dziwnie złagodniał. Gdyby posłuchał podszepków chorej woli, zgromiłby oprawców, obwieścił, iż jest królem, rozkazał puścić owe niewiasty wolno i bez szwanku. Wnet złudy jego przeminą i pójdą w niepamięć, a biedny umysł wróci do normalnego stanu. Boże, ześlij ów dzień jak najrychlej!”

Tegoż wieczora sprowadzono na noc kilkunastu więźniów, których pod strażą wiedziono do rozmaitych miast królestwa, gdzie mieli ponieść karę za popełnione brednie. Król rozmawiał z nimi (od początku postanowił, iż będzie się sposobiał do sprawowania władzy monarszej rozpytując więźniów, ilekroć zdarzy się ku temu sposobność), a opowieść o ich niedolach bólem ścisnęła mu serce. Wśród tych nieszczęsnych była pół-obłąkana kobieta, która ukradła tkaczowi jeden czy dwa jardy sukna, za co miała być powieszona. Pewien mężczyźni był niegdyś obwiniony o kradzież konia, lecz, jak opowiadał, nie dowiedziono mu winy, wobec czego uważał się za ocalonego od stryczka. Stało się jednak inaczej. Rychło po uwolnieniu wezwano biedaka przed sąd za upolowanie jelenia w królewskim parku. Tym razem dowody się znalazły i więzień wędrował teraz na szubienicę. Sprawa pewnego terminatora kupieckiego szczególnie zabolą króla. Wyrostek ów powiedział, iż chwycił był raz wieczorem sokoła (niewątpliwie ptak wymknął się właścicielowi) i zabrał go do domu sądząc, że ma po temu prawo, lecz trybunał uznał chłopca winnym kradzieży i skazał na karę śmierci.

Te nieludzkie okrucieństwa do rozpacz przywodziły króla. Nie posiadając się z gniewu żądał on, aby Hendon wyłamał kraty i co rychlej pomknął z nim do Westminsteru, gdzie miłościwy pan zasiądzie na tronie i zdąży jeszcze berłem uczynić znak łaski nad nieszczęsnymi, którym pragnął ocalić życie.

– Biedne dziecię – westchnął Miles. – Ponure opowieści pozbawiły go znowu rozumu. Ach, gdyby nie ten nieszczęsny przypadek, rychło zapewne wróciłby do zdrowia.

Pośród więźniów był stary prawnik – mężczyźni o stanowczym, energicznym wyrazie twarzy. Przed trzema laty napisał on pamflet przeciw Lordowi Kanclerzowi, któremu zarzucił niesprawiedliwość. Ukarano go za to obcięciem uszu pod pręgierzem, banicją z palestry,

grzywną wynoszącą trzy tysiące funtów szterlingów i dożywotnim więzieniem. Ostatnimi czasy prawnik ów popełnił to samo przestępstwo po raz wtóry i czekał teraz na wykonanie wyroku, którym został skazany na odcięcie „tego, co pozostało z uszu”, zapłatę pięciu tysięcy funtów grzywny, piętnowanie na obydwu policzkach i dożywotnie więzienie.

– To zaszczytne blizny – powiedział i odgarnąwszy siwe włosy pokazał okaleczone pieńki sterczące tam, gdzie były dawniej uszy.

Gniew, zabłyś w oczach miłościwego pana, który rzekł:

– Nikt nie wierzy we mnie i ty więc nie uwierzysz. Lecz mniejsza o to! Będziesz wolny, nim miesiąc dobiegnie końca. Więcej ci powiem! Prawa, które zbawiły cię czci, a imię Anglii okryły hańbą, wymazane zostaną z księgi ustaw. Świat źle jest urządzony, gdyż królowie we właściwym czasie winni chodzić do szkoły własnych praw i tym sposobem uczyć się miłosierdzia.

ROZDZIAŁ XXVIII

POŚWIĘCENIE

Tymczasem Milesa wyczerpało do ostatka zamknięcie w dusznym więzieniu i bezczynność. Nadszedł jednak termin jego procesu, a wojak dowiedział się o tym z radością i pomyślał, że chętnie przyjmie każdy wyrok, byle nie była to dalsza niewola. Popełnił jednak omyłkę, wpadł bowiem w pasję, gdy opisano go jako „niepoprawnego włóczęgę” i skazano na dwie godziny pręgierza za to wykroczenie oraz za napaść na dziedzica Hendon Hall. Pretensje obwinionego do braterstwa z oskarżycielem oraz do prawnego dziedzictwa tytułu i dóbr Hendonów zostały pominięte wzgardliwym milczeniem, jako niegodne nawet zbadania.

Miles szamotał się i odgrażał w drodze na miejsce kaźni, lecz nie wyszło mu to na dobre, bo konstable popychali go grubiańsko i częstowali kułakami za tak niestosowne zachowanie.

Król nie mógł przedostać się przez stłoczoną wokół cizbę, musiał więc podążać w tylnej straży, z dala od przyjaciela i oddanego mu sługi. Miłościwego pana omal nie skazano również na dyby za przebywanie w tak złym towarzystwie, lecz ze względu na młodociany wiek puszczono go wolno po odpowiedniej nauce i admonicji. Kiedy tłum zatrzymał się wreszcie, król jął myszkować gorączkowo na tyłach zewnętrznego jego kręgu, szukając miejsca, przez które mogłyby przeniknąć do środka. Udało mu się to wreszcie po znacznej stracie czasu i wielu trudnościach. W hańbiących dybach siedział jego biedny giermek – osobisty sługa króla Anglii! – wystawiony na obelżywe drwiny nędznego motłochu. Edward słyszał był wprowadzić sentencję wyroku, lecz znaczenia jej nie pojął nawet w połowie. Teraz zrozumiał jasno tę nową wyrządzoną mu zniewagę. Gniew począł w nim kipieć i osiągnął punkt wrzenia, gdy jajko zatoczyło luk w powietrzu i rozbiło się na policzku Hendona, a tłum ryknął z uciechy wywołanej tym żartem.

Chłopiec wyskoczył na puste miejsce przed pręgierzem, twarzą w twarz stanął ze strzegącym skazańca konstablem i zawołał:

– Hańba ci! To mój sługa! – puść go wolno! Jam jest...

– Uspokój się – przerwał wystraszony Hendon. – To zguba twoja! Nie bacz nań, konstablu. Jest obłąkany.

– Nie martw się, dobry człecze, o moje nań baczenie, bo baczyć nań wcale nie mam chęci. Chciałbym tylko dać mu jaką taką nauczkę – zwrócił się do jednego z pacholków i zawołał: – wysyp temu małemu idiocie ze dwa lub trzy bizuny, tak sobie, na próbę i ku poprawie manier!

– Pół tuzina lepiej mu posłuży – zaproponował rycerz Hugon, który przed chwilą nadjechał konno, aby rzucić okiem na wymiar sprawiedliwości.

Król został pojmany. Nie bronił się nawet, bo sparaliżowała go sama myśl o potwornej zniewadze, która miała pohańbić jego świętą osobę. Historia zna już przypadek, gdy smagano biczami króla angielskiego. Straszna więc była myśl, iż on – Edward – ma zapisać równie haniebną kartę. Miłościwy pan znalazł się w położeniu bez wyjścia. Musiał albo przyjąć karę, albo też błagać o jej darowanie. Trudny to wybór! Ha, odbierze jednak plagi! Królowi wolno tak postąpić, lecz król nie może błagać!

Tymczasem jednak Miles rozwiązał trudności.

– Puśćcie to dziecko, psy bez serca – powiedział. – Czy nie widzicie, jak mały jest i wątły? Puśćcie go. Ja odbiorę zań karę.

– Na Boga, przednia myśl i dzięki ci za nią! – zawołał rycerz Hugon, a twarz zajaśniała mu złośliwą uciechą. – Puśćcie małego żebraka i miast jemu wyliczcie tuzin temu oto drabowi – uczciwy tuzin, ale szczodłą ręką.

Król miał zamiar zaprotestować energicznie, lecz rycerz Hugon uciszył go nieodpartym argumentem:

– Pięknie! Gadaj, ile chcesz. Wyłuszczone wszystko, co ci leży na sercu! Pomnij jednak, że za każde twoje słowo on odbierze dodatkowo sześć plag.

Hendona uwolniono z dyb i obnażono mu plecy, kiedy zaś kańczug poszedł w ruch, biedny mały monarcha odwrócił twarz i niegodnym swego majestatu łzom pozwolił płynąć obficie po licu.

– Ach, zacne, waleczne serce! – rzekł do siebie. – Ten dowód lojalności nie ujdzie nigdy mej pamięci. Ja nie zapomnę!... Nie zapomną i oni! – dodał z pasją.

Im dłużej rozmyślał, tym wyżej oceniał wielkoduszny czyn Hendona i tym bardziej był wdzięczny wiernemu słudze. Niebawem począł znowu przemawiać do siebie:

– Godnie pełni swe obowiązki ten, kto chroni swego władcę od ran i być może śmierci, jako on mnie uchronił. Ale to mało! To nic! Ba! Mniej niż nic! Czy taką usługę można porównać z czynem, który ocali monarchę od HAŃBY?

Hendon nie krzyczał pod ciężkimi razami kańczuga. Chłostę znosił z ładu żołnierskim hartem. Jego spokój wraz z ofiarą, jaką uczynił dla chłopca biorąc na siebie przeznaczoną dlań karę, budził szacunek nawet zgromadzonego wokół nikczemnego ciemnego motłochu. Stopniowo umilkły drwiny i wrzaski. Słyszeć było tylko odgłos uderzeń spadającego bizona. Cisza, która narastała wokół, gdy Hendona zakuto znów w dyby, stanowiła wymowny kontrast z tak niedawnym jeszcze rozgardiaszem. Król stanął pokornie u boku przyjaciela i szepnął mu do ucha:

– Nie w mocy królów uczynić cię szlachetnym, ty wielka, dobra duszo, sprawił to bowiem Ów, który wyższy jest od wszystkich królów. Ale król może dla oczu ludzkich potwierdzić twoje szlachectwo – chłopiec podniósł z ziemi kańczug, lekko dotknął nim skrwawionych ramion Milesa i szepnął: – Edward Angielski czyni cię hrabią!

Hendon był wzruszony. Łzy napłynęły mu do oczu, zarazem jednak ponury komizm niezwykłej sytuacji zburzył w nim całą powagę i biedak mógł dokazać tylko tyle, że oznakom wewnętrznej wesołości nie pozwolił się dobrać na zewnątrz. Ostatnim z serii groteskowych nieprawdopodobieństw wydało mu się nagle wyniesienie człowieka obnażonego i zbryzganego krwią z nizin pręgierza rynkowego na niebosiężne szczyty godności hrabiego.

„Teraz doprawdy – pomyślał – przystrojono mnie w nie lada błyskotki. Z widmowego rycerza Królestwa Snów i Cieniów stałem się widmowym hrabią. Zbyt to górny lot dla nie opierzonych skrzydeł! Jeżeli tak dalej pójdzie, wnet niby Maik obwieszony zostanę zmyślonymi herbami i fantastycznymi orderami. Ale wysoko będę sobie cenił te bezwartościowe zaszczyty, bo nadaje mi je prawdziwa miłość. Więcej warte moje urojone godności, które nie wymolestowane płyną z czystej ręki i poczciwego serca, niż łaski prawdziwe kupione uniżonością od wyrachowanej, wrażliwej na swe korzyści władzy”.

Groźny rycerz Hugon zatoczył łuk koniem, kiedy zaś spiął go ostrogą, milcząca żywa ściana rozstała się, by otworzyć drogę, a następnie zawarła równie cicho. Tak też pozostało. Nikt nie miał odwagi rzec słów przychylnych dla więźnia ani pochwalić jego męstwa, lecz sam brak obelg stanowił hołd wystarczający. Jakiś spóźniony widz, nieświadomy ostatnich wydarzeń, jął drwić z „oszusta” i śladem szyderstwa zamierzał posłać zdechłego kota, lecz tłum bez słów zwałił go z nóg i odrzucił kopniakami.

Nad rynkiem zaległa znów głęboka cisza.

ROZDZIAŁ XXIX

DO LONDYNU

Kiedy Hendon odbył do końca karę w dybach, wrócono mu wolność przykazując, aby opuścił okolicę i nigdy więcej nie wracał. Oddano mu również miecz, a także osła i muła. Hendon dosiadł swego wierzchowca i odjechał, król zaś podążył za nim. Tłum rozstał się, z milczącym szacunkiem otworzył drogę i rozproszył się po ich odjeździe.

Miles pograżył się wnet w myślach. Liczne pytania wielkiej wagi domagały się odpowiedzi. Co miał uczynić? Dokąd się udać? Należało wynaleźć gdzieś możliwą protekcję lub nie tylko zrezygnować z dziedzictwa, lecz również żyć nadal pod fałszywym zarzutem oszustwa. Gdzie szukać wypadało owej potężnej protekcji? Dokąd zwrócić się po nią? Zawiała to kwestia! Od czasu do czasu w kłębowisku myśli Hendona jawiła się nadzieja – oczywiście nadzieja najsłabsza ze słabych, godna jednak rozważenia ze względu na zupełny brak realnych możliwości. Biedak dobrze zapamiętał wszystko, co stary Andrzej mówił o dobroci młodego króla i szlachetnej jego walce w obronie pokrzywdzonych i uciśnionych. Można by spróbować! Postarać się o rozmowę z królem. Błagać go o sprawiedliwość. Zapewne! Lecz czy taki nędzarczyk znajdzie przystęp do monarszego majestatu? Mniejsza o to! Niechaj sprawy układają się same. Przeprawę przez most rozpocząć wystarczy, gdy stanie się u przyczółka. Hendon, stary wojak, przywykli do wynajdowania wszelakich sposobów i forteli; tym razem znajdzie też na pewno jakieś wyjście! Tak! Oto nasuwa się właśnie pomysł kapitalny! Może pomocy udzieli stary druh Milesowego ojca, rycerz Humphrey Marlow – „stary, poczciwy rycerz Humphrey, za dni nieboszczyka miłościwego pana Pierwszy Ochmistrz królewskiej kuchni czy stajni, czy czegoś tam jeszcze”. Miles nie mógł sobie wprawdzie przypomnieć, czego Pierwszym Ochmistrem był niegdyś rycerz Humphrey, lecz znalazł wyraźny cel do wypełnienia, kierunek, w którym mógł zwrócić energię. Uleciały tedy i rozwiązały się spowijające żołnierską duszę chmury poniżenia i rozpacz. Hendon podniósł głowę, rozejrzał się dokoła. Zdumiał się, iż ujechał już taki szmat drogi. Miasteczko widać było w mglistej dali. Za Hendonem włókł się na osle król; głowę miał spuszczoną, bo i on tonął w głębokim rozważaniu planów na przyszłość. Żalodne podejrzenia zaćmiły nowo zrodzoną pogodę Milesa. Czy chłopiec zechce wrócić do miasta, w którym przez całe swe krótkie życie zaznał jedynie nędzy i złego obójścia? Wypada jednak zadać pytanie, którego uniknąć nie sposób. Hendon ściągnął wodze i zawołał:

– Zapomniałem zapytać, dokąd się udajemy. Słucham waszych rozkazów, miłościwy panie.

– Do Londynu.

Hendon ruszył dalej, wielce uradowany tą odpowiedzią, lecz niemało również zdziwiony.

Cała podróż odbyła się bez godnych wzmianki przygód, lecz zakończona została ważnym wydarzeniem. Około dziesiątej wieczorem dnia dziewiętnastego lutego Hendon z królem wjechali na London Bridge i znaleźli się pośrodku zatoru ludzkiego, który kłębił się, wył i wznosił radosne okrzyki. Wesole od piwa twarze wyraźnie rysowały się w jasnych blaskach nieprzeliczonych pochodni. W tej chwili ogniła głowa jakiegoś księcia lub innego wielmoży spadła na ową cizbę i trąciwszy Hendona w łokieć, potoczyła się między gęstwą nóg. Jakże przemijające, nietrwale są wielkie dzieła ludzkie dokonane na tym świecie! Zmarły, dobry król nie żyje zaledwie od trzech tygodni, od trzech dni zaś spoczywa w grobie, a oto zaczy-

nają już spadać ozdoby pięknego mostu, które nieboszczyk z taką troską wybierał spośród najgodniejszych mężów! Jakiś obywatel potknął się o ową głowę i własnym ciemieniem uderzył w plecy kogoś z tłumu. Ten zaś odwrócił się gwałtownie, pięścią obalił pierwszą osobę, która nawinęła mu się pod rękę, sam zaś padł wkrótce pod ciosami przyjaciela tej osoby. Czas był odpowiedni do bójki wszystkich przeciw wszystkim. Rozpoczęły się już uroczystości dnia następnego – Dnia Koronacji – i lud przepelniony był mocnym napitkiem i patriotyzmem. Nim upłynęło pięć minut, burda rozprzestrzeniła się na spory szmat ziemi; po dziesięciu lub dwunastu minutach zajmowała akr albo więcej i przerodziła się w coś na kształt rozruchów. Hendon i król byli zupełnie bezradni, gdyż wrzaskliwy, kłębiący się wir ludzki porwał ich, rozdzielił, rzucił jednego z dala od drugiego.

Teraz jednak i my musimy się rozstać z tą parą przyjaciół.

ROZDZIAŁ XXX

POSTĘPY TOMA

Prawdziwy król – lichy odziany, źle odżywiany – odbywał wędrówki po kraju. To poszturchiwali go i wyszydzała wagabundowie, to gnąć musiał w więzieniu pośród złodziei i morderców, wszyscy zaś zgodnie nazywali go idiotą lub oszustem. Tymczasem król fałszywy, Tom Cauty, radował się zgoła odmiennym trybem życia.

Kiedy widzieliśmy go po raz ostatni, władza monarsza zaczynała właśnie mieć dlań dobre strony. Otóż te dobre strony jaśniały z dnia na dzień i wkrótce zapłonęły czarującym światłem iście słonecznych blasków. Tom przestał się obawiać. Smutne jego myśli rozwiały się i odpłynęły, zakłopotanie minęło, aby ustąpić miejsca swobodnej pewności siebie. „Miłościwy pan” coraz większe ciągnął zyski z kopalni, którą był dlań Chłopiec do Bicia.

Z miną osoby powołanej do tego rodzaju poczynań wzywał przed swe oblicze lady Elżbietę i lady Jane Grey, ilekroć przyszła mu ochota na zabawę lub rozmowę, albo odprawiał księżniczki, gdy miał dosyć ich towarzystwa. Nie krępował go już wcale fakt, iż tak dostojne damy całują jego dłoń przy pożegnaniu.

Przyjemną rozrywką był dlań teraz pochód, który każdego wieczoru odprowadzał go do łoża, oraz uroczysty a zawily ceremoniał towarzyszący zawsze porannej toalecie. Udawanie się na obiad w asyście strojnego orszaku urzędników dworskich i panów gwardii przybocznej nader mile łechtalo dumę Toma, prawdę zaś rzekłszy łechtalo ją tak mile, że „król” podwoił liczbę gwardii przybocznej i stan jej podniósł do pełnej setki panów. Polubił również rozbrzmiewające w długich korytarzach dźwięki trąb i odległe głosy, które raz po raz powtarzały: – Miejsce dla króla!

Tom nauczył się nawet bawić nie najgorzej, gdy w majestacie zasiadał na tronie przewodnicząc Wielkiej Radzie udawał, że jest czymś więcej niż tubą Lorda Protektora. Lubił przyjmować jaśnie wielmożnych ambasadorów i ich wspaniałe świty oraz słuchać serdecznych listów przysyłanych mu tą drogą przez wielkich monarchów, którzy nazywali go „bratem”. Ach, szczęśliwy Tom Cauty, do niedawna mieszkawiec Offal Court!

„Król” radował się swymi wspaniałymi szatami i kazał zamawiać ich coraz więcej. Przekonał się niebawem, iż czterystu służby nie wystarcza do należącego mu splendoru, potroił więc ich liczbę. Pochlebstwa bijących czołem dworaków dźwięczały w jego uszach niby słodka melodia. Był jednak nadal łagodny i uprzejmy. Pozostał walecznym i upartym obrońcą wszystkich uciśnionych i niestrudzenie wiódł bój z niesprawiedliwym prawem. Czasami wszakże, kiedy go dotknięto, potrafił zwrócić twarz w stronę hrabiego albo nawet księcia i zmierzyć go spojrzeniem mrozącym krew w żyłach. Pewnego razu, gdy królewska siostra, posepnie świątobliwa lady Maria, wszczęła z „miłościwym panem” dysputę i dowodziła, iż postępuje on nierozważnie ulaskawiając tak wiele ludzi, którzy powinni być więzieni, wieszani lub paleni; gdy przypomniawszy „królowi”, iż więzienia ich czcigodnego nieboszczyka ojca gościły niekiedy sześćdziesiąt tysięcy skazańców naraz, a w ciągu szczęśliwych swych rządów Henryk VIII wydał w ręce kata ponad siedemdziesiąt dwa tysiące zbrojczyków i złodziei, chłopiec wybuchnął szlachetnym gniewem i rozkazał „siostrze” udać się niezwłocznie do alkierza i kornie błagać Stwórcę, aby wyjął jej z piersi kamień i zechciał zastąpić go prawdziwym, ludzkim sercem.

Czy Tom Cauty troskał się niekiedy o los tego nieszczęsnego chłopca, prawowitego królewicza, który przyjął go był łaskawie i tak chyżo wybiegł z pałacu, aby pomścić na grubiańskim wartowniku zniewagę wyrządzoną przy bramie małemu żebrakowi? Tak! Pierwsze królewskie dni i noce pełne były smutnych myśli o zaginionym księciu i szczerych pragnień, aby Edward wrócił szczęśliwie i odzyskał należne mu z urodzenia przywileje i zaszczyty. Kiedy jednak czas mijał, a królewicz nie wracał, Tom z dnia na dzień interesował się coraz bardziej własnymi przeżyciami, które były nowe a zachwycające, i powoli, pomału obraz przepadłego monarchy bladł w jego pamięci. Kiedy zaś obraz ów powracał czasami, był raczej niepożądanym przypomnieniem, jako że budził uczucie winy i wstydu.

Biedna matka i siostry małego żebraka podobną drogą wywędrowały z jego życia. Zrazu tęsknił do nich, niepokoił się o nie, pragnął zobaczyć się z nimi. Później wszakże drżał z obawy, iż niewiasty te mogą przybyć kiedyś brudne i w łachmanach, zdradzić go pocałunkami, zrzucić z wyżyn i powlec znów do ubóstwa, poniżeń, ohydnej dzielnicy nędzy. Wreszcie myśli o matce i siostrach przestały prawie nawiedzać go i trapić. Tom był z tego powodu zadowolony, ha! niemal szczęśliwy, ilekroć bowiem zbolale twarze tych oskarżycielek jawiły się w jego wyobraźni, biedak czuł się podlejszy niż wijący się robak.

O północy dziewiętnastego lutego Tom usypiał na wspianiałym łożu w swym monarszym pałacu. Strzegli go wierni wasale, otaczał dworski przepych i ceremoniał. Szczęśliwy chłopiec! Dnia następnego miał być uroczyście koronowany królem Anglii!

O tej samej porze Edward, prawy monarcha, głodny i spragniony, umorusany, brudny, utrudzon podróżą, odziany znowu w postrzępione łachmany (był to skutek bijatyki, w którą król został wciągnięty) stał w ciżbie ludu z wielkim zainteresowaniem obserwującego grupy pracowitych niby mrówki robotników, którzy tłumnie wchodzili do Opactwa Westminsterkiego i zeń wychodzili. Ludzie ci czynili ostatnie przygotowania do jutrzejszej koronacji.

ROZDZIAŁ XXXI

POCHÓD KORONACYJNY

Kiedy Tom zbudził się następnego ranka, w powietrzu drgał głuchy pomruk napływający z daleka i bliska. Dla króla pomruk ten był czarowną muzyką, oznaczał bowiem, iż cała Anglia wyległa na ulice, aby lojalnie powitać wielki dzień.

Niebawem Tom został raz jeszcze, główną postacią wspaniałego, pływającego korowodu na Tamizie, gdyż zgodnie z odwiecznym obyczajem pochód koronacyjny musiał wyruszyć z Tower, dokąd też udał się miłościwy pan.

Kiedy tam przybył, mury dostojnej twierdzy jak gdyby pękły w tysiącu miejscach. Z każdej szczeliny buchnął czerwony język ognia i biała smuga dymu. Wystrzały ozwały się gromem, który wstrząsnął ziemią i stłumił wrzawę mrowia ludzkiego. Fontanny ognia, dymy, wystrzały raz po raz powtarzały się z tak zdumiewającą szybkością, że po niewielu minutach stary zamek zniknął w wielkim tumanie własnych dymów, ponad których gęstwą sterczał niby szczyt górski nad chmurą i trzepotał proporcami wierzchołek najwyższej baszty, zwanej Białą Wieżą.

Przepysznie odziany Tom Canty dosiadł rączego rumaka bojowego, okrytego bogatym czaprakiem sięgającym niemal ziemi. Lord Protektor, książę Somerset, również konno, zajął miejsce za swym „siostrzanem”. Gwardziści królewscy, zakuci w lśniące zbroje, ustawili się po obydwu stronach pojedynczymi szeregami. Za Lordem Protektorem ciągnął nieskończony na pozór sznur wielmożów, otoczonych swymi wasalami. Dalej kroczył Lord Major i panowie rajcy odziani w czerwone aksamitne szaty i strojni złotymi łańcuchami spływającymi na pierś. Za nimi świątecznie ubrani starsi i majstrowie wszystkich cechów londyńskich nieśli okazałe sztandary swych stowarzyszeń. W pochodzie uczestniczyła również (jako specjalna straż honorowa w obrębie murów miejskich) Starożytna i Czcigodna Kompania Artylerii – oddział angielskich sił zbrojnych, jedyny niezależny od rozkazów Parlamentu, liczący już w owe czasy trzysta lat (istnieje on i w naszych czasach).

Widowisko było olśniewające, toteż zwarte tłumy gromkimi okrzykami witały majestatyczny pochód wzdłuż całej jego trasy. Kronikarz powiada:

„Kiedy król przestąpił granice miasta, lud przyjął go modłami, błogosławieństwami, okrzykami, dobrymi słowami i wszelkimi oznakami czulej miłości poddanych do władcy. Król okazywał pogodny oblicze stojącym z dala, tym zaś, którzy znaleźli się bliżej miłościwego pana, odpowiadał serdecznie, dowodząc, iż równie chętnie przyjmuje życzliwość ludu, jak ją ofiarowuje. Nie szczędził też słów podziękowań tym, którzy składali mu życzenia, a wołającym: – Boże, chroń króla! – mówił: – Boże, chroń was wszystkich! – i dodawał, iż dziękuje im z całego serca. Dobre słowa i wymowne gesty króla budziły w jego ludzie radosny zapał”.

Na Fenchurch Street „pięknie i bogato przystrojone dziecko” wystąpiło na podium, aby w imieniu miasta powitać miłościwego pana. Oto kończąca strofa owych życzeń:

*Z serc, które nie znają, co to zdrada,
Więcej uczuć, niż słowo wypowie,
Lud monarsze swemu w dani składa.
Szczęścia życzy swojemu królowi.*

Lud wybuchnął radosną wrzawą i jednym głosem powtarzał to, co wyrzekło dziecko. Tom Cauty zmierzzył spojrzeniem wezbrane morze rozradowanych twarzy. Serce bijące triumfalnym uniesieniem powiedziało mu, że warto żyć na świecie po to jedynie, aby być królem i bożyszczem ludu. Wnet dojrzał w oddali dwójkę swych obdartych towarzyszy z Offal Court: jeden z nich był Lordem Wielkim Admirałem na urojonym dworze z Offal Court, drugi pełnił równie nierealne funkcje Lorda Pierwszego Pokojowca. Duma „króla” wzbiła się na wyższe niż dotychczas szczyty. Ach, gdyby ci mogli go teraz poznać! Gdyby go mogli poznać i ku niewysłowionej jego chwale dowiedzieć się, że ów wyszydzany, fałszywy król z plugawych zaułków i bocznych uliczek został prawdziwym władcą, że kornie mu posługują wielmoże i książęta, a cała Anglia leży u jego stóp! Chłopiec musiał jednak odmówić sobie satysfakcji i zdławić pragnienie serca, takie bowiem rozpoznanie kosztowałoby więcej niż przynieść mogło zysku. Odwrócił tedy głowę, a dwóm ulicznikom, którzy nie podejrzewali zgoła, dla kogo przeznaczone są ich radosne owacje, pozwolił krzyknąć i wiwatować do woli.

Od czasu do czasu z ciżby podnosiły się okrzyki: – Szczodrość! Szczodrość! – Tom zaś odpowiadał garścią nowych, połyskliwych monet, o które motłoch wszczywał zaraz bójkę.

Kronikarz powiada:

„U wylotu Gracechurch Street, przed gospodą Pod Orłem, miasto wzniosło okazały łuk triumfalny, pod nim zasię estradę sięgającą od jednej do drugiej strony ulicy i alegorię historyczną. Przedstawiała ona najbliższych przodków króla. Elżbieta z Yorku zasiadała pośrodku olbrzymiej białej róży, której płatki układały się wokół królowej niby misterne fałdy. Obok Henryk VII, wykwitający z równie wielkiej i podobnie ukształtowanej czerwonej róży. Dłonie monarszej pary były splecione, a pierścień ślubny umieszczony w sposób wielce widoczny.

Z czerwonej i białej róży wyrastała sięgająca pierwszego piętra łądoga zakończona różą czerwono-białą, z której wykwiatał Henryk VIII, u boku zaś jego podobizna macierzy nowego króla – Jane Seymour. Nad parą tą wystrzelała znowu gałąź sięgająca drugiego piętra, a zakończona wizerunkiem samego Edwarda VI, który w majestacie zasiadł na tronie. Całe malowidło spowijały girlandy białych i czerwonych róż”.

Wspaniały i barwny widok tak zachwycał rozbawioną ciżbę, że potężne okrzyki ze szczerem stłumiły głosik dziecka, które w rytmach ody wyjaśniać miało znaczenie owej alegorii. Ale Tom Cauty nie martwił się wcale, bo wiernopoddańczy ryk był dlań miłszą muzyką niż najpiękniejszy nawet utwór poetycki. W którąkolwiek stronę „król” zwrócił radosną, chłopięcą twarz, lud dostrzegał zdumiewające podobieństwo pomiędzy żywym oryginałem a jego wizerunkiem, co oczywiście wywoływało nowy huragan wiwatów.

Olbrzymi pochód sunął dalej i dalej, od jednego łuku triumfalnego do drugiego, mijał zdumiewający szereg symbolicznych malowideł, z których każde przedstawiać miało jakąś cnotę, talent lub zasługę młodocianego władcy.

„Wzdłuż całej Cheapside ze wszystkich okien i szczytów domostw powiewały chorągwie lub proporce, ulicę zaś wyściełały kosztowne kobierce i złotogłowie, co stanowiło dowód niezmiernej zasobności mieszczących się przy tej ulicy składów. Inne ulice nie ustępowały przepychem Cheapside, niektóre zasię nawet ją prześcigały”.

– A wszystkie te wspaniałości i cuda dla mnie są hołdem, dla mnie – szeptał Tom Cauty.

Policzki fałszywego króla gorzały rumieńcem podniecenia, z ócz jego strzelały radosne błyski, szaleńczy wir ogarniał dumne myśli. W owej chwili, właśnie gdy ręką zatoczył łuk i raz jeszcze sypanął garść monet, aby dowieść swej szczodrości, ujrzał wychyloną z drugiego szeregu gapiów bladą, zdumioną twarz i oczy wpatrzone weń natarczywie. Dziwna omdlałość i mieszanie ogarnęły Toma. Poznał swą matkę! I oto ręką, dłonią zwróconą na zewnątrz, zasłonił nagle oczy, czyniąc ów dawny, mimowolny ruch, który zrodził się z zapomnianego dziś przypadku, a utrwalony został przez przyzwyczajenie. W jednej chwili niewiasta przedarła się przez gąszcz ludzki, minęła gwardzistów i przypadła do „miłościwego pana”.

Objęła jego nogę, okryła ją pocałunkami i wznosząc ku jeźdźcowi twarz odmienioną szczęściem i miłością, zawołała:

– O dziecię! Najdroższe moje dziecię!

Oficer Gwardii Przybocznej odciągnął natrętą kobietę i zakławszy szpetnie, posłał ją jedynym pchnięciem krzepkiego ramienia pomiędzy tłum, z którego się wyrwała. W chwili gdy zdarzył się ów pożałowania godny incydent, z ust Toma Cauty spływały już słowa: – Nie znam cię, niewiasto! – Ale „król” wzruszył się do głębi serca, gdy ujrzał, jak grubiańsko ją potraktowano. Kiedy tłum ogarniał już biedną kobietę, ona zaś odwróciła się, aby po raz ostatni rzucić okiem na syna, syn ów dostrzegł, jak bardzo jest przygnębiona i zboleła. Ogarnął go wstyd, który na popiół spalił dumę i cieniem okrył ukradzione królewskie zaszczyty. Monarsza godność straciła nagle wartość i niby zbutwiały łachman spadła z ramion chłopca.

Pochód sunął dalej, wśród coraz większego przepychu i potężniejszej z każdą chwilą burzy radosnych okrzyków. Ale dla Toma Cauty wszystko to jak gdyby przestało istnieć. Nie widział nic, nic nie słyszał. Królowanie utraciło dlań nagle powab i słodczyce, a pompa dworska stała się udręką. Bolesne wyrzuty sumienia dręczyły serce „miłościwego pana”, który rzekł do siebie:

– Oby Bóg zechciał wywieść mnie z tej niewoli.

Bezwiednie wrócił do frazesu powtarzanego często w pierwszych dniach przymusowej swej wielkości.

Wspaniały pochód wciąż kroczył i niby wielobarwny, nieskończenie długi wąż wił się po krętych uliczkach dziwaczного starego miasta, sunął pomiędzy wrzaskliwym stadem ludzkim. Ale król jechał z opuszczoną głową, spoglądał przed się tępym wzrokiem i widział tylko twarz matki ściągniętą skurczem żalu i urazy.

– Szczodrość! Szczodrość!

Okrzyki nie trafiały do niebacznego uszu.

– Niech żyje Edward Angielski!

Ziemia dygotała niby od wybuchów, lecz król nie udzielał odpowiedzi.

Zgiełk i wrzawę słyszał tak, jak ucho ludzkie łowi niezmiernie odległy ryk wzburzonego morza, bo głużył mu wszystko inny, bliższy dźwięk, dźwięk płynący ze zbolełego serca, z głębi dręczzonego wyrzutami sumienia – głos, który raz po raz powtarzał judaszowe słowa „Nie znam cię, niewiasto!”

Słowa te raniły serce króla tak, jak jęk pogrzebowych dzwonów rani duszę przyjaciela, co żyw został i słuchając podzwonnego, przypomina sobie tajemne zdrady, którymi krzywdził był zmarłego.

Każdy zakręt nowe odsłaniał splendory, na jaw dobywał nowe dziwa i cudy. Grzmiały salwami oczekujące swej kolei baterie, a oczekujące tłumy wznosiły nowe wciąż radosne okrzyki. Ale król nie odpowiadał powitalnym gestem, a jedynym dźwiękiem, który słyszał, był ów oskarżycielski głos jęczący głucho w zbolełej piersi.

Stopniowo i powoli radosny wyraz ożywionych twarzy ludu zmieniał się, jak gdyby tknięty nagle jakimś dziwnym żalem lub niepokojem. Nietrudno też było zauważyć, iż przycichają oklaski. Lord Protektor szybko dostrzegł te objawy i równie szybko wykrył ich przyczynę. Wspiął wierzchowca ostrogą, poskoczył do boku króla, nisko skłonił się w siodle i odsłoniwszy głowę powiedział:

– Miłościwy panie, czas to nieodpowiedni na smutną zadumę. Lud dostrzegł, iż zwiesiliście głowę, dostrzegł waszą bolesną minę i za zły poczytuje to omen. Przyjmijcie moją radę. Niechaj słońce majestatu dobędzie się z mgieł, niechaj zabłyśnie nad posępną chmurą i rozproszy ją wreszcie. Podnieście głowę! Uśmiechnijcie się do ludu!

Z takimi słowy książę Somerset sychnął garścią monet na prawo i lewo, potem zaś wrócił na swe dawne miejsce. Fałszywy król uczynił niemal bezwiednie to, co mu przykazano. Uśmiech nie płynął z serca, lecz niewiele oczu znajdowało się dostatecznie blisko lub dosta-

tecznie bystrym spozierało wzrokiem, aby to zauważyć. Skinienia strojnej pióropuszem głowy, gdy pozdrawiał poddanych, uchodzić mogły za wzór łaskawego wdzięku. Z istic monarszą hojnością chłopięca ręka dawała dowody „szczodrości”. Zniknął więc chwilowy niepokój, a entuzjastyczne okrzyki strzeliły w niebo z równą poprzedniej mocą.

Ale raz jeszcze, tuż przed zakończeniem pochodu, ksiązę Somerset musiał pchnąć konia do przodu, aby królowi udzielić napomnień.

– O, miłościwy panie! Otrząśnijcie się z przygnębienia, bo oczy świata są na was zwrócone – szepnął i dodał zaraz tonem wielce rozdrażnionym: – Niechaj piekło pochłonie tę szaloną żebraczkę! Ona zburzyła spokój Waszej Królewskiej Mości!

Wspaniale przystrojona postać zwróciła ku opiekunowi spojrzenie szklitych oczu i przemówiła grobowym głosem:

– To była moja matka!

– Wielki Boże! – jęknął Lord Protektor i zdarłszy konia cofnął się na miejsce. – Zły omen wróżył prawdę! Król oszalał znowu!

ROZDZIAŁ XXXII

KORONACJA

Cofnijmy się o kilka godzin i o czwartej nad ranem owego pamiętnego dnia koronacji wejdźmy do Opactwa Westminsterskiego. Nie braknie nam towarzystwa, gdyż jakkolwiek zalega jeszcze noc, na oświetlone pochodniami galerie zaczynają napływać ludzie, którzy chętnie posiedzą siedem lub osiem godzin i będą czekać spokojnie, aby ujrzeć coś, co niełatwo oglądać dwa razy w życiu – koronację króla. Tak, miasto Londyn i królewski gród Westminster nie spały już wówczas, gdy o trzeciej w nocy ozwała się pierwsza armata, teraz zaś tłumy nie utytułowanych bogaczy, którzy kupili prawo poszukiwania siedzącego miejsca na galeriach starożytnego Opactwa, tłoczą się u wejść przeznaczonych dla osób tej kondycji.

Godziny płyną nudno i leniwie. Od dawna ustał wszelki ruch, wszystkie bowiem galerie do cna zapełniono. Możemy teraz siedzieć i rozglądać się, i myśleć do woli. Tu i ówdzie w posępnym półmroku katedry mającą fragmenty zatłoczonych widzami galerii i balkonów osłoniętych częściowo przez kolumny i przeróżne architektoniczne ozdoby. Widzimy cały wielki transept północny – pusty, bo przeznaczony dla tych, których Anglią uprzywilejowała. Widzimy także obszerne podium obite bogatymi oponami i ustawiony na nim tron. Tron zajmuje środek podium i wyniesiony jest o cztery stopnie. Siedzenie jego stanowi odłam nie ciosanej skały – kamień nazwany „Scone” – na którym zasiadało podczas koronacji tyle pokoleń królów Szkocji, że kamień został dostatecznie uświęcony, by taką samą rolę spełniać przy koronowaniu angielskich monarchów. Wspaniały złotogłów pokrywa zarówno tron, jak i podnózek.

Wokół panuje cisza. Pochodnie tlą się żalobnie, czas ciecze leniwo. Wreszcie jednak nadchodzi świt, pochodnie gasną, błądy brzask nasycza ogromne wnętrze katedry. Widać teraz dokładnie wszystkie szczegóły czcigodnej budowli, lecz widać je mgliście i niejasno, bo lekkie obłoki przesłaniają słońce.

O siódmej rano pierwsze wydarzenie urozmaica senną monotonię, z uderzeniem bowiem tej godziny pierwsza małżonka para, strojna niby Salomon w glorii, wkracza do transeptu. Odziany w atlas i aksamity dworzanin wiedzie ją na wyznaczone miejsce. Drugi, ubrany tak samo, ujmuje tren szlachetnej damy, niesie go za nią i na jej podołku układa we wdzięczne fałdy; gdy dama zasiada na swym fotelu. Potem dworzanin ustawia podnózek zgodnie z życzeniem damy i na dogodnym miejscu kładzie jej koronę, aby była pod ręką, gdy nadejdzie chwila jednoczesnego przywdziewania koron przez parów i ich małżonki.

Dostojne damy zaczynają napływać wielobarwną strugą, a odziani w atlas dworzanie biegają i połyskują wszędzie, sadowią nowo przybyłe, troszczą się o ich wygodę. Obraz jest teraz żywy, ciekawy. Wokół panuje ruch i krzątanina, grają przeróżne kolory. Po niejakiem czasie zapada znowu cisza, wszystkie bowiem szlachetne damy nadeszły i zajęły przeznaczoną im część transeptu, która wygląda teraz niby akr ludzkiego kwiecica grający wszelakimi barwy i niby Droga Mleczna usiany diamentami. Spotkały się tam wszystkie wieki: zgrzybiałe, pomarszczone, siwowłose wdowy zdolne sięgnąć pamięcią dalej i dalej poprzez potok lat aż do dnia koronacji Ryszarda III i owych krwawych, zapomnianych dzisiaj czasów; okazałe niewiasty w sile wieku; ponętne a urodzive młode damy; wiośniane, wdzięczne piękności o promiennych oczach i świeżej cerze, które niezbyt zapewne zręcznie nałożą zdobne klejnotami korony, gdy nadejdzie wreszcie oczekiwana chwila, bo wydarzenie to będzie dla młodych

dam nowością, a wzburzenie może im przeszkodzić. Może, to się jednak nie zdarzyć, gdyż włosy wszystkich kobiet utrefiono zmyślnie w taki sposób, by na dany znak zręcznie i szybko można było nałożyć koronę.

Zauważyliśmy już, że liczne grono małżonek parów gęsto usiane jest diamentami i przez czas niejaki podziwialiśmy ów wspaniały widok; teraz jednak prawdziwe czeka nas olśnienie. Około dziewiątej opona chmur pęka, a słoneczna strzała przesywa mroczną atmosferę i z wolna sunie poprzez szeregi dam, każdy zaś muśnięty nią szereg płonie oślepiającym blaskiem wielobarwnych ogni. Niespodziewane piękno tego wspaniałego zjawiska do czubków palców przejmuje nas dreszczem zachwytu. Lecz oto wysłannik z jakiejś odległej krainy Wschodu, idący pośród grupy zagranicznych ambasadorów, przecina słup słonecznych promieni i płonie, mieni się, migoce precudnym blaskiem, aż splendor ten dech zapiera w piersi widza. Dostojnik ów jest bowiem obwieszony klejnotami od stóp do głów i każde najlżejsze bodaj poruszenie spowija go mgławicą roztańczonych iskier.

Zmieńmy jednak czas dla wygody. Godziny mijały – jedna, dwie, dwie i pół... Głęboki bas działał oznajmił, że król ze swym olbrzymim orszakiem przybywa nareszcie. Uradowała się czekająca cizba. Wszyscy wiedzieli wprawdzie, że nastąpi dalsza zwłoka, gdyż króla trzeba przysposobić i ubrać do wspaniałej ceremonii. Ale zwłokę tę przyjemnie miało urozmaicić gromadzenie się parów królestwa odzianych w uroczyste szaty. Wielmożów tych wiedziono z honorami do przeznaczonych im foteli, przy każdym zaś z parów ustawiano koronę na dogodnym miejscu. Ludzie zgromadzeni tłumnie na galeriach przyglądali się z żywym zainteresowaniem – większość z nich po raz pierwszy widziała owych książąt, hrabiów i baronów, których miana od pięciuset lat słynęły w historii. Kiedy wszyscy lordowie zasiedli, wstępne widowisko dla galerii zostało zakończone, a było to widowisko przepyszne i godne zachowania w pamięci.

Z kolei dostojnicy kościelni w mitrach i szatach pontyfikalnych, każdy ze świtą, wstępowali jeden po drugim na podium i zajmowali miejsca. Po nich przybył Lord Protektor i inni najwyżsi dygnitarze, następnie zaś w stal zakuty oddział Gwardii Królewskiej.

Nastąpiła chwila oczekiwania. Potem kapela buchnęła triumfalnym marszem, a Tom Canty strojny w długą szatę ze złotogłowiu ukazał się we drzwiach i wstąpił na podium. Cizba powstała z miejsc. Zaczęły się obrzędy koronacyjne.

Wnet uroczyste tony hymnu zalały wnętrza Opactwa niby wezbrane fale dźwięków, oznajmiające i witające Toma Canty, którego wiedziono do stopni tronu. Odwieczne, wymowne swym dostojnością ceremonie odbywały się jedna po drugiej. Tłum patrzył. Im bliżej jednak było do końca uroczystości, tym bardziej bladł i bladł Tom Canty, tym srozsza, boleśniejsza rozpacz brała we władanie jego myśli i targane wyrzutami serce.

Zbliżał się wreszcie akt ostatni. Arcybiskup Canterbury ujął koronę Anglii, która spoczywała dotąd na poduszce, i podniósł ją nad głową drżącego ze wzruszenia fałszywego króla. Wówczas tęczne blaski zajaśniały wzdłuż obszernego transeptu, wszyscy bowiem zgromadzeni tam wielmoże – mężczyźni i kobiety – na dany znak wzniesli swe korony i oburącz trzymając je ponad głowami, zastygli w pozie oczekiwania.

Głęboka cisza zaległa Opactwo.

W tej podniosłej chwili na scenę wkroczyła osobliwa zjawa. Nie dostrzegł jej nikt z przejętego zbożną grozą tłumu, pokąd nie zaczęła zbliżać się długą drogą nawy głównej. Był to chłopiec z odkrytą głową, nędznie obuty, ubrany w lichą, plebejską odzież opadającą zeń w łachmanach. Chłopiec podniósł rękę godnym ruchem i przemówił ze stanowczością niestosowną zgoła przy tak niechlujnym i żalonym wyglądzie.

– Zabraniam wam zdobić koroną Anglii skronie szalberza! Ja jestem królem!

Wnet kilkanaście gniewnych dłoni pochwytiło intruza, lecz w tejże chwili Tom Canty, obleczony w strój koronacyjny, szybko postąpił krok i zawołał dźwięcznym głosem:

– Niechajcie go i puście! To król!

Panika zdumienia ogarnęła zgromadzonych w katedrze. Niektórzy unieśli się z miejsc i niepewnie spoglądali po sobie niby ludzie, którzy nie wiedzą, czy w pełni zmysłów widzą i słyszą na jawie, czy też mają ich mara senna. Lord Protektor był nie mniej zdziwiony niż wszyscy, lecz opanował się szybko i zawołał nie znoszącym sprzeciwu tanem:

– Nie baczcie na słowa miłościwego pana. Znowu owładnęła nim niemoc. Precz z onym włóczęgą!

Posłuchano by Lorda Protektora, lecz fałszywy król tupnął i wykrzyknął gniewnie:

– Biada każdemu, kto tknąć go się waży! To król!

Cofnęły się wyciągnięte ręce. Wszystkich ogarnął dziwny bezwład. Nikt nie drgnął, nikt nie odezwał się słowem; prawdę zaś rzekłszy, nikt nie wiedział, co czynić lub mówić w tak niezwykłym, zdumiewającym i nagłym przypadku. Kiedy więc zgromadzeni starali się odzyskać zachwianą równowagę, chłopiec śmiało postępował naprzód, a od początku osobliwej sceny nie przystanął ni razu, lecz szedł wciąż godnym krokiem, z miną pewną siebie. Wewnętrzna walka wstrząśniętych do głębi ludzi trwała jeszcze, gdy niespodziewany przybysz wstąpił na podium, a fałszywy król z rozjaśnionym obliczem skoczył mu naprzeciw, padł na kolana i powiedział:

– O królu mój i panie, pozwólcie, by biedny Tom Cauty pierwszy złożył wam poddańczą przysięgę i rzekł: – Przywdziejcie waszą koronę i wróćcie do słusznie należnych wam praw!

Surowy wzrok Lorda Protektora spoczął na twarzy intruza, lecz wnet surowość ta zniknęła i ustąpiła miejsca wyrazowi niepewności i zdziwienia. To samo przydarzyło się innym najwyższym dostojnikom. Wszyscy spojrzeli po sobie i jak gdyby na komendę bezwiednie cofnęli się o krok. Przez wszystkie głowy przemknęła myśl jednaka:

„Cóż za zdumiewające podobieństwo!”

Po chwili kłopotliwego zastanowienia Lord Protektor ozwał się poważnie i z głębokim respektem:

— Jeżeli przyzwolicie, panie, chciałbym wam zadać kilka pytań, na które...

– Na które rad odpowiem, szlachetny panie.

Książę Somerset zadał tedy wiele pytań dotyczących dworu, zmarłego monarchy, królewicza i księżniczek. Chłopiec odpowiadał dorzecznie i bez wahania. Opisywał dworskie salony, apartamenty króla nieboszczyka, komnaty księcia Walii.

Było to dziwne, zdumiewające, niepodobne do wiary! Tak twierdzili wszyscy, którzy słyszeli ową rozmowę. Nurt opinii powszechnej zmienił kierunek i nadzieje Toma Cauty bliskie zdawały się spełnienia, lecz Lord Protektor potrząsnął głową i rzekł:

– Rzecz zaprawdę cudowna! Ale nasz pan miłościwy zdolen jest również powiedzieć to wszystko.

Słowa te i fakt, że raz jeszcze nazwano go miłościwym panem, szczerze zasmuciły Toma, który odczuł, że wniwecz się obracają jego rosnące nadzieje.

– To dowód niewystarczający – dodał Lord Protektor.

Nurt zmieniał znowu kierunek – zmieniał się szybko, nader szybko, lecz mknął w niewłaściwą stronę, pozostawiał bowiem Toma na mieliźnie tronu, Edwarda zaś unosił na morze. Lord Protektor deliberował z sobą, potrząsał głową. Nieodparcie nawiedzała go myśl:

„Dla państwa i dla nas wszystkich groźna jest ta niezwykła zagadka. Może ona wywołać rozdzwięk w narodzie, podważyć tron”.

Odwrócił się i rzekł:

– Rycerzu Tomaszu, aresztujcie tego... Nie! Poczekajcie!

Twarz mu pojaśniała. Do pretendenta w łachmanach zwrócił się w te słowa:

– Gdzie leży wielka pieczęć? Odpowiedz trafnie, a zagadka będzie rozwikłana, bo wiecie to może tylko ten, kto naprawdę był księciem Walii. Od tak błahej sprawy zawisły losy tronu i dynastii!

Była to myśl szczęśliwa, zbawcza! Pogląd ten uznali milcząco wszyscy zebrani wokół dygnitarze, bo z ócz ich wystrzeliły pogodne, pełne nadziei spojrzenia. Tak. Nikt prócz prawdziwego księcia Walii nie potrafi wyjaśnić tajemniczego zniknięcia wielkiej pieczęci. Ów obszarpany mały oszust mógł doskonale wyuczyć się lekcji, w tym wszelako wypadku musi zawieść, sam bowiem nauczyciel nie zdoła odpowiedzieć na t a k i e pytanie! To dobrze, bardzo dobrze! Rychło teraz pozbędziemy się dręczącego problemu! Wielmoże lekko kiwali głowami, dyskretnie uśmiechali się ze szczerą satysfakcją, czekali chwili, gdy ów szalony wyrostek ugnie się pod ciężarem niecnych, haniebnych wyznań. Jakież było jednak ich zdumienie, gdy nie zdarzyło się nic w tym rodzaju, lecz chłopiec – o dziwo! – odrzekł bez wahania pewnym, silnym głosem:

– W zagadce tej nie ma nic trudnego – potem zaś nie pytając nawet o przyzwolenie odwrócił się i rzucił rozkaz ze swobodą człowieka przywykłego do posłuchu: – Lordzie St. John, nikt przecie lepiej od was nie zna moich komnat. Udajcie się więc do pałacu i tam w prywatnym moim gabinecie, tuż nad podłogą, w lewym kącie najdalszym drzwi wiodących do przedsionka, najdziecie w ścianie głowicę mosiężnego ówieka. Naciśnijcie ją, a odemknie się mała skrytka na klejnoty, nie znana nawet wam. Ba! Na całym świecie wiem o niej tylko ja i pewien zaufany rzemieślnik, który był ją dla mnie wykoncypował. Pierwszą rzeczą, na której oko wasze spocznie, będzie wielka pieczęć. Przynieście ją tutaj.

Dostojne zgromadzenie zdumiało się na te słowa, lecz zdumiało się jeszcze bardziej widząc, że mały żebrak pewnie i bez wahania wybiera jednego z parów i zwraca się doń po nazwisku tak spokojnie i naturalnie, jak gdyby znał go przez całe życie. Lord St. John był tak zaskoczony, że omal nie posłuchał. Zrobił nawet ruch, jakby zamierzał odejść, lecz opamiętał się wnet, zastygł w spokojnej pozie i rumieńcem wyznał swoją winę. Ale Tom Cauty zwrócił się doń i rzekł surowym tonem:

– Czemu się wahacie? Nie słyszeliście rozkazu króla? Idźcie!

Lord St. John odszedł złożywszy wprzód głęboki ukłon – ukłon dziwnie ostrożny i nie obowiązujący, nie przeznaczony wyraźnie dla żadnego z królów, lecz skierowany w neutralną przestrzeń, w pół drogi mniej więcej pomiędzy obydwoma.

Rozpoczął się teraz ruch w strojnym, dygnitarskim gronie – ruch powolny i ledwie dostrzegalny, lecz stały i uporczywy, podobny zmianom zachodzącym w pomału obracającym kalejdoskopie, gdy fragmenty jednej wspaniałej konstelacji rozsypują się, by utworzyć drugą. W danym przypadku powoli, pomału topniał barwny tłum otaczający Toma Cauty i formował się zaraz w bliskości dziwnego intruza. W ciągu niewielu minut napięcia i oczekiwania nawet ci najtrwożliwsi, którzy pozostali obok Toma, zbierali stopniowo dość odwagi, aby jeden po drugim przesunąć się milczkiem na stronę większości. Wreszcie Tom Cauty, przystrojony w królewskie szaty i klejnoty, zupełnie sam, odcięty od świata stał się w wiele mówiącej pustce niby wystawiony na pokaz.

Rychło ujrzeni wszyscy, że lord St. John wraca, kiedy zaś nadchodził środkową nawą, budził tak wielką ciekawość, że głuchy gwar licznych rozmów milknął i zapadała grobowa, dech tłumiąca cichość, w której dźwięk kroków tętnił głuchym, odległym echem. Spojrzenia wszystkich oczu przywarły do zbliżającego się para, który wstąpił na podium, przystanął na chwilę, złożył Tomowi Cauty dworski ukłon i oznajmił:

– Miłościwy panie, pieczęci tam nie ma!

Tłum gapiów nie szybciej pierzcha od człowieka zadżumionego niż stopniała gromada wyblakłych, przerażonych dworaków otaczających małego, obdartego pretendenta do korony. W jednej chwili pozostał on sam, bez przyjaciela ni stronnika – bezbronny cel dla wzgardliwych a niechętnych spojrzeń.

Lord Protektor krzyknął w srogim gniewie:

– Wyrzucić tego żebraka na ulicę i bizunami pogonić przez miasto! Niecny oszust na inne nie zasłużył względy!

Gwardziści poskoczyli, aby wykonać ów rozkaz, lecz Tom Cauty zatrzymał ich władcym gestem i zawołał:

– Precz! Kto ruszy go, narazi życie! Lord Protektor stropił się do najwyższego stopnia i rzekł do lorda St. Johna:

– Czy szukaliście dobrze? Lecz po cóż to pytanie – pytanie co najmniej dziwne! Rzeczy niewielkie, drobiazgi, ujść mogą ludzkiej uwagi i nie będzie w tym nic osobliwego. Jak wszelako przedmiot znacznych rozmiarów, pieczęć królewska Anglii, mogła zawieruszyć się i przepaść tak, że nikt odnaleźć nie potrafi wielkiego złotego kręgu...

Tom Cauty poskoczył naprzód i zawołał z roziskrzonym wzrokiem:

– Dosyć! To wystarczy! Pieczęć była okrągła? I gruba? I miała wyryte litery i herby? Prawda? Ach, jużem świadom, co to za wielka pieczęć, o którą tyle było zmartwienia i wrzawy! Gdybyście mi ją opisali, znalazłaby się trzy tygodnie temu. Wiem, oczywiście, gdzie ta pieczęć leży, ale nie ja położyłem ją tam pierwszy.

– Któż tedy, miłościwy panie? – zapytał Lord Protektor.

– On, który tu stoi, prawy król Anglii! On sam też wam powie, gdzie leży wielka pieczęć, a wówczas uwierzycie, iż z własnej wle o tym pamięci. Pomyślcie, miłościwy panie, tknijcie pamięć ostrogą. Była to rzecz ostatnia, najostatniejsza, którąście uczynili onego dnia, gdy wybiegliście z pałacu, aby pokarać żołdaka, co obszedł się ze mną tak niegodnie.

Zapanowało milczenie nie zakłócone ruchem ni szeptem. Wszystkie oczy zwróciły się ku osobliwemu przybyszowi, który z pochylonym czołem i brwią zmarszczoną szperał w pamięci ci pośród mnóstwa mało ważnych wydarzeń, poszukując jednego tylko wspomnienia.

Jeżeli je odnajdzie, zasiądzie na tronie. Jeżeli nie odnajdzie, raz na zawsze pozostanie tym, czym jest teraz – nędzarzem i wyrzutkiem. Sekundy mijały po sekundach, tworzyły minuty, a chłopiec wciąż prowadził wewnętrzną walkę i żadnego nie dawał znaku. Na koniec jednak westchnął ciężko, smutno potrząsnął głową i drżącymi ustami przemówił głucho...

– Przypominam sobie wszystko... całą tę scenę... ale... ale pieczęć nie znajduje w niej miejsca.

Urwał, podniósł wzrok i mówił dalej z łagodną godnością:

– Parowie królestwa! Szlachetni panowie! Jeżeli z braku tego dowodu, którego nie mogę przedstawić, zechcecie wyzuć z dziedzictwa swego prawego władcę, nie zdołam was powstrzymać, gdyż brak mi po temu mocy. Wszelako...

– To szaleństwo! Obłąd, miłościwy panie! – krzyknął Tom Cauty, półprzytomny z przerażenia. – Poczekaj! Pomyśl! Nie poddawaj się! Sprawa jeszcze nie przegrana! Nie może być przegrana! Słuchaj, co ci rzekę. Bacz na każde słówko. Przypomnę ów ranek, szczegół po szczególe. Rozmawialiśmy. Opowiadałem o moich siostrach, Nan i Bet. Tak, widzisz, pamiętasz przecie. Mówiłem także o babce i ordynarnych zabawach chłopców z Offal Court... I to pamiętasz, prawda? Słuchaj więc dalej, a wszystko odnajdziesz w myślach. Kazałeś mi podać jadło i napitek; postąpiłeś przy tym z istic księżęcą delikatnością, bo odprawiłeś sługi, aby mój niski stan nie zawstydzał mnie w ich obecności... Ach, tak! I to wszak pomnisz!

Tom przypomniał owo wydarzenie, drugi chłopiec potakiwał skinieniami głowy, a liczne audytorium dygnitarzy słuchało i przyglądało się zaniepokojone i zdziwione. Cała historia zakrawa na prawdę, lecz jakim cudem dojść mogło do niesłychanego spotkania królewicza z żebrakiem. Nigdy dotychczas nie widział nikt grona osób tak niezmiennie zaciekawionych, stropionych, zafrasowanych.

– Dla figłów, miłościwy panie, pozmienialiśmy szaty. Potem stanęliśmy przed zwierciadłem, a tak bardzo byliśmy podobni, że jak rzekliśmy obydwa, żadnej prawie nie dopatrzyłbyś się zmiany. Tak! To pamiętacie. Potem zwróciliście uwagę, że żołdak skaleczył mi rękę... Spójrzycie... Ta sama ręka! Palce dotychczas mam drętwe i z trudem tylko mogę wodzić piórem. Na to porwaliście się, miłościwy panie, i ślubując pomstę żołdakowi, skoczyli do drzwi; minęliście stół; ten przedmiot, który zowiecie pieczęcią, leżał na stole. Chwyciliście

pieczęć i bacznie rozejrzeli się wokół, jakby szukając właściwego schowka... Wzrok wasz, miłościwy panie, spoczął wówczas na...

– Tak! To wystarczy! Dzięki niech będą dobremu Bogu – zawołał z wielkim wzruszeniem obdarty pretendent do tronu. – Pospieszcie się, drogi lordzie St. John! Pod naramiennikiem wiszącej na ścianie mediolańskiej zbroi znajdziecie wielką pieczęć!

– Słusznie, miłościwy panie, słusznie! – uradował się Tom Canty. – Teraz berło angielskie w waszym jest ręku i bodajby urodził się niemową ten, co zechciałby wam go odmawiać. Spieszcie, lordzie St. John! Bodaj skrzydła wyrosły wam u stóp!

Wszyscy zgromadzeni powstali znowu z miejsc i od zmysłów prawie odchodzili z niepewności, obaw, wielkiego wzburzenia. Na posadzce katedry i na podium wybuchnął srogi rozgwar pomieszanych rozmów. Przez czas niejaki nikt nie wiedział o niczym, nic nie słyszał i o nic się nie troszczył prócz tego, co sąsiad krzyczał mu do ucha albo on sam krzyczał do ucha sąsiada. Czas – nikt nie dbał zresztą, ile było tego czasu – mijał nie wiedzieć jak i kiedy. Wreszcie nagle milczenie zaległo Opactwo. W tej samej chwili na podium wstąpił St. John z wielką pieczęcią w podniesionej ręce. Gromki okrzyk uderzył o stropy:

– Niech żyje prawy król!

Przez pięć minut powietrze dygotało od wrzasku i hucznych tonów przeróżnych instrumentów, a białe było od zawieruchy powiewających chustek. Pośrodku tego zamętu obdarty chłopczyzna – najważniejsza osobistość w całej Anglii – promienny, szczęśliwy, dumny stał na wyniosłym a rozległym podium, otoczony grupą kłęczących wielkich wasali królestwa.

Wreszcie powstali wszyscy, a Tom Canty zawołał:

– Teraz, miłościwy panie, bierzcie z powrotem strój królewski, a biednemu Tomowi Canty, wiernemu waszemu słudze, zwróćcie łachmany i nędzarskie szmaty.

– Zwlec suknie z tego małego hultaja! Wrzucić go do Tower! – przemówił Lord Protektor.

Ale nowy król – król prawdziwy – ozwał się w takie słowa:

– Nie przyzwalam na to. Bez jego pomocy nie odzyskałbym korony, niechaj więc nikt nie waży się tknąć go krzywdzącą ręką. Jeśli zaś o ciebie chodzi, mój dobry wuju, Lordzie Protektorze, postępowanie twoje wobec tego chłopca dowodzi tylko znacznej niewdzięczności, bo jakom słyszał, on przecie uczynił cię księciem – (Lord Protektor oblał się szkarłatem). – Ale on nie był przecie królem, cóż wart więc dzisiaj twój dostojny tytuł? Jutro zwrócisz się do mnie – i to przez niego – o potwierdzonej tej promocji, w przeciwnym zaś razie będziesz musiał do końca dni pozostać nie księciem, lecz zwyczajnym sobie hrabią.

Posłyszawszy tę przyganę jaśnie oświecony książę Somerset wycofał się na czas pewien z pierwszego szeregu parów. Król zwrócił się do Toma i rzekł łaskawie:

– Biedny chłopcze, jak to się stało, żeś zapamiętał, gdzie ukryłem był pieczęć, skoro ja sam nie pamiętałem tego?

– Sprawa to prosta, miłościwy panie. Wielekroć posługiwałem się pieczęcią...

– Posługiwałeś się pieczęcią... I nie potrafiłeś wyjaśnić, gdzie ukryta?

– Nie wiedziałem zgoła, że o to właśnie wszyscy mnie pytają. Nikt nie opisał mi pieczęci, miłościwy panie.

– A jakżeś się nią posługiwał?

Purpura krwi napłynęła do policzków Toma. Biedak spuścił wzrok i milczał uparcie.

– Mów, dobry chłopcze, nie bój się niczego – powiedział król. – Jakżeś się posługiwał wielką pieczęcią Anglii?

Tom jękał coś przez chwilę niezmiernie stropiony, wreszcie zaś wyznał:

– Tłukłem nią orzechy!

Biedny dzieciak! Lawina śmiechu, którą sam wywołał, omal nie zmiotła go z nóg. Jeżeli jednak wątpił ktoś dotychczas w prawdę, że Tom Canty nie jest królem Anglii i niewiele się rozumie na monarszych przywilejach i splendorach, to odpowiedź jego rozwiązać musiała najostatniejsze wątpliwości.

Z ramion Toma na królewskie przeniesiono wspaniały płaszcz monarszy, który nędzne łachmany skrył przed ludzkim wzrokiem. Rychło też przystąpiono do koronacyjnych obrzędów. Prawy król został namaszczony i korona spoczęła na jego skroniach, armaty zasię gromem oznajmiły tę nowinę miastu i cały Londyn trząsł się od radosnych wrzasków.

ROZDZIAŁ XXXIII

EDWARD JAKO KRÓL

Miles Hendon był już postacią dość malowniczo obdartą, nim wplątał się w zamieszki na London Bridge – wydostawszy się stamtąd, wyglądał jeszcze osobliwiej. Przed bijatyką niewiele miał pieniędzy, później nie miał ich wcale. Złodzieje kieszonkowi oskubali go do ostatniej ćwierćpensówki.

Wszystko to furda! Byle odnaleźć chłopca!

Miles był żołnierzem, nie podchodził więc do swych zadań lekkomyślnie, lecz przede wszystkim zabrał się do pracy nad obmyśleniem planu kampanii.

Co chłopiec mógł uczynić naturalnym rzeczy porządkiem? Dokąd winien się udać? Ha! Poszuka oczywiście dawnych swych kryjówek, gdyż przyrodzony instynkt każe tak postąpić człowiekowi bezdomnemu i samotnemu, bez względu na to, czy szalony on, czy przy zdrowych zmysłach. Gdzie jednak szukać tych dawnych kryjówek? Żebracze łachmany wraz z osobą owego gburowatego hultaja, który zna go na pewno, a nawet powiada się jego ojcem, dowodzą, że biedak mieszkał w tej lub innej z najuboższych i najpodlejszych dzielnic Londynu. Czy poszukiwania będą tedy trudne i długie? Nie! Będą zapewne łatwe i krótkie. Nie trzeba bowiem wypatrywać chłopca, lecz zbiegowiska, gdyż pośród ciżby mniej lub więcej licznej odnaleźć się w końcu musi mały, biedny przyjaciel „rycerza” Milesa. Złośliwy tłum będzie się przecież zabawiał nękaniami i dręczeniem szalonego chłopca, który, jak zwykle, obwoła się królem. Wówczas Miles Hendon przetrąci kilku złośliwców, uprowadzi swego protegowanego, aby pocieszyć go i uspokoić czułymi słowami, i nigdy już się z nim nie rozstanie.

Tak przygotowany Miles wyruszył na poszukiwania. Godzina po godzinie wędrował po wszelkich zaułkach i ohydnych uliczkach, wypatrywał gromad lub tłumów i znajdował ich bardzo wiele, nigdzie jednak nie mógł natrafić na ślad chłopca. Dziwne mu się to zdawało, lecz bynajmniej nie tracił otuchy. Zdaniem Hendona nic nie można było zarzucić jego planom, z tym chyba zastrzeżeniem, że kampania obliczona na czas krótki dziwnie się jakoś przeciąga.

Nim zaświtało wreszcie, Hendon przemierzył wiele mil i wiele zbadał tłumów, z tym jedynie wynikiem, że był wielce strudzony, głodny i niewyspany. Miał ochotę na jakieś śniadanie, ale nie wiedział, jakim zdobyć je sposobem. Nie przychodziło mu do głowy, aby prosić o strawę, tak samo, jak nie pomyślał o zastawieniu miecza, z którym równie trudno by mu się było rozstać, jak z honorem. Mógł oczywiście pozbyć się części garderoby, lecz łatwiej chyba można by znaleźć amatora na zakaźną chorobę niż na takie łachy.

W południe Hendon wędrował jeszcze wśród ciżby podążającej za królewskim pochodem, rozumował bowiem, iż taki pokaz monarszych splendorów nieodparcie przyciągnie małego szaleńca. Za orszakiem dreptał tedy krętymi ulicami przez cały Londyn, później zaś aż do Westminsteru i Opactwa. Od czasu do czasu zbaczał pomiędzy cisnące się wokół mrowie ludzkie i długo wiódł uciążliwe poszukiwania, wreszcie zaś zły i zawiedziony jał przemyśliwać nad ulepszeniem rozumnego planu kampanii. Kiedy ocknął się z zadumy, postrzegł, że miasto pozostawił daleko za sobą, dzień zaś ma się ku schyłkowi. Miles był na wsi, niedaleko rzeki, pośród przepysznych letnich rezydencji, a więc w okolicy, gdzie niezbyt mile chyba powitają człeka jak on nędznie odzianego.

Nie było wcale zimno. Hendon legł więc pod osłoną żywopłotu, aby wypocząć nieco i pomyśleć. Senność zaczęła mu wnet mącić w głowie. Odległy, głuchy bas działał doszedł jego uszu. Biedny wojak mruknął: – Ukoronowali nowego króla – iż tymi słowami zapadł w sen. Od trzydziestu godzin nie spał ni odpoczywał, toteż zbudził się dopiero późnym rankiem dnia następnego.

Zgłodniały, drętwy, wstał utykając. Obmył się w rzece, uspokoił żołądek dobrą kwartą wody i powłókł się w stronę Westminsteru, burcząc na siebie, iż tak wiele zmarnotrawił czasu. Głód podszeptał Milesowi nowy plan działania: trzeba postarać się o rozmowę z rycerzem Humphreym Marlow i pożyczyć odeń kilka marek, a potem... Hola! To plan na razie dość obszerny; wystarczy czasu, aby go rozszerzyć, gdy zakończy się pierwsza faza.

Do pałacu dotarł koło jedenastej. Odświętnie ubrane tłumy, otaczające go teraz, zmierzały w tym samym kierunku, lecz dzięki osobliwemu strojowi Hendon nie był w tej ciżbie zupełnie niewidoczny. Baczenie przyglądał się wielu przechodniom szukając twarzy poczciwej, której właściciel zechciałby może powtórzyć staremu dworzaninowi nazwisko niespodziewanego gościa. Oczywiście nie było mowy, aby sam mógł dostać się do pałacu.

Niebawem otarł się oń nasz znajomy, Chłopiec do Bicia; minął go, zawrócił i zmierzwszy bacznym okiem osobliwą postać, rzekł do siebie:

– Skończony osioł ze mnie, jeżeli to nie ów włóczęga, o którego miłościwy pan tyle się troska. Ha! Osłem i tak pewnie jestem. Opis zgadza się do ostatniego łacha, a Bóg nie mógł chyba stworzyć dwóch takich cudaków, bo byłoby to obniżeniem wartości cudu przez zbytne powtórzenie. Pod jakim tu pretekstem wdać się z nim w rozmowę?

Miles Hendon wybawił go z kłopotu, bo obejrzał się, jak zazwyczaj czyni człowiek hipnotyzowany przez kogoś pilnie przyglądającego się mu od tyłu, kiedy zaś dostrzegł w oczach chłopca żywe zainteresowanie, swą osobą, zbliżył się doń i odezwał:

– Przed chwilą wyszedłeś z pałacu. Czyżbyś tam mieszkał?

– Tak, szlachetny panie.

– Czy znasz rycerza Humphreya Marlow?

Chłopiec drgnął i pomyślał: „Wielki Boże, pyta o mego zmarłego ojca”! Potem zaś powiedział głośno:

– Bardzo dobrze, szlachetny panie.

– Chwała Bogu. Czy jest on w pałacu?

– Jest – odparł chłopiec i dodał szeptem – ale w grobie.

– Może, z łaski swojej, zechciałbyś powtórzyć mu moje miano i rzeknąć, iż z serca proszę o poufną rozmowę.

– Bardzo chętnie załatwię wam tę sprawę, dobry panie,

– Rzeknij tedy, jako Miles Hendon, syn rycerza Ryszarda, czeka tu pod bramą. Zaskarbisz sobie tym moją wdzięczność.

– Nie tak król go nazywał – mruknął do siebie chłopiec, na którego twarzy odmalował się zawód. – Ale mniejsza o to! Mój przyjaciel jest na pewno bliźniakiem tamtego i udzieli miłościwemu panu wiadomości o rycerzu Jakże-Mu-Tam. – Potem zwrócił się do Milesa i powiedział uprzejmie. – Spocznijcie tu na chwilę, dobry panie, i poczekajcie, aż przyniosę wam słówko odpowiedzi.

Hendon udał się na wskazane miejsce. Była to nisza w pałacowym murze, zaopatrzona w kamienną ławę, a przeznaczona na schronienie dla straży w czasie niepogody. Załedwie się tam usadowił, minęło go kilku halabardników pod dowództwem oficera, który zauważył Hendona i kazał mu wyjść, zatrzymawszy wprzód swoich ludzi. Hendon posłuchał i został wnet aresztowany jako osobnik podejrzany, wałęsający się w obrębie pałacowych murów. Sprawa przybierała całkiem niepomyślny obrót. Biedak próbował udzielić wyjaśnień, lecz oficer krzyknął srogo, aby milczał, halabardnikom zaś polecił rozbroić go i obszukać.

– Może Bóg w swym miłosierdziu sprawi, że coś znajdą – mruknął wojak – chociaż ja szukałem pilnie, lecz zawsze bezskutecznie, a w większej chyba od nich jest potrzebie.

Nie znaleziono przy nim nic oprócz listu. Oficer otworzył ów dokument, Hendon zaś uśmiechnął się na widok „kulfonów” gryzmołonych przez zaginionego małego przyjaciela w ów nieszczęsny dzień w Hendon Hall. Twarz oficera pociemniała, gdy rzucił okiem na tekst angielski, a Milesowe oblicze przybrało barwę zgoła odmienną, bo jak płótno pobieleła, gdy biedak usłyszał okrzyk:

– Jeszcze jeden pretendent do korony! Zaiste, mnożą się teraz niby króliki. Bierzcie hul-ta-ja, chłopcy! Krzepko go trzymajcie, ja zaś pójdę do pałacu i pošlę ów cenny dokument królowi.

Oficer odszedł spieszenie, pozostawiwszy Hendona pod strażą halabardników.

– No, koniec wreszcie moim troskom! – mruknął wojak. – Z pewnością dyndał będę z powodu tego świstka. A co się stanie z moim nieszczęśliwym malcem, Bogu tylko wiadomo!

Po jakimś czasie Hendon zobaczył, że oficer wraca szybkim krokiem, zebrał więc odwagę chcąc, jak mężczyźnie przystało, stawić czoło biedzie. Oficer rozkazał jednak halabardnikom, aby puścili więźnia i zwrócili mu miecz, a kiedy się to stało, skłonił się z respektem i rzekł:

– Zechciejcie pójść ze mną, szlachetny panie.

Hendon ruszył za nim mamrocząc po drodze:

– Ha, gdybym nie szedł na śmierć i sąd ostateczny, gdybym nie musiał bacznie wystrzegać się grzechu, zdławiłbym tego łotra za ów szyderycki ukłon.

Osobliwa para odbyła wędrowkę przez ludny podwórzec, kiedy zaś znalazła się u pałacowych podwoi, oficer skłonił się raz jeszcze i oddał Hendona w ręce; strojnego dworzanina. Ów przywitał go z głębokim szacunkiem i powiódł przez wielką sień, obstawioną po obydwu stronach szeregami strojnych sługusów (nicponie kłaniali się pokornie, gdy Hendon z dworzaninem przechodzili obok, lecz dławili się wewnętrznym śmiechem, gdy napuszony strach na wróble odwrócony był tyłem), potem przez szerokie, pełne dostojnych gości schody. Na koniec dworzanin wprowadził biednego wojaka do obszernej komnaty, utworował mu drogę w tłumie angielskich wielmożów, złożył dworski ukłon, przypomniał Milesowi, iż należy odkryć głowę, i rozstawił go na środku sali jako cel dla licznych surowych spojrzeń i wielu drwiących a wzgardliwych uśmiechów.

Hendon był zupełnie oszołomiony. O pięć stóp od niego na tronie, pod baldachimem, siedział młody monarcha. Głowę miał pochyloną, odwróconą; rozmawiał z jakimś ludzkim ptakiem rajskim – być może z księciem. Hendon pomyślał, że dostateczną przykrością byłby wyrok śmierci otrzymany w pełni sił i kwiecie wieku nawet bez tak wymyślnego poniżenia na forum publicznym. Pragnął, aby król załatwił się z nim szybko, bo niektórzy z obecnych dygnitarzy zaczęli nań spoglądać bardzo natarczywie. W tej chwili monarcha uniósł trochę czoło i Miles wyraźnie ujrzał jego oblicze. Omal się nie zatchnął na ten widok! Stał niemy, zapatrzony w urodziwe chłopięce lico, potem zaś wykrzyknął:

– Wielki Boże! Oto władca Królestwa Snów i Cieniów na swym tronie!

Rzucił słowa bez związku, nie dokończone zdania i patrzył wciąż, i dziwił się srodze. Wreszcie raz i drugi rozejrzał się dokoła, objął wzrokiem wspaniałą komnatę, strojnych dworaków i szepnął:

– To wszystko przynajmniej jest jawą... prawdą... Tak... To nie sen... nie sen...

Znowu zagapił się na króla i pomyślał:

„A czy to sen? Czy może on jest naprawdę władcą Anglii, nie, jak mniemałem, biednym sierotą, małym fiksatem? Któż wyjaśnić mi zdoła tę zagadkę?”

Nagły pomysł zapalił mu błyski w oczach. Miles zbliżył się pewnym krokiem do ściany, chwycił zydeł, wyniósł go na środek sali, postawił na podłodze, usiadł!

Ozwał się pomruk zgorzenia. Ciężka dłoń spoczęła na Hendonowym ramieniu, a jakiś głos zawołał:

– Wstań, niewychowany błaznie! Chciałbyś siedzieć w przytomności króla?

Incydent ów zwrócił uwagę miłościwego pana, który wyciągnął rękę i zakrzyknął:

– Nie tykaj go! To jego prawo!

Cofnęła się stropiona ciżba, król zaś mówił dalej:

– Dowiedźcie się wszyscy, damy, lordowie i szlachetni rycerze, iż to mój wierny i sercu miły sługa Miles Hendon, który walecznie dobył miecza, aby uchronić swojego władcę od cielesnych obrażeń, a zapewne i śmierci, za co z królewskiej woli został pasowany rycerzem. Dowiedźcie się również, jako za celniejszą usługę, za to, iż ocalił króla od haniebnej chłosty, biorąc tę karę na siebie, jest parem Anglii, hrabią Kentu i otrzyma tyle złota i ziemi, aby majątkiem sprostać mógł dostojnemu tytułowi. Ponadto przywilej, z którego obecnie korzysta, jest dowodem królewskiej łaski, rozkazaliśmy bowiem, iż głowie jego rodu przysługuje i przysługiwać będzie prawo zasiadania w obecności władcy Anglii, rok po roku i wiek po wieku, tak długo, jak trwać będzie ta korona. Pozostawcie go tedy w spokoju.

Dwie osoby, które spóźniwszy się przybyły ze wsi dopiero tego ranka i przed pięciu zaledwie minutami wkroczyły na królewskie pokoje, stały przysłuchując się tym słowom i z bezbrzeżnym zdumieniem spoglądając na miłościwego pana, potem na osobliwego stracha na wróble, potem znowu na miłościwego pana. Byli to rycerz Hugon i lady Edyta. Ale nie widział ich świeżo kreowany hrabia, bo osłupiały nie odrywał wzroku od młodego monarchy i wciąż mamrotał do siebie:

– Na mą duszę! Na mą duszę! To mój mały żebrak! Mój szaleniec! Jemu to chciałem pokazać wielkopański przepych we dworze o siedemdziesięciu izbach i dwudziestu siedmiu służby! To on niby miał nie zaznać w życiu nic prócz łachmanów jako odzienia, kopniaków dla pociechy i odpadków zamiast jadła. Tego to chciałem przyjąć za syna i wychować na człeka godnego! Ach, czemuż nie mam pod ręką worka, aby ukryć w nim głowę!

Hendon odzyskał nagle władanie nad sobą, padł na kolana z dłonią pomiędzy królewskimi dłońmi, zaprzysiągł władcy wierność i złożył hołd powinny z lennych włości. Kiedy zaś podniósłszy się z klęczek stanął skromnie na uboczu, był już nie tylko celem wszystkich spojrzeń, lecz również przedmiotem nie lada zawiści.

Król dostrzegł teraz rycerza Hugona i mierząc go surowym wzrokiem przemówił gniewnie:

– Tego grabieżcę zbawcie fałszywych tytułów i ukradzionych włości, a przechowajcie pod kluczem, dopokąd nie będzie mi potrzebny.

Byłego rycerza Hugona wyprowadzono.

W drugim końcu komnaty powstał w tej chwili rozruch, tłum się rozstał i Tom Cauty, dziwacznie, lecz bogato odziany, przeszedł żywym szpalerem poprzedzany przez mistrza ceremonii i klęknął u stóp tronu. Król przemówił:

– Zapoznałem się z historią kilku minionych tygodni i zaiste, wielcem rad z ciebie. Władaleś tym królestwem z prawdziwie monarszą dobrocią i tkliwym miłosierdziem. Czy odnalazłeś matkę oraz siostry? To bardzo dobrze! Nie pozostaną one bez opieki, ojciec zaś twój zawiśnie na szubienicy, jeżeli zechcesz tego, a prawo wyrazi zgodę. Niechaj wie teraz każdy, kto głosu mego słucha, iż od dziś dnia ci, którzy znaleźli schronienie w Przytułku Jezusa Chrystusa i z królewskiej korzystają łaski, otrzymywać mają pokarm dla serc i umysłów tak samo jak dla podlejszych części ciała. Chłopiec ten zamieszka w murach onej fundacji, a w czciogodnym kolegium jego zarządców ma do końca swych dni pierwsze zajmować miejsce. Ponieważ zasię był królem, słusznie należy mu się szacunek większy niż ludziom pospolitym. Zwróćcie zatem uwagę na jego strój dworski, który ma go wyróżniać i przez nikogo nie może być naśladowany. Dokądkolwiek zaś uda się ów chłopiec, odzież jego winna ludziom przypominać, iż był ongi monarchą, któremu wypada oddać cześć należną i nie skąpić pokłonu.

Zyskał on poparcie tronu, zyskał opiekę korony i będzie odtąd znany pod zaszczytnym tytułem Królewskiego Wychowanka i tytułem tym przez wszystkich mianowany.

Dumny i szczęśliwy Tom Cauty powstał z klęczek, ucałował dostojną rękę i został odprowadzony przed oblicza miłościwego pana. Nie tracąc oczywiście czasu pobiegł do matki, aby opowiedzieć o wszystkim jej oraz Nan i Bet, aby razem z nimi radować się największą nowiną dnia.

ZAKOŃCZENIE

SPRAWIEDLIWOŚĆ I KARA

Wyświetlono już wszystkie tajemnice. Hugon Hendon wyznał, iż lady Edyta na jego rozkaz zaparła się Milesa owego pamiętnego dnia w Hendon Hall. Rozkaz był poparty zasługującą na wiarę obietnicą, iż biedna niewiasta postrada życie, jeżeli nie zaprzeczy stanowczo tożsamości przybysza. Odrzekła na to, iż może postradać życie, które nie posiada dla niej wartości ni ceny, lecz Milesa się nie zaprze. Wówczas małżonek oznajmił, że ją wprawdzie oszczędzi, ale każe zamordować kłopotliwego intruza. Wobec takiego obrotu sprawy lady Edyta dała słowo i słowa tego dotrzymała.

Hugon nie odpowiadał przed sądem ani za pogróżki, ani za przywłaszczenie dóbr i tytułu, ponieważ brat i żona nie chcieli złożyć przeciw niemu świadectwa, czego zresztą żonie nie pozwolono by uczynić, gdyby nawet była po temu skłonna. Hugon porzucił lady Edytę i zbiegł na europejski kontynent, gdzie niebawem umarł. We właściwym czasie hrabia Kentu poślubił owdowiałą bratową. Kiedy para ta po raz pierwszy przybyła do miasteczka Hendon, niemało było tam radości i uciechy.

Nikt nie słyszał nic nigdy o ojcu Toma Canty.

Król odnalazł wieśniaka, który był ongi piętnowany i zaprzędany w niewolę, wybawił go od niecnego żywota w szajce Harapa i zapewnił mu byt dostatni.

Uwolnił także z więzienia owego starego prawnika i kazał mu zwrócić zapłacone grzywny. Postarał się również o domy i ogniska rodzinne dla córek dwóch baptystek, które widział na płonącym stosie, a konstabla winnego nie zasłużonej chłosty, która spadła na grzbiet Milesa, pokarał przykładnie.

Uratował również od szubienicy wyrostka, obwinionego o przywłaszczenie zabłąkanego sokoła, i kobietę, która ukradła tkaczowi resztkę sukna. Nie zdążył wszakże ocalić biedaka skazanego na śmierć za ubicie jelenia w królewskim boru.

Łaskami obdarował sędziego, który ulitował się nad małym żebrakiem oskarżonym o kradzież prosięcia, i z wielkim zadowoleniem dowiadywał się później, iż sędzia ów zyskuje coraz więcej ludzkiej czci i staje się mężem znacznym a szanowanym.

Pokąd król żył, lubił opowiadać swe niezwykle przygody od początku do końca – od owej godziny, gdy wartownik wypchnął go kułakiem za bramę pałacową, aż do ostatniej nocy, kiedy to przyłączył się zreźnie do gromady spieszących robotników i takim fortem zakradł się w mury Opactwa, gdzie ukrył się na chórze w grobowcu Edwarda Wyznawcy, a dnia następnego spał tak twardo, że omal z kretesem nie przespał obrzędów koronacyjnych. Król twierdził, że częste powtarzanie tej bezcennej lekcji umacnia go w postanowieniu, aby z nauki owej wynikała korzyść dla ludu, toteż póki życia musi wracać do swej opowieści i w ten sposób odświeżać w pamięci bolesne jej obrazy, w sercu zaś źródła litości i miłosierdzia.

Miles Hendon i Tom Canty byli faworytami króla przez krótkie lata jego panowania, po zgonie miłościwego pana oplakiwali go najszczerzej. Cny hrabia Kent był człowiekiem obdarzonym dużą dozą zdrowego rozsądku, nie nadużywał więc swego osobliwego przywileju. Nim wszakże odszedł z tego świata, dwukrotnie zeń korzystał nie licząc znanego nam już wydarzenia: raz przy wstąpieniu na tron królowej Marii i raz przy wstąpieniu na tron królowej Elżbiety. Dziedzic jego przypomniał swe prawa w dniu koronacji Jakuba Pierwszego, nim zaś syn owego para uznał za stosowne skorzystać z przywileju, minęło blisko ćwierć wieku i

„przywilej Kentów” zatarł się niemal w ludzkiej pamięci.. Kiedy więc Kent z owych czasów stanął przed Karolem Pierwszym i jego dworem i usiadł w przytomności monarchy, aby przypomnieć i utwierdzić prawa swojego rodu, nie było jakie wywołał wrażenie. Sprawa rychło się jednak wyjaśniła i przywilej został potwierdzony.

Ostatni hrabia owego rodu poległ w Wojnie Domowej walcząc za sprawę króla, a wraz z nim wygasł dziwaczny przywilej.

Tom Canty dożył bardzo sędziwego wieku. Był wówczas pięknym starcem o śnieżnej czuprynie, a wygląd miał poważny i dobrotliwy. Póki życia cieszył się czcią ludzką, szanowano go zaś również dlatego, że osobliwy, i zwracający uwagę strój przypominał wszystkim, iż starzec ów „był ongi monarchą”. Dokądkolwiek zawitał, ludzie rozstępowali się, aby uczynić mu drogę, i jeden szeptał drugiemu:

– Uchyl kapelusza! To Wychowanek Królewski!

Wszyscy skwapliwie czapkowali mu, więc i w zamian otrzymywali uśmiechy, które wielce sobie cenili, gdyż dzieje Toma Canty zaszczyt mu przynosiły.

Król Edward VI przeżył ledwie kilka lat, lecz przeżył je godnie. Niejeden raz, gdy jakiś wysoki dygnitarz, jakiś od złota kapiący wasal korony występował przeciw królewskiej wyrozumiałości i dowodził, iż to lub owo prawo, które miłościwy pan zamierza zmienić, łagodne jest, spełnia swoje cele i nie sprawia ucisku lub cierpień godnych szczególnej uwagi, młody monarcha smutno a wymownie spoglądał nań wielkimi, dobrymi oczyma i odpowiadał:

– Cóż wy, szlachetny panie, wiedzieć możecie o ucisku lub cierpieniach? Wiem o tym ja i mój lud – nie wy.

Panowanie Edwarda VI było szczególnie łagodne jak na ów wiek okrutny, teraz więc, kiedy rozstajemy się z młodym władcą, zachowajmy to w pamięci ku jego chwale.